

Jeffery Deaver

# **Kamienna mała**

Tłumaczenie: Andrzej Szulc

# I

## *Szmugler*

Nazwa wei-chi składa się z dwóch chińskich wyrazów - wei, który znaczy „okrażać”, oraz chi, który jest nazwą „pionka”. Ponieważ gra symbolizuje walkę o życie, można ją nazwać grą wojenną.  
**Danielle Pecorini i Tong Shu. *Gra wei-chi***

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Byli tymi, których skreślono z ewidencji, tymi, którym nie dopisało szczęście.

Dla szmuglerów, przerzucających ich na drugi koniec świata niczym palety uszkodzonych towarów, byli *ju-jia*, prosiakami.

Dla agentów amerykańskiego urzędu imigracyjnego, INS, którzy zajmowali ich statki, aresztowali ich i deportowali, byli bezpaństwowcami.

Byli tymi, którzy karmili się nadzieją. Którzy zamieniali ojczyznę, rodzinę oraz tysiącletnie dziedzictwo na ryzykowną, wypełnioną ciężką pracą przyszłość.

Którzy mieli niewielkie szanse, aby zakorzenić się w miejscu, gdzie wolność, pieniądze i pomyślność były, jak głosiła plotka, tak samo pospolite jak słońce i deszcz.

Byli jego kruchym ładunkiem.

Stawiając pewnie stopy na rozkołysanych stopniach, kapitan Sen Zi-juan zszedł z mostka do położonej dwa pokłady niżej ciemnej ładowni, aby przekazać im złą wiadomość: że trwająca długie tygodnie podróż może zakończyć się fiaskiem.

Był sierpniowy wtorkowy ranek, tuż przed świtem. Kapitan Sen, barczysty mężczyzna o ogolonej gładko głowie i sumiastym wąsie, minął puste kontenery ustawione dla niepoznaki na pokładzie mierzącego siedemdziesiąt dwa metry długości frachtowca „Fuzhou Dragon”, po czym otworzył ciężki stalowy właz do ładowni i spojrzał na dwa tuziny ludzi stłoczonych w pozbawionej okien przestrzeni. Pod tanimi pryzkami pływały w płytkiej wodzie śmieci i dziecinne plastikowe klocki.

Kapitan Sen zszedł po stromych metalowych schodkach i stanął pośrodku ładowni. W powietrzu czuć było swąd oleju napędowego i odór ludzi, którzy spędzili w ścisku dwa tygodnie.

W przeciwieństwie do wielu kapitanów i marynarzy, którzy pływali na „kiblach” - statkach służących do przemytu ludzi - i którzy w najlepszym razie ignorowali, a czasami nawet bili lub gwałcili swoich pasażerów, Sen nie traktował ich źle. Naprawdę uważał, że spełnia dobry uczynek, wybawiając te rodziny z opresji i wioząc je do szczęśliwej Ameryki, po chińsku Meiguó, co oznacza „Wspaniały Kraj”.

Większość imigrantów uważała jednak, że trzyma sztamę ze szmuglerem Kwanem Angiem, który wyczarterował „Fuzhou Dragona” i znany był powszechnie pod przydomkiem Gui, Duch. Starania Sena, by wciągnąć ich w jakąkolwiek konwersację, spęzły na niczym; ostatecznie udało mu się zaprzyjaźnić tylko z jedną osobą - Changiem Jingerzi, który wołał posługiwać się zachodnią wersją swojego imienia: Sam Chang. Liczący czterdzieści pięć lat wykładowca z portowego miasta Fuzhou w południowo-wschodnich Chinach, zabierał ze sobą do Ameryki całą rodzinę: żonę, dwóch synów oraz owdowiałego ojca.

Chang, wysoki, zrównoważony mężczyzna, siedział na pryczy w przednim rogu ładowni. Spostrzegłszy minę kapitana, zmarszczył brwi i wstał z pryczy.

- Na radarze widać szybką jednostkę, która płynie w naszą stronę - powiedział Sen.

- Amerykanie? - zapytał Chang. - Ich straż przybrzeżna?

- Na pewno - odparł kapitan. - Jesteśmy na ich wodach terytorialnych.

Omiótł wzrokiem przestraszone twarze otaczających go imigrantów i przez chwilę przyglądał się matce trzymającej w ramionach osiemnastomiesięczną dziewczynkę. Kobieta - na której twarzy widniały blizny po ranach zadanych w obozie reedukacyjnym - opuściła głowę i zaczęła płakać.

- Co możemy zrobić? - spytał zatroskany Chang.

Kapitan Sen wiedział, że Chang był w Chinach głośnym dysydem i musiał uciekać z kraju. Gdyby deportowano go ze Stanów Zjednoczonych, wylądowałby zapewne jako więzień polityczny w jednym z cieszących się złą sławą więzień w zachodnich Chinach.

- Być może uda nam się dopłynąć dostatecznie blisko, żeby spuścić was na pontonach - powiedział.

- Nie, nie - zaprotestował Chang. - Przy takim wzburzonym morzu? Wszyscy potoniemy.

- Jest tam coś w rodzaju naturalnego portu. Wewnątrz zatoki nie powinno być dużej fali. Przy plaży będą czekały ciężarówki, które zawiozą was do Nowego Jorku.

- A co będzie z panem? - zapytał Chang.

- Zawrócę w stronę sztormu. Kiedy morze uspokoi się na tyle, by ludzie ze straży przybrzeżnej mogli bezpiecznie wejść na pokład, wy będziecie już dawno podążali złotymi drogami do diamentowego miasta. Teraz powiedz wszystkim, żeby zabrali swoje rzeczy. Zostańcie tutaj, dopóki Duch albo ja nie każemy wam wyjść na pokład - powiedział kapitan Sen, po czym wspiał się szybko po stromych schodkach.

Kiedy wrócił na mostek, Duch wpatrywał się w zaopatrzony w gumową osłonę ekran radaru. Ubrany w standardowy chiński strój - spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami - stał zupełnie bez ruchu, zapierając się mocno nogami. Muskularny, lecz nieduży, miał twarz gładko ogoloną i włosy trochę dłuższe niż typowy biznesmen.

- Przechwyć nas za piętnaście minut - rzekł głosem pozbawionym emocji.

Nawet teraz, w obliczu rychłego zajęcia statku i aresztowania, wydawał się pogrążony w letargu niczym sprzedawca biletów gdzieś na zagubionym w głuszy przystanku autobusowym.

- Za piętnaście minut? - zdziwił się kapitan. - To niemożliwe. Moim zdaniem, mamy co najmniej czterdzieści.

- Nie. Zmierzyłem odległość, jaką pokonali od momentu, kiedyśmy ich zauważyli.

Kapitan Sen zerknął na spoconego marynarza, zaciskającego ręce na sterze. Jeśli Duch miał rację, nie uda im się dotrzeć na czas do miejsca osłoniętego przed sztormem. W najlepszym razie zbliżą się na pół mili do pobliskiego skalistego wybrzeża.

- Musimy rozważyć, jaki mamy wybór - powiedział Duch.

Wydawał się spokojny, ale Sen wiedział, że musi być wściekły. Żaden ze szmuglerów, z którymi współpracował, nie podjął nigdy tyłu środków ostrożności, aby uniknąć zatrzymania. Dwudziestu czterech imigrantów spotkało się w opuszczonym magazynie na obrzeżach Fuzhou i czekało tam dwa dni pod nadzorem wspólnika Ducha, który załadował ich następnie do wycarterowanego tupolewa 154 i wysłał do Rosji. Samolot wylądował na nieczynnym lotnisku wojskowym pod Petersburgiem. Stamtąd przejechali ukryci w kontenerze sto dwadzieścia kilometrów do miasta Wyborg i weszli na pokład „Fuzhou Dragona”, który zaledwie dzień wcześniej wpłynął do rosyjskiego portu. Sen własnoręcznie wypełnił dokumenty celne i manifest ładunkowy, wszystko zgodnie z przepisami. Duch dołączył do nich w ostatniej chwili i statek popłynął zgodnie z rozkładem - przez Bałtyk, Morze Północne, kanał La Manche, a potem na południowy zachód, w stronę Long Island i Nowego Jorku.

Podczas całego rejsu nie zdarzyło się nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

- Skąd się o nas dowiedzieli? - zapytał kapitan.

Duch wyprostował się i nie zwracając uwagi na porywisty wiatr, wyszedł na zewnątrz.

- Kto to może wiedzieć? - zawołał przez ramię, stojąc tuż za progiem. - Może użyli czarów?

- Mamy ich, Lincoln. Łódź kieruje się w stronę brzegu, ale czy uda im się dopłynąć? Nie, nie ma mowy. Zaczekajcie... czy nie powinienem nazywać tej jednostki statkiem? Chyba tak. Jest za duża na łódź.

- No, nie wiem - mruknął w zamyśleniu Lincoln Rhyme, zwracając się do Freda Dellraya.

Wysoki tyczkowaty agent FBI, Dellray, nadzorował ze strony władz federalnych śledztwo, które miało na celu zlokalizowanie i aresztowanie Ducha. Ani jego kanarkowożółta koszula, ani czarny garnitur nie różniący się zbytnio kolorem od skóry Dellraya, nie miały ostatnio bliższej styczności z żelazkiem. W gruncie rzeczy nikt z obecnych w pokoju nie sprawiał wrażenia wypoczętego. Sześć otaczających Rhyme'a osób przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny praktycznie koczowało w jego domu przy Central Park West, w pomieszczeniu nie przypominającym wcale wiktoriańskiej bawialni, którą kiedyś było, lecz raczej kryminalistyczne laboratorium - wypełnione sprzętem, komputerami, chemikaliami i setkami specjalistycznych książek i czasopism.

Zespół składał się z funkcjonariuszy federalnych i stanowych. Stan reprezentował porucznik Lon Sellitto z sekcji zabójstw Nowojorskiego Wydziału Policji, NYPD, ubrany w jeszcze bardziej wygniecione ciuchy niż Dellray i znacznie od niego tęższy (niedawno przeniósł się do swojej mieszkającej w Brooklynie dziewczyny, która, jak oznajmił z żalosaną dumą, gotowała niczym Emeril). Obecny był także Eddie Deng, Amerykanin chińskiego pochodzenia z piątego komisariatu nowojorskiej policji, obejmującego swoim zasięgiem Chinatown. Schludny i elegancki, w okularach od Armaniego i o nastroszonych niczym u jeża czarnych włosach, był partnerem Lona Sellitto.

Siły federalne wspierał pięćdziesięciokilkuletni Harold Peabody, sprytny facet o gruszkowatej figurze, który zajmował jedno z wyższych stanowisk w manhattańskim biurze Urzędu do spraw Imigracji i Naturalizacji, INS. On i Dellray nieraz już się starli podczas tego dochodzenia. Po incydencie z „Golden Venture” - w trakcie którego dziesięciu nielegalnych imigrantów zatono, kiedy przewożący ich statek rozbił się o brzeg w Brooklynie - FBI przejęło zwierzchnią jurysdykcję nad dużymi dochodzeniami związanymi z przemytem ludzi. Urząd imigracyjny nie był zbytnio zachwycony faktem, że ma podlegać innym agencjom, zwłaszcza takim, które uparły się, by współpracować z... jakby to określić... alternatywnymi konsultantami pokroju Lincolna Rhyme'a.

Peabody'emu pomagał agent Alan Coe, trzydziestolatek z krótko przystrzyżonymi ciemnorudymi włosami. Energiczny, lecz humorzasty Coe był istną zagadką: nie mówił prawie nic o życiu osobistym ani o karierze. Ożywił się tylko raz, wygłaszając jeden ze swoich spontanicznych - i nudnych - wykładów na temat zła, jakim jest nielegalna imigracja. Mimo to pracował bez wytchnienia i strasznie mu zależało na ujęciu Ducha.

Była czwarta czterdzieści pięć rano i Lincoln Rhyme manewrował właśnie przez zagracony pokój swoim napędzanym bateriami wózkiem inwalidzkim Błyskawicą, lawirując w stronę tablicy, do której przyklejono taśmą jedną z nielicznych posiadanych fotografii Ducha - bardzo słabe policyjne zdjęcie - a także fotkę kapitana „Fuzhou Dragona” Sen Zijuna oraz mapkę wschodniej Long Island i omywającego ją oceanu. W okresie zaraz po tragicznym wypadku na miejscu zbrodni, kiedy to doznał urazu na wysokości czwartego kręgu szyjnego i pełnego, obejmującego cztery kończyny porażenia, Rhyme wycofał się

całkowicie z czynnego życia i leżał przykuty do łóżka. Obecnie spędzał dużą część dnia w swojej wiśniowej Błyskawicy, zaopatrzonej w nowy supernowoczesny dotykowy sterownik MKIV, który wyszukał jego opiekun Thom. Sterownik, na którym spoczywał jedyny sprawny palec Rhyme'a, dawał mu o wiele większe możliwości od starego pneumatycznego sterownika uruchamianego ustami.

Rhyme niejedyn już raz pracował jako konsultant dla Nowojorskiego Wydziału Policji, na ogół jednak chodziło o klasyczne ekspertyzy kryminalistyczne. Ta sprawa była nietypowa.

Przed czterema dniami złożyli mu wizytę Sellitto, Dellray, Peabody i Alan Coe. Rhyme nie słuchał ich uważnie - w tym momencie życia niepomiernie absorbował go pewien zbliżający się zabieg medyczny, lecz Dellray zdołał w końcu przyciągnąć jego uwagę.

- W tobie nasza ostatnia nadzieja, Linc - powiedział. - Mamy cholerny problem i nie wiemy, do kogo innego się zwrócić.

Interpol, międzynarodowa organizacja policji kryminalnych, rozesłał właśnie list gończy za Duchem. Według informatorów, szmugler udał się do jednego z portów w Rosji, aby odebrać grupę chińskich imigrantów, wśród których był jego *bangshou*, czyli asystent, szpieg udający jednego z pasażerów. Portem docelowym miał być prawdopodobnie Nowy Jork. Następnie Duch zniknął.

Dellray przyniósł ze sobą jedyny dowód rzeczowy, jaki posiadali: teczkę zawierającą kilka należących do Ducha przedmiotów z jego kryjówki we Francji. Mieli nadzieję, że Rhyme potrafi im udzielić pewnych wskazówek, dokąd może prowadzić ten ślad.

- Skąd taka mobilizacja? - zapytał Rhyme, przyglądając się gościom.

- Duch jest prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym przemytnikiem na świecie - oznajmił Harold Peabody z urzędu imigracyjnego. - Poszukuje się go za jedenaście zabójstw: nie tylko imigrantów, lecz także policjantów i agentów. A wiemy, że ma na sumieniu więcej. Nielegalnych imigrantów nazywa się skreślonymi z ewidencji: jeśli próbują oszukać szmuglera, giną. Jeśli się skarżą, giną. Ich rodziny nie mają od nich żadnych wiadomości. Oceniamy, że w ciągu ostatnich kilku lat zaginęło co najmniej pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu imigrantów, którymi zajmował się Duch.

- Transportuje tych ludzi osobiście - włączył się Dellray - wyłącznie dlatego, że chce rozszerzyć tutaj swoją działalność.

- No dobrze, ale dlaczego przyszliście z tym do mnie? - zapytał Rhyme. - Nie znam się na przemycie ludzi.

- Próbowaliśmy wszystkiego - wyjaśnił agent FBI. - Bez rezultatu. Nie mamy żadnej jego porządnej fotografii, żadnych odcisków. Zero. Z wyjątkiem tego - dodał, wskazując głową teczkę.

- No nie wiem, panowie... - Rhyme zmierzył teczkę sceptycznym spojrzeniem. - Zrobię co w mojej mocy. Ale nie oczekujcie cudów.

Po dwóch dniach wezwał ich z powrotem. Thom oddał Alanowi Coe teczkę.

- Znalazł pan tu coś przydatnego? - zapytał młody agent.

- Nie - odparł różnym tonem Rhyme.

- Niech to diabli - mruknął Dellray. - No, to mamy przechłapanie.

Lincoln Rhyme tylko na to czekał. Oparł głowę na luksusowej poduszce, którą Thom przemocował do oparcia jego wózka, i wyrzucił z siebie jednym tchem:

- Duch wraz z dwudziestoma, maksimum trzydziestoma nielegalnymi chińskimi imigrantami płynie wyposażonym w dwa silniki wysokoprężne frachtowcem o nazwie „Fuzhou Dragon”, którego portem macierzystym jest Fuzhou w prowincji Fujian w Chinach. Statkiem dowodzi pięćdziesięciosześcioletni kapitan Sen Zi-jun. Sen to nazwisko. Załoga liczy siedem osób. Przed czternastoma dniami wypłynęli o godzinie ósmej czterdzieści pięć z Wyborga i są w tej chwili... jak oceniam... około trzystu mil od wybrzeży Nowego Jorku.

- Jak, do diabła, udało się panu to ustalić? - bąknął osłupiały Coe. Nawet Sellitto, dla którego zdolności dedukcyjne Rhyme'a nie stanowiły niespodzianki, wybuchnął śmiechem.

- To proste - odparł kryminolog. - Założyłem, że będą żeglować ze wschodu na zachód; w przeciwnym razie wypłynęliby z samych Chin. Mam znajomego w moskiewskiej policji. Poprosiłem go, żeby zadzwonił do kapitanatów portów w zachodniej Rosji. Znajomy użył swoich wpływów i zdobył manifesty ładunkowe wszystkich chińskich statków, które wyszły z portów w ciągu minionych trzech tygodni. Odkryliśmy, że tylko jeden statek zabrał dość paliwa, aby przepłynąć osiem tysięcy mil, podczas gdy w jego manifeście była mowa tylko o czterech tysiącach czterystu. Dysponując zapasem paliwa na osiem tysięcy mil, mogą dopłynąć z Wyborga do Nowego Jorku i z powrotem do Anglii. Mają zamiar wysadzić Ducha i imigrantów i czym prędzej zmykać do Europy.

- Może paliwo w Nowym Jorku jest dla nich zbyt drogie... - mruknął Dellray.

Rhyme wzruszył ramionami - był to jeden z niewielu lekceważących gestów, na jakie pozwalało mu jego ciało.

- Jest coś więcej - podjął. - W manifeście statku napisano, że „Fuzhou Dragon” transportuje maszyny przemysłowe do Ameryki. Jego zanurzenie przy wyjściu z portu wynosiło trzy metry, podczas gdy w pełni obciążony statek tej wielkości powinien mieć co najmniej sie dem i pół metra zanurzenia. To znaczy, że był pusty. Nie licząc Ducha i imigrantów. Aha, powiedziałem, że jest ich od dwudziestu do trzydziestu, ponieważ „Fuzhou Dragon” wziął zapasy świeżej wody i jedzenia dla takiej liczby osób.

- Niech mnie kule - zaklął z podziwem Harold Peabody.

Tego samego dnia satelity szpiegowskie wykryły „Fuzhou Dragona” mniej więcej dwieście osiemdziesiąt mil od wybrzeża, dokładnie tak jak to przewidywał Rhyme. Obecnie, we wtorek tuż przed świtem, chiński statek znajdował się na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych i ścigał go kuter straży przybrzeżnej „Evan Brigant” z dwudziestopięciosobową załogą, dwoma sprzężonymi karabinami maszynowymi kalibru pięćdziesiąt oraz osiemdziesięciomilimetrowym działem na pokładzie. Według planu, statek

miał zostać opanowany i doprowadzony do Port Jefferson na Long Island, a imigranci przewiezieni do aresztu federalnego, by czekać na deportację względnie starać się o azyl.

Rozległ się sygnał radiowy z kutra, który zbliżał się do „Fuzhou Dragona”. Thom przełączył telefon na tryb głośno mówiący.

- Agent Dellray? Tu kapitan Ransom z „Evan Brigant”.

- Słyszę pana dobrze, kapitanie.

- Chyba nas zauważyli. Potrzebujemy wskazówek w kwestii ataku. Boimy się, że mogą być ofiary w ludziach. Odbiór.

- Chodzi panu o kogo? - zapytał lekceważącym tonem Coe. - O bezpieczeństwa?

- Zgadza się. Naszym zdaniem powinniśmy po prostu zmusić statek do zmiany kursu i poczekać, aż Duch sam się podda. Odbiór.

Dellray ścisnął palcami papierosa, którego trzymał za uchem na pamiątkę czasów, gdy był w szponach nałogu.

- Nie udzielam zgody - powiedział. - Trzymajcie się pierwotnego planu. Zatrzymajcie statek, wejdźcie na pokład i aresztujcie Ducha. Zezwalam na użycie broni palnej. Zrozumiano?

- Tak jest. Bez odbioru.

Telefon umilkł i Thom wyłączył tryb głośno mówiący. Zapadła cisza. W pokoju wyczuwało się coraz większe napięcie.

Chwilę później zadzwonił prywatny telefon Rhyme'a. Thom odebrał go w rogu pokoju. Przez chwilę słuchał rozmówcy, po czym podniósł wzrok.

- To doktor Weaver, Lincolnie. W sprawie zabiegu. Powiem jej, że oddzwonisz później - dodał, spoglądając na spiętych funkcjonariuszy.

- Nie - odparł stanowczo Rhyme. - Odbiorę teraz.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Wiatr był coraz silniejszy i fale wznosiły się wysoko ponad burtami nieustraszonego „Fuzhou Dragona”. Duch omiół uważnie wzrokiem rufę statku, lecz nie mógł nigdzie dostrzec swojego *bangshou*. Odwróciwszy się w stronę dziobu, zmrużył oczy przed wiatrem, ale ładu też nie było widać - wyłącznie rozkołysane góry czarnej wody.

Wdrapał się na mostek i zastukał w szybkie drzwi. Kapitan Sen Zi-jun zobaczył go, naciągnął na głowę włóczkową czapkę i posłusznie wyszedł na deszcz.

- Wkrótce będzie tu straż przybrzeżna - zawołał Duch, przekrzykując szum wiatru. - Zostaw tych ludzi na mostku, a sam z resztą załogi zejź na dół i ukryj się wśród prosiaków.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ jesteś porządnym człowiekiem - wyjaśnił Duch. - Zbyt porządnym, żeby kłamać. Udam, że to ja jestem kapitanem. Potrafię spojrzeć człowiekowi w oczy i sprawić, że uwierzy w to, co mówię. Ty tego nie potrafisz.

- To mój statek.

- Nie - odpalił Duch. - W trakcie tego rejsu „Fuzhou Dragon” należy do mnie. Płacę ci jednokolorową walutą. - Amerykańskie dolary były o wiele więcej warte od chińskich juanów.

Duch wskazał głową marynarzy na mostku.

- Powiedz im, żeby wykonywali moje rozkazy - zażądał.

Kiedy Sen zawahał się, posłał mu spokojne, lecz mrozące krew w żyłach spojrzenie, które przejmowało grozą każdego, kto kiedykolwiek popatrzył w te oczy. Sen opuścił wzrok i wrócił na mostek, aby wydać stosowne polecenia.

Dziesięciu piekielnych sędziów...

Mężczyzna leżący na rufie „Fuzhou Dragona”, podpełzł do burty, wystawił głowę na zewnątrz i znowu zaczął rzygać. Leżał przy tratwie ratunkowej przez całą noc, od chwili kiedy czując, jak wzmaga się sztorm, uciekł z cuchnącej ładowni, żeby oczyścić ciało i przywrócić mu harmonię starganą przez rozkołysane morze. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zziębnięty i sponiewierany. Wyobrażał sobie, że morze jest oszalałym smokiem, i miał ochotę wyciągnąć z kieszeni ciężki pistolet i zastrzelić tę dziką bestię.

Nazywał się Sonny Li, chociaż zaraz po urodzeniu otrzymał imię Kangmei, czyli „Powstrzymaj Amerykę”. Dzieci, które urodziły się pod panowaniem Mao, często nosiły takie poprawne politycznie imiona. Podobnie jednak jak wielu innych młodych ludzi z nadmorskich prowincji Chin - Fujian i Guangdong - miał również zachodnie imię, które nadali mu koledzy z jego paczki: Sonny, na cześć niebezpiecznego, porywczego syna Don Corleone z filmu „Ojciec chrzestny”.

O piekielni sędziowie...

W tej chwili Li był gotów na to, by porwały go piekielne stwory. Przyznał się do wszystkich złych uczynków, jakie popełnił w swoim życiu.

Obejrzał się i wydawało mu się, że zobaczył Ducha, ale zaraz potem jego żołądkiem targnął kolejny skurcz i musiał odwrócić się z powrotem w stronę relingu. Zapomniał o wszystkim prócz dziesięciu piekielnych sędziów, którzy zacierając ręce z uciechy, zachęcali demony, by dźgały go w brzuch swoimi włóczniami. Znowu zaczął wymiotować.

Rozwiane przez wiatr rude włosy opartej o samochód wysokiej kobiety ostro kontrastowały z żółtą karoserią starego sportowego kabrioletu chevy camaro i z czarnym nylonowym pasem, w którym tkwił jej pistolet.

Ubrana w dżinsy oraz wiatrówkę z kapturem i napisem: EKIPA DOCHODZENIOWA NYPD na plecach, Amelia Sachs zerknęła na wzburzone wody oceanu w pobliżu Port Jefferson na północnym wybrzeżu Long Island, następnie zaś rozejrzała się dookoła. Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji, FBI, policja hrabstwa Suffolk oraz jej własna firma otoczyły kordonem parking, na którym w normalny sierpniowy dzień roiłoby się od rodzin i młodzieży przybyłych, by złapać trochę słońca. Tropikalny sztorm przepłoszył jednak urlopowiczów.

W pobliżu stały dwa autobusy, które urząd imigracyjny wypożyczył z zarządu więziennictwa, a także pół tuzina ambulansów i cztery mikrobusy z siłami taktycznymi. Zawijający do portu „Fuzhou Dragon” miał być teoretycznie pod kontrolą załogi kutra pościgowego „Evan Brigant”, a Duch i jego pomocnik aresztowani.

Sachs usłyszała, jak dzwoni jej komórka, i usiadła na wąskim fotelu chevroleta, żeby odebrać. Dzwonił Rhyme.

- Chyba zwietrzyli pismo nosem, Sachs - powiedział. - „Fuzhou Dragon” skręcił w stronę lądu. Kuter dotrze tam, zanim dopłyną do brzegu, ale wydaje nam się, że Duch szykuje się do walki.

- Dzwoniła do ciebie? - zapytała Sachs, kiedy Rhyme na moment przerwał.

Chwila milczenia.

- Owszem - odparł w końcu. - Dziesięć minut temu. W przyszłym tygodniu mają wolny termin w Manhattan Hospital. Zadzwoń jeszcze, żeby podać szczegóły.

Osobą, która dzwoniła do Rhyme'a, była doktor Cheryl Weaver, znana neurochirurg. A wolny termin dotyczył eksperymentalnego zabiegu, któremu Rhyme miał się zaimplementować w nadziei, że poprawi choć częściowo jego sprawność. Zabiegu, któremu Sachs była przeciwna.

Rhyme nie lubił poruszać spraw osobistych w trakcie trwania akcji.

- Zadzwoń później - powiedział i rozłączył się.

Zabieg Rhyme'a przypomniał jej niedawną rozmowę z innym lekarzem, który nie miał nic wspólnego z planowaną operacją. Dwa tygodnie wcześniej Sachs czekała na niego w szpitalnej poczekalni. Mężczyzna w białym kitlu podszedł do niej z poważną miną, która ją zmroziła.

- A, tu pani jest, pani Sachs.

- Dzień dobry, doktorze.

- Właśnie rozmawiałem z lekarzem Lincolna Rhyme'a.

- Mam wrażenie, że nie przynosi pan od niego dobrych wieści - powiedziała z bijącym mocno sercem.

- Może usiądziemy tam w rogu?

- Tu jest dobrze - odparła stanowczo. - Niech mi pan powie. Bez owijania w bawełnę.

Podmuch wiatru zakotyłał ją i spojrzała ponownie w stronę portu, na długie moło, przy którym miał zacumować „Fuzhou Dragon”, a potem przełączyła komórkę na częstotliwość straży przybrzeżnej, żeby oderwać myśli od tej osłepiająco jasnej szpitalnej poczekalni.

Jak daleko do ładu? - zapytał Duch dwóch marynarzy, którzy pozostali na mostku.

- Mila, może mniej. - Szczupły mężczyzna za sterem posłał mu szybkie spojrzenie. - Skręcimy tuż przed mielizną i spróbujemy wejść do zatoki.

- Nie zmieniajcie kursu. Zaraz wracam - powiedział Duch.

Nie zważając na wiatr i deszcz, które smagały go po twarzy, zszedł na pokład kontenerowy, a potem jeszcze niżej i stanął przy metalowym włączniku ładowni, w której były prosiaki.

- *Bangshou!* - zawołał, zaglądając do środka.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zablokował zasuwy tak, żeby wjazdu nie można było otworzyć od środka, po czym ruszył szybko do swojej kabiny, która mieściła się na tym samym pokładzie co mostek. Wspinając się po schodkach, wyjął z kieszeni małe czarne pudełko, otworzył je i przycisnął jeden, a potem drugi guzik. Sygnał radiowy pomknął dwa pokłady niżej do marynarskiego worka, leżącego w ładowni na rufie poniżej linii wodnej. Obwód zamknął się i posłał impuls elektryczny z dziewięciowoltowej baterijki do zapalnika, który tkwił w dwukilogramowej kostce materiału wybuchowego o nazwie Composition 4.

Wybuch był potężny, o wiele silniejszy, niż się spodziewał. Duch spadł ze schodków na główny pokład. Za duży ładunek, pomyślał. Statek jął natychmiast nabierać wody i przechylać się na bok. Za kilka minut powinien pójść na dno. Zerknął w stronę kabiny, gdzie były jego pieniądze i broń, a potem jeszcze raz omiół wzrokiem inne pokłady, szukając swojego pomocnika. Nie widząc go, ruszył na czworakach po pochyłym pokładzie do najbliższej tratwy ratunkowej i zaczął rozwiązywać mocujące ją liny.

Huk był ogłuszający - jakby sto kowalskich młotów uderzyło w kowadło. Prawie wszyscy imigranci runęli na zimną moką podłogę. Sam Chang zerwał się zaraz na nogi i podniósł swojego młodszego syna, który wylądował w kałuży brudnej wody. Potem pomógł żonie i staremu ojcu.

- Co się stało? - zawołał w stronę kapitana Sena wspinającego się do włazu, przez który można było wyjść na pokład.

- Nie wiem! - odrzyknął kapitan. - Albo Duch wysadził statek, albo strzela do nas straż przybrzeżna.

- Co się dzieje? - zapytał z paniką w głosie mężczyzna siedzący obok Changa. Nazywał się Wu Qichen. Jego żona leżała na sąsiedniej pryczy. Przez cały czas trwania rejsu miała wysoką gorączkę i nawet teraz nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- Toniemy! - zawołał kapitan i razem z kilkoma członkami załogi zaczął szarpać zasuwę włazu. Ale grube metalowe sztaby nie przesunęły się nawet o milimetr.

Chang zdał sobie sprawę, że „Fuzhou Dragon” ostro się przechyla. Zimna morska woda tryskała teraz ze spawów łączących metalowe płyty. Kilka osób ześlizgnęło się do coraz głębszych bajor wypełnionych śmieciami, bagażami, resztkami jedzenia, styropianowymi filiżankami i papierzyskami. Krzycząc w panice, młócili rękoma wodę. Kobieta z bliznami na twarzy kurczowo przyciskała do piersi małą córeczkę. W cuchnącym powietrzu słychać było potężny jęk konającego statku.

Mężczyźni przy włazie nadal nie mogli go otworzyć.

- To nic nie da! - zawołał Chang do kapitana. - Musimy znaleźć inne wyjście.

- Z tyłu ładowni jest właz prowadzący do maszynowni - odparł kapitan Sen, wskazując na zabezpieczoną czterema śrubami małą klapę w podłodze.

Pobiegli obaj w tamtą stronę i odkręcili śruby sprężynowym nożem kapitana. Chang pchnął mocno klapę, która wpadła do drugiego pomieszczenia. Maszynownię również wypełniała woda, ale nie było jej tyle co w ładowni. Chang zobaczył schodki prowadzące na główny pokład.

Na widok otwartego włazu rozległy się głośnie krzyki. Imigranci rzucili się w panice do ucieczki. Kapitan Sen i Chang stanęli ramię w ramię, powstrzymując gromadę.

- Po kolei! - zawołał kapitan. - Przez maszynownię i w górę po drabinie. Na pokładzie są tratwy ratunkowe - dodał, po czym dał znak tym, którzy byli najbliżej.

Pierwszy wypełził na zewnątrz John Sung, lekarz i dysydent; następnie młode małżeństwo. Sung przykucnął po drugiej stronie, żeby teraz pomóc innym.

- Wchodź! - krzyknął kapitan, spoglądając na Changa.

Ten dał znak swojemu ojcu i mężczyzna przeszedł przez właz. Następni byli synowie Changa: nastolatek William i ośmioletni Ronald. Potem jego żona, Mei-Mei. Chang przeszedł ostatni i odwrócił się, żeby razem z Sungiem pomagać innym.

Przy włazie pojawiła się rodzina Wu: Qichen, jego chora żona, a także ich córka i syn. Kiedy Chang podał rękę następnemu imigrantowi, jeden z marynarzy przełazi pierwszy przez właz i odepchnął Sunga. Chang pomógł doktorowi podnieść się z podłogi.

- Nic mi nie jest! - krzyknął Sung i ścisnął talizman, który nosił na szyi.

Statek zakołysał się nagle i wszedł w jeszcze głębszy przechył. Ładownię momentalnie wypełniła woda. Ludzie krzyczeli rozpaczliwie i zaczęli się krztusić.

Zaraz zatoniemy, pomyślał Chang. Jeden z silników statku przestał pracować i zgasły światła. W wodzie, która wlewała się z bulgotem do maszynowni, Chang zobaczył twarz kapitana Sena. Dal mu znak, żeby się wynurzył, ale kapitan zniknął w ładowni. Po kilku sekundach pojawił się ponownie i przecisnął coś przez właz.

Chang sięgnął do spienionej wody, zacisnął dłoń na tobołku i mocno pociągnął. To było niemowlę, córka kobiety z poranioną twarzą. Krztusiła się, kasłała, ale była przytomna. Chang przycisnął ją mocno do piersi, podpłynął do drabiny i zalewany lodowatymi strugami wody wdrapał się na pokład wyżej. Widząc, co się dzieje, poczuł, jak dławi go w gardle lęk - rufa statku ledwo wystawała z wody, szare wzburzone fale zalały już część pokładu. Jego ojciec i synowie próbowali razem z Wu Qichenem rozplątać liny mocujące duży pomarańczowy niezatapialny ponton, który unosił się już na wodzie, ale za kilka chwil mógł pójść na dno razem ze statkiem. Chang przekazał dziecko swojej żonie i pobiegł im pomóc. Kiedy udało się w końcu uwolnić ponton, pomógł wsiąść do niego swoim bliskim, a także rodzinie Wu, Johnowi Sungowi i młodemu małżeństwu. Gnany potężnymi falami ponton szybko oddalił się od statku.

Chang zaczął wściekle pociągać za linkę silnika przy burcie. Gdy zapalił, skierował ponton na fale, a potem zatoczywszy krąg, popłynął we mgle i deszczu z powrotem do tonącego statku.

- Dokąd płyniesz? - zawołał Wu.

- Po innych! - odkrzyknął Chang. - Musimy znaleźć innych.

I wtedy właśnie nie dalej niż metr od niego świsnęła w powietrzu kula.

Duch był wściekły. Stojąc na dziobie tonącego statku i trzymając dłoń na lince silnika pontonu, spoglądał w miejsce, gdzie dostrzegł właśnie kilku imigrantów, którzy zdołali uciec.

Strzelił jeszcze raz, ponownie chybiając i skrzywił gniewnie usta, kiedy imigranci zniknęli z pola widzenia, opływając statek.

Wskoczył do swojego pontonu, odepchnął się nogą od statku i zaczął lustrować wzrokiem pobliskie wody. Zobaczył dwie unoszące się na falach głowy i machające rozpaczliwie dłonie z rozcapierzonymi palcami. To byli dwaj marynarze z załogi „Fuzhou Dragona”. Wycelowwał do nich z chińskiej wojskowej wersji tokariewa model 51 i zabił obu pojedynczymi strzałami.

Następnie uruchomił silnik i zaczął ponownie wypatrywać swojego pomocnika. Niestety, zaginął po nim wszelki ślad. Musiał wpaść do wody i utonąć, ponieważ na pewno nie pozbył się swojego ciężkiego pistoletu i amunicji. Duch miał jednak teraz inne sprawy na głowie. Skierował tratwę tam, gdzie ostatnio widział imigrantów i otworzył maksymalnie przepustnicę.

Sam Chang, mimowolny kapitan kruchego pontonu, przyjrzał się swoim pasażerom. Dwie rodziny - jego własna i Wu - tłoczyły się z tyłu. Z przodu siedział doktor John Sung oraz dwoje pozostałych Chińczyków, którym udało się uciec z ładowni i których Chang znał tylko z imienia: mężczyzna nazywał się Chao-hua, a jego żona Rose.

Zalała się nad nimi fala, zalewając wodą i tak już kompletnie mokrych rozbitków. Żona Changa ściągnęła z siebie sweter i zawinęła weń malutką córeczkę kobiety z bliźniami. Dziewczynka, przypomniał sobie nagle Chang, miała na imię Po-Yee, co oznaczało „Drogocenne Dziecko” - była ich szczęśliwą maskotką przez całą podróż.

- Płyn! - wrzasnął Wu. - Płyn do brzegu. On do nas strzela!

Chang spojrzał na spienione morze.

- Zaraz tam popłyniemy. Ale najpierw musimy uratować, kogo się da. Wypatrujcie ich! Siedemnastoletni William zmrużył oczy przed ostro zacinającym deszczem.

- Tam! - zawołał. - Chyba kogoś widzę.

W odległości mniej więcej dziesięciu metrów Chang zobaczył dwie plamy: jedną ciemną, a obok o wiele mniejszą, białą. Tak jakby czyjaś głowę i rękę. Podpłynął bliżej i okazało się, że to rzeczywiście jeden z rozbitków, blady i krztuszący się wodą. Przypomniał sobie jego nazwisko: Sonny Li. Przez całą podróż siedział na uboczu z ponurą miną. Tak czy inaczej, był teraz w potrzebie i Chang uznał, że trzeba go ratować.

Ustawiając ponton przodem do wielkiej fali, zobaczył w odległości pięćdziesięciu metrów unoszący się i opadający pomarańczowy obiekt. To był ponton Ducha.

Dodał szybko gazu i skręcił w kierunku tonącego. Kiedy znaleźli się przy Sonnym, dał ciąg wsteczny, wychylił się za gumową burłę, złapał rozbitka za ramię i wciągnął go do pontonu. Kolejny strzał z pistoletu wzbil obok nich fontannę wody. Chang dodał gazu i zaczął okręzać „Fuzhou Dragona”, tak aby tonący statek znalazł się między nimi i Duchem.

Chwilę później skierował ponton w stronę brzegu i dał pełen ciąg. Kolejny strzał. Kula trafiła w wodę tuż obok. Jeśli Duch przedziurawi ponton, zatoną w ciągu paru minut.

Nagle usłyszeli potężne, nieziemskie stęknienie. „Fuzhou Dragon” przechylił się jeszcze bardziej na bok i zniknął pod powierzchnią wody. Ogromna, wzniesiona przez tonący statek fala przetoczyła się po morzu niczym fala uderzeniowa po wybuchu bomby. Ponton szmuglera skręcił ostro w bok i po chwili zniknął z pola widzenia.

Sam Chang, mimo że był profesorem uczelni, artystą i działaczem politycznym, wierzył podobnie jak wielu Chińczyków w dobry i zły omen. Przez chwilę łudził się, że bogini miłosierdzia Guan Yin ulitowała się nad nimi i skazała Ducha na śmierć w odmętach.

Błogie złudzenie nie trwało jednak długo.

- Nadal go widzę! - zawołał John Sung, który spoglądał do tyłu. - Duch nas ściga.

A więc Guan Yin ma dzisiaj do załatwienia inne ważne sprawy, pomyślał z goryczą Sam Chang. Jeśli chcemy przeżyć, musimy radzić sobie sami.

- Wysadził statek - wyszeptał Lon Sellitto.

Fred Dellray przestał chodzić w kółko, a Harold Peabody i Alan Coe popatrzyli tylko po sobie. Sellitto słuchał jeszcze przez chwilę swojego rozmówcy i zwrócił się do Rhyme'a.

- Statek zniknął, Linc. Razem ze wszystkimi, którzy byli na pokładzie. Straż przybrzeżna nie wie dokładnie, co się wydarzyło, ale ich sensory odebrały podwodną eksplozję, a dziesięć minut później „Fuzhou Dragon” zniknął z ekranu radaru.

Rhyme wbijał wzrok w mapę Long Island.

- Jak daleko od brzegu?

- Około mili.

Lincoln Rhyme rozpatrzył wcześniej pół tuzina scenariuszy tego, co się może wydarzyć, gdy straż przybrzeżna opanuje chiński statek - część była optymistyczna, część uwzględniała straty w ludziach. Ale żeby zatopić wszystkich? Nie, coś takiego nie przyszło mu w ogóle do głowy.

Był na siebie wściekły. Wiedział, że Duch jest wyjątkowo niebezpiecznym przestępcą; powinien był przewidzieć to mordercze posunięcie. Zamknął na chwilę oczy i próbował jakoś uporać się z poczuciem winy. Nie zaprzętał sobie głowy tymi, którzy odeszli, powtarzał często. Ale nie mógł tak od razu zapomnieć tych biedaków.

Wcześniej sądził, że po przejściu statku, aresztowaniu Ducha i zebraniu dowodów jego rola zakończy się i będzie mógł przygotować się do zabiegu. Teraz jednak wiedział, że nie zdoła porzucić tej sprawy. Tkwiący w nim myśliwy musiał odnaleźć tego człowieka i posadzić go na ławie oskarżonych.

Zadzwoił telefon Dellraya i agent odebrał go. Po krótkiej rozmowie wyłączył komórkę.

- Zdaniem straży przybrzeżnej do brzegu płyną dwa motorowe pontony - oznajmił, po czym podszedł sztywno do mapy i wskazał palcem miejsce. - Gdzieś tutaj. Easton, małe miasteczko przy drodze do Orient Point. Wysłali parę kutrów, żeby szukały rozbitków, a my przenosimy naszych ludzi z Port Jefferson w miejsce, dokąd zmierza ją pontony. Ale odległość wynosi osiemdziesiąt kilometrów. Mówią, że potrwa to co najmniej dwadzieścia minut.

- Czy nie można tam pchnąć kogoś szybciej? - zapytał Peabody.

Rhyme przez chwilę się zastanawiał.

- Polecenie, telefon - powiedział do zamontowanego przy wózku mikrofonu.

Amelia Sachs pędziła wschodnią nitką biegnącej przez Long Island autostrady, prowadząc swego camaro super sport z szybkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Niebieskie migające światło miała na desce rozdzielczej - trudno przecież zamontować je na płóciennym dachu kabrioletu - i niebezpiecznie przeskakiwała z pasa na pas. W palcach, ściskających obleczonej w skórę kierownicę, pulsował tępy artretyczny ból.

Zgodnie z decyzją, jaką podjęli wspólnie z Rhyme'em, gdy przed pięcioma minutami do niej zadzwonił, Sachs weszła w skład wyprzedzającej resztę sił policyjnych szybkiej grupy, która przy odrobinie szczęścia mogła dotrzeć do plaży równocześnie z Duchem i ocalałymi rozbitkami. Drugim członkiem zmontowanej naprędce szpicy był siedzący obok niej młody funkcjonariusz specjalnych oddziałów taktycznych nowojorskiej policji.

Kilka kilometrów za nimi przedzierał się przez burzę autobus ekipy dochodzeniowej, pół tuzina policjantów z hrabstwa Suffolk, karetki pogotowia oraz inne pojazdy urzędu imigracyjnego, FBI i oddziałów specjalnych.

Zadzwonił jej telefon i zonglując przyciskami, odebrała go.

- Daleko do celu? - zapytał Rhyme.

- Robię, co mogę. Czy ktoś ocalał?

- Nie mamy żadnych nowych wiadomości. Wygląda na to, że większość pasażerów została na statku.

- Poznają ten ton, Rhyme. Słuchaj, to nie jest twoja wina.

- Dzięki za troskę. Ostrożnie prowadzisz?

- Oczywiście - odparta, wchodząc znienacka w poślizg, który obrócił samochód o czterdzieści pięć stopni. Gliniarz z oddziałów specjalnych zamknął oczy.

- Mamy telefon z kutra straży przybrzeżnej, Sachs. Muszę kończyć - powiedział Rhyme. - Szukaj dokładnie, ale miej się na baczności.

- To mi się podoba. Wydrukujemy to na T-shirtach ekipy dochodzeniowej.

Autostrada skończyła się i Sachs wjechała na węższą drogę. Nigdy wcześniej nie była w Easton, miejscowości, do której płynęły pontony. Zastanawiała się, jaka jest tam topografia terenu. Czy wybrzeże jest klifowe? Czy będzie musiała się wspinać? Artretyzm dawał jej się ostatnio porządnie we znaki, a wilgotne powietrze potęgowało ból i sztywność w stawach.

Interesowało ją także, czy Duch wylądował na plaży, znajdzie tam dość kryjówek, z których mógłby ją ostrzelać.

Zerknęła na szybkościomierz i wcisnęła gaz do dechy.

W miarę jak miotany falami ponton zbliżał się do brzegu, wyłaniające się przed nimi skały stawały się coraz wyraźniejsze. I coraz bardziej urwiste.



- Wciąż nas ściga! - zawołał Wu.

Chang obejrzał się i dostrzegł za sobą małą pomarańczową plamkę pontonu Ducha. Płynął tym samym kursem co oni, ale wolniej posuwał się do przodu. Chang doszedł do wniosku, że zdążą chyba odnaleźć ciężarówki, które miały ich zabrać do Chinatown. Powie kierowcom, że ściga ich straż przybrzeżna, i każe natychmiast ruszać. Jeśli będą się upierać przy czekaniu, Chang, Wu i inni obezwładnią ich i sami siądą za kierownicą.

Przyjrzał się uważnie linii brzegowej. Deszcz ograniczał widoczność, ale dostrzegł coś, co wyglądało jak droga. Oraz kilka świateł - zapewne zbliżali się do jakiejś miejscowości.

A potem tuż przed nimi znenacka pojawiły się skały. Chang wrzucił ciąg wsteczny i skręcił ostro pontonem, mijając o włos skalną półkę. Nagle zgasł silnik. Chang pociągnął z całej siły za linkę. Silnik zaperkotał i ponownie umilkł. Po kilkunastu kolejnych próbach jego starszy syn dotknął zbiornika z paliwem.

- Jest pusty! - krzyknął.

Chang dostrzegł przed sobą kolejne skały. W tym samym momencie fala porwała ponton niczym deskę surfingową i cisnęła go do przodu. Dziób uderzył z oszałamiającą siłą w skały. Gumowa powłoka rozerwała się z sykiem i z pontonu zaczęło uchodzić powietrze. Siedzące z przodu młode małżeństwo, a także Sonny Li i John Sung wypadli na zewnątrz i zniknęli w spienionej wodzie.

Changowie i Wu, którzy siedzieli z tyłu, zdołali się jakoś utrzymać. Ponton powtórnie rąbnął o skały. Żonę Wu wyrzuciło na skalną półkę, lecz chwilę później spadła z powrotem do pontonu i z poranioną ręką stoczyła się ogłuszona na dno. A potem ponton minął skały, gnany w stronę wybrzeża i szybko tracący powietrze.

Obijani przez fale, byli teraz uwięzieni w strefie przyboju. Od kamienistej plaży dzieliło ich nie więcej niż osiem, dziewięć metrów.

- Do brzegu! - wrzasnął Chang, krztusząc się wodą.

Wydawało się, że nigdy tam nie dopłyną. Nawet najsilniejszy z nich wszystkich Chang łapał kurczowo powietrze, nim udało mu się dotrzeć do brzegu. W końcu poczuł pod nogami pokryte mułem i wodorostami śliskie kamienie i wypełził z wody.

Chwilę później wyczerpane rodziny padły na ziemię. Sam Chang zdołał się w końcu dźwignąć na nogi. Spojrzał na morze, ale nie zobaczył tam ani pontonu Ducha, ani imigrantów, których zmyło za burtę. Wtedy osunął się na kolana i dotknął czołem piasku. Ich towarzysze niedoli i przyjaciele zginęli, a oni sami byli ranni, wyczerpani i ścigał ich zabójca. Mimo to udało im się przeżyć i mieli pod stopami stały ład. On i jego rodzina dotarli do kresu podróży, która zawiodła ich na drugi koniec świata do nowego domu - Wspaniałego Kraju, Ameryki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Siedząc w płynącym pół kilometra od brzegu pontonie, Duch pochylał się nad swoim telefonem komórkowym, próbując osłonić go przed deszczem i falami. Odbiór był zły, ale udało mu się połączyć z Jerry'ym Tangiem, który czekał na niego w pobliżu na brzegu.

Zdyszany Duch opisał Tangowi miejsce, gdzie wylądował - mniej więcej trzysta, czterysta metrów na wschód od skupiska domów lub sklepów.

- Straż przybrzeżna... - odparł Tang i łączność na chwilę się urwała. - Nasłuchuję... skaner... muszę się stąd wynosić.

- Jeśli zobaczysz jakichś prosiaków, zabij ich! - zawołał Duch. - Słyszysz mnie? Są gdzieś blisko na plaży. Znajdź ich i zabij!

- Zabić ich? Chcesz, żebym...

W tej samej chwili fala zalała ponton i zmoczyła od stóp do głów szmuglera. Telefon przestał działać. Zdegustowany cisnął go pod nogi.

Nagle zamajaczyła przed nim skalna ściana. Wyminął ją w ostatniej chwili i skręcił w stronę szerokiej plaży po lewej stronie małej osady. Ponton dobił do brzegu i siła uderzenia wyrzuciła jego pasażera na piasek. Duch dostrzegł Jerry'ego Tanga i jego srebrzyste bmw z napędem na cztery koła. Samochód stał na przysypanej piaskiem asfaltowej drodze mniej więcej dwadzieścia metrów od brzegu. Duch podniósł się i ruszył w tamtą stronę.

Gruby, nie ogolony Tang zobaczył go, podjechał bliżej i otworzył drzwiczki.

- Musimy jechać! - zawołał, wskazując policyjny skaner. - Straż przybrzeżna zawiadomiła policję, która ma przeszukać wybrzeże.

- Co z innymi? - warknął Duch. - Gdzie są prosiaki?

- Nie widziałem żadnego - odparł Tang.

Duch dostrzegł kątem oka niewyraźny ruch na linii przyboju. Jakiś mężczyzna w szarym ubraniu pełzył niczym ranne zwierzę po skałach, uciekając przed falami. Duch odsunął się od samochodu i wyciągnął zza paska pistolet.

- Zaczekaj tutaj! - zawołał.

- Co robisz? - krzyknął zdesperowany Tang. - Nie możemy tu zostać.

Ale Duch nie zwracał na niego uwagi. W tym momencie prosiak podniósł głowę i spostrzegł go. Najwyraźniej złamał sobie nogę i nie tylko nie mógł uciec, lecz nawet podnieść się z ziemi. Zrozpaczony popęzł z powrotem do wody.

Sonny Li otworzył oczy i podziękował dziesięciu piekielnym sędziom - nie za uratowanie z odmętów, ale za to, że po raz pierwszy od dwóch tygodni nie czuł szarpiących mu trzewia mdłości.

Kiedy ponton uderzył o skały, młode małżeństwo, John Sung i on wypadli do wody. Li natychmiast stracił z oczu pozostałą trójkę i dał się nieść falom do chwili, gdy wyczuł pod stopami piaszczyste dno i wyszedł na brzeg.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu w ulewnym deszczu, czekając, aż przestanie go dręczyć morska choroba, a potem dźwignął się i rozejrzał dookoła. Nie zobaczył nic ciekawego, zapamiętał jednak, że po prawej stronie paliły się jakieś światła, i ruszył w tamtą stronę przysypaną piaskiem drogą.

Zastanawiał się, gdzie jest Duch.

A potem, jakby w odpowiedzi na to pytanie, w ciemnościach odbił się echem głośny huk. Li rozpoznał strzał z pistoletu.

Czy to jednak na pewno był Duch? Czy też ktoś miejscowy? (Wiadomo było powszechnie, że wszyscy Amerykanie mają broń). Może to agent amerykańskiego urzędu bezpieczeństwa?

Lepiej uważać. Zależało mu na tym, by szybko odnaleźć Ducha, wiedział jednak, że musi być ostrożny. Zszedł z drogi i zaczął się przedzierać przez krzaki, stąpając tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to zdrętwiałe nogi.

Usłyszawszy huk, imigranci stanęli jak wryci w miejscu.

- To był... - zająknął się Wu Qichen.

- Tak - mruknął Sam Chang. - To był strzał z pistoletu.

- On wciąż zabija. Ściga nas i zabija jednego po drugim.

- Wiem - warknął Chang i spojrzał na ojca. Chang Jiechi oddychał z trudem, nie odczuwał jednak chyba wielkiego bólu i skinął głową na znak, że może iść dalej.

Ich obawy, czy nie trzeba będzie błagać albo nawet zmusić kierowców, by zabrali ich do Chinatown, okazały się bezprzedmiotowe, ponieważ nie czekały na nich żadne ciężarówki. Chang i Wu przez kilka minut nawoływali Sunga, Li i innych, a potem Chang kazał zejść obu rodzinom z drogi i przedzierać się przez trawę i zarośla, gdzie byli mniej widoczni, ruszyli ku światłom.

Zabudowania składały się z kilku restauracji, stacji benzynowej, sklepów z pamiątkami, a także około dziesięciu domów mieszkalnych i kościoła. Zbliżał się świt, ale nigdzie nie było widać śladu życia. Przed restauracjami stało kilkanaście samochodów, w tym mały sedan bez kierowcy, z włączonym silnikiem. Chang potrzebował jednak pojazdu na dziesięć osób, którego kradzieży nie odkryto by przynajmniej przez dwie lub trzy godziny - tyle czasu, jak mu powiedziano, mogła potrwać podróż do Chinatown w Nowym Jorku.

Kazał reszcie czekać za wysokim żywopłotem i dał znak Williamowi i Wu, żeby mu towarzyszyli. Pochyleni, bardzo ostrożnie okrążyli z tyłu budynki.

- Uważajcie na błoto - powiedział Chang, który jak każdy chiński dysydent dawno opanował zasady konspiracji. - Stąpajcie tylko po kamieniach i trawie. Nie chcę, żebyśmy zostawiali odciski stóp.

W końcu dotarli do ostatniego w rzędzie budynku - kościoła - który był pusty i pograżony w mroku. Na jego tyłach stała stara biała furgonetka z wymalowanym z boku napisem. Chang nie rozumiał go, mimo że trochę znał angielski. Na szczęście zadbał o to, by obaj jego synowie uczyli się przez kilka lat języka i amerykańskiej kultury.

- Tu jest napisane: „Kościół Baptistów Zielonoświątkowców w Easton” - wyjaśnił William.

- Szybciej - rzucił podenerwowany Wu. - Sprawdźmy, czy jest otwarta.

Drzwi furgonetki były jednak zamknięte na kluczyk.

Chang zobaczył na mokrej po deszczu ziemi metalową rurkę, podniósł ją i trzepnął w boczną szybę. Szkło rozprysło się na drobne okruchy. Chang wsiadł od strony pasażera i zaczął szukać kluczyków w schowku na mapy. Nie znalazłszy ich, wysiadł i stanął w błocie.

Nagle usłyszał za sobą głośny trzask i odwrócił się przestraszony. Jego syn siadł za kierownicą i rozbił silnym kopnięciem stacyjkę. Teraz wyciągnął przewody i stykał je ze sobą. W końcu silnik zapalił. Chang przyglądał się temu z niedowierzaniem.

- Skąd wiedziałeś, jak to się robi?

Chłopak wrzucił ramionami. Ojciec zmierzył syna ostrym spojrzeniem. Spodziewał się, że ten spuści zawstydzony oczy. William jednak popatrzył na niego chłodno w sposób, w jaki Chang nigdy nie ośmieliłby się spojrzeć na własnego ojca.

Wu szarpnął go za ramię.

- Chodźmy po resztę.

- Nie - odparł Chang. - Każ, żeby oni tutaj przyszli. Stąpaj po naszych śladach.

Wu pospiesznie się oddalił.

William znalazł w furgonetce mapy samochodowe tego rejonu.

- Wiesz, jak jechać? - zapytał go Chang.

- Poradzę sobie. - Chłopak podniósł wzrok. - Chcesz, żebym poprowadził? Nigdy nie byłeś w tym zbyt dobry - dodał bezczelnym tonem.

Ojciec aż zamrugał, słysząc te słowa z ust własnego syna. A potem pojawił się Wu z pozostałymi imigrantami i Chang podbiegł do nich, żeby pomóc żonie i ojcu.

- Dobrze, prowadź - zawołał do Williama.

Zabił dwoje prosiaków - rannego mężczyznę i kobietę. Ale w pontonie było ich kilkunastu. Gdzie się podziała reszta?

Zadzwieczał klakson. To był Jeny Tang. Gruby Chińczyk machał niecierpliwie rękoma.

Duch odwrócił się i jeszcze raz przecesał wzrokiem plażę. Gdzie się ukryli? Może udało im się...

Raptem bmw ruszyło z piskiem opon z miejsca i zaczęło się szybko oddalać.

- Nie! Stój!

Ogarnięty wściekłością, Duch wycelował i strzelił. Pocisk trafił w tylne drzwiczki, ale samochód się nie zatrzymał. Szmugler stanął w miejscu. Nie miał pieniędzy ani telefonu, od bezpiecznej kryjówki na Manhattanie dzieliło go sto trzydzieści kilometrów, a jego pomocnik prawdopodobnie nie żył. Zaraz powinno się tu zjawić kilkudziesięciu policjantów, Tang natomiast właśnie go porzucił.

Duch kilka razy głęboko odetchnął i po chwili się uspokoił. W tym momencie znajdował się w opałach, to prawda, jednak w ciągu czterdziestu kilku lat, jakie przeżył, doświadczył znacznie gorszych przygód. Nauczył się, że przeciwności losu są tylko chwilowym zakłóceniem równowagi. Jego filozofia oparta była na jednym słowie: *naixin*. Po chińsku oznaczało „cierpliwość”, ale w jego umyśle budziło szersze skojarzenia. Angielski ekwiwalent powinien chyba brzmieć „wszystko w swoim czasie”.

Wsadził pistolet do kieszeni i nie zważając na wiatr i deszcz, ciężkim krokiem podążył plażą w stronę świateł niewielkiej osady. Przed pierwszym budynkiem, w którym mieściła się restauracja, stał samochód z silnikiem na chodzie. A więc szczęście na powrót się do niego uśmiechnęło!

Chwilę później dostrzegł coś na morzu i głośno się roześmiał. Kolejny uśmiech fortuny: niedaleko od brzegu zobaczył kolejnego prosiaka, mężczyznę, który usiłował utrzymać się na wodzie. Wyjął pistolet z kieszeni i pobiegł z powrotem do brzegu.

Wiatr dwukrotnie przewrócił Sonny'ego Li na kolana. Wiedział, że mogą go zobaczyć, lecz brnięcie po miękkim piachu po prostu przekraczało jego siły po porannej udręce. Dostyc tego, pomyślał, wychodząc na asfaltową drogę, która prowadziła w stronę miasteczka. Maszerował najszybciej jak mógł, bojąc się, że szmugler ucieknie, zanim zdoła go odnaleźć.

Chwilę później utwierdził się w przekonaniu, że Duch wciąż jest w pobliżu: rozległy się kolejne strzały. Dojrzawszy na plaży mały pomarańczowy ponton, ruszył w jego kierunku, ale nagle na drodze pojawiło się migające niebieskie światelko. Urząd imigracyjny? Agenci urzędu bezpieczeństwa?

Li schronił się w gęstych zaroślach i patrzył, jak światło staje się coraz wyraźniejsze i z deszczu wylania się sportowy żółty kabriolet. Kiedy samochód zatrzymał się sto metrów dalej, jął się powoli skradać w jego stronę.

Amelia Sachs wpatrywała się w leżące na plaży ciało kobiety.

- On ich zabija, Rhyme - szepnęła do mikrofonu swojej motoroli SP-50. - Zabił już dwoje, mężczyznę i kobietę, strzałem w plecy. Nie żyją.

Policjant z sił specjalnych podbiegł do niej, trzymając gotowy do strzału pistolet maszynowy.

- Nie ma po nim śladu - zawołał, przekrzykując wiatr. - Ludzie z restauracji przy drodze mówią, że jakieś dwadzieścia minut temu ktoś skradł samochód - dodał, po czym opisał skradzioną hondę i podał jej numery. Sachs poinformowała o wszystkim Rhyme'a.

- Lon przekaze to wszystkim jednostkom - powiedział kryminolog. - Czy Duch był sam?

- Chyba tak. - Trzymając dłoń przy pistolecie, Sachs omiotła wzrokiem okolice. - Idziemy szukać rozbitków, Rhyme.

Myślała, że będzie protestował i każe jej przeszukać miejsce zbrodni, zanim rozszalałe żywioły zniszczą wszelkie dowody, lecz myliła się.

- Powodzenia, Sachs - oznajmił tylko. - Przedzwoń do mnie, gdy zaczniesz „rysować siatkę”.

Amelia Sachs i jej towarzysz ruszyli truchtem wzdłuż plaży. W odległości stu metrów od pierwszego pontonu trafili na drugi. Sachs chciała w pierwszym odruchu zgromadzić dowody rzeczowe, potem jednak uznała, że misja ratunkowa jest ważniejsza, i podążyła dalej, wypatrując imigrantów, a także śladów ewentualnej zasadzki lub kryjówki, w której mógł się schronić Duch. Niczego jednak nie znaleźli. A potem usłyszeli syreny i do miasteczka wjechał migający światłami policyjny konwój.

Najważniejszym zadaniem członka ekipy dochodzeniowej jest zabezpieczenie miejsca przestępstwa - niedopuszczenie do pomieszczenia bądź też zagubienia dowodów rzeczowych. Sachs niechętnie zrezygnowała z dalszego poszukiwania imigrantów i marynarzy - teraz mogło to robić wielu innych policjantów - i podbiegła do niebiesko-białego autobusu ekipy dochodzeniowej nowojorskiej policji, żeby pokierować akcją.

Kiedy technicy grodzili plażę żółtą taśmą, założyła na przemoczone dżinsy i T-shirt najnowszą kreację kryminalnej *haute couture* - zaopatrzone w kaptur, okrywający całe ciało kombinezon z białego tyteku, dzięki któremu członek ekipy nie pozostawia na miejscu zbrodni własnych włosów, otartego naskórka czy potu.

I cóż to było za miejsce zbrodni - jedno z największych, z jakimi mieli dotychczas do czynienia: długa na półtora kilometra plaża, asfaltowa droga, a po jej drugiej stronie labirynt gęstych zarośli. Miliony miejsc do przeszukania. W dodatku gdzieś w pobliżu mógł się nadal kryć uzbrojony sprawca.

- Nie podoba mi się to miejsce, Rhyme. Wszystko jest zbyt wielkie. Wszystkiego jest za dużo.

- Co to znaczy „za dużo”, Sachs? Uwielbiamy duże miejsca. Tyle jest w nich uroczych zakątków, gdzie można znaleźć jakieś ślady.

Urocze zakątki, pomyślała z przekąsem. I zaczynając od dużego pontonu, z którego uszło powietrze, zaczęła „rysować siatkę”. Określano w ten sposób jedną z metod fizycznego przeszukiwania miejsca zbrodni, w trakcie której członek ekipy przemierzał teren lub podłogę tam i z powrotem, tak jakby strzygł trawę kosiarką, a potem skręcał pod kątem prostym i

przeszukiwał ponownie ten sam teren. Teoretyczne uzasadnienie tej metody głosiło, iż to, czego nie zauważyło się pod jednym kątem, można zauważyć pod innym. „Rysowanie siatki” było metodą, w której według Rhyme'a powinna się wyspecjalizować Amelia.

Przez następną godzinę, niczym szukające muszelek dziecko, przeczesała w ulewnym deszczu i porywistym wietrze plażę, drogę oraz rosnące za nią zarośla. Zbadła napompowany ponton, w którym znalazła głuchą komórkę, a potem ten, z którego uszło powietrze i który dwaj policjanci zaciągnęli wyżej na plażę. Wreszcie udało jej się zgromadzić wszystkie dowody - łuski nabojów, próbki krwi, odciski palców, utrwalone polaroidem odciski stóp.

W końcu stanęła w miejscu, rozejrzała się dookoła i włączyła radio.

- To zabawne - powiedziała do Rhyme'a.

- To mi mało mówi, Sachs - odparł. - Co znaczy „zabawne”?

- Chodzi o imigrantów. Po prostu zniknęli. Opuścili plażę, przeszli przez drogę i ukryli się w krzakach. Widać ich odciski w błocie po drugiej stronie drogi. A potem po prostu wyparowali.

- No dobrze, Sachs - powiedział sennym głosem Rhyme. - Przed chwilą szłaś tropem zabójcy. Widziałaś, co zrobił. Jesteś Kwanem Angiem, jesteś Gui, czyli Duchem. Multimilionerem szmuglującym ludzi. Zabójcą. Przed chwilą zatopiłaś statek, zabijając ponad tuzin ludzi. Co teraz zamierzasz?

- Odnaleźć resztę - odpowiedziała natychmiast. - Odnaleźć ich i zabić. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale muszę ich znaleźć.

- Dobrze, Sachs - odparł cicho Rhyme. - Teraz pomyśl o imigrantach. Są ścigani przez kogoś takiego. Co by zrobili?

Trwało chwilę, zanim przedzierzgnęła się z bezwzględnego mordercy i szmuglera w jednego z tych biedaków ze statku.

- Na ich miejscu nigdzie bym się nie chowała. Wyniosłabym się stąd najszybciej jak to możliwe. Wszelkimi sposobami. Potrzebny byłby mi jakiś pojazd.

- Gdzie byś go znalazła?

- Nie wiem - odparła sfrustrowana. Czowała, że odpowiedź jest gdzieś blisko, ale jej umyka.

- Czy w głębi lądu są jakieś domy?

- Nie. Nic tam nie ma.

- Nie może nic nie być, Sachs. Tam właśnie kryje się odpowiedź.

Westchnęła i zaczęła wyliczać.

- Widzę stos zużytych opon. Widzę przewróconą do góry dnem żaglówkę. Widzę skrzynkę pustych butelek po piwie Sam Adams. Przed kościołem są...

- Przed kościołem? - zachnął się Rhyme. - Idź tam, Sachs. Natychmiast!

Ruszyła sztywnym krokiem w tamtą stronę.

- Zastanów się, Sachs. Skąd twoim zdaniem wielebni biorą na tych swoich imprezach tylu młodych wyznawców? Wożą ich minibusami... musi się tam zmieścić kilkanaście osób.

- Możliwe - odparła sceptycznym tonem.

Obeszła kościół dookoła i zbadała błotnisty grunt - odciski stóp, drobne okruchy szkła, rurkę, której użyto do wybicia szyby, ślady opon dużej furgonetki.

- Znalazłam, Rhyme. Mnóstwo świeżych śladów. Do diabła, to było sprytnie. Idąc tutaj, stąpali po kamieniach i trawie, żeby nie zostawiać śladów. I wygląda na to, że przejechali kilkadziesiąt metrów po polu, zanim skręcili na drogę.

- Niech pastor poda dane furgonetki - rozkazał Rhyme.

Sachs poprosiła jednego z miejscowych policjantów, żeby zatelefonował do duchownego, i po kilku minutach poznali szczegóły: był to biały dodge z wymalowaną z boku nazwą kościoła. Podała numery rejestracyjne Rhyme'owi. Policja miała przekazać je personelowi rogatek przed mostami i tunelami, zakładano bowiem, że imigranci kierują się do Chinatown na Manhattanie.

Z płonącymi z bólu kolanami przeszukała, „rysując siatkę”, teren za kościołem, ale nie znalazła nic więcej.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli tutaj coś jeszcze do roboty, Rhyme. Idę opisać dowody rzeczowe i wracam do domu - powiedziała i rozłączyła się.

Kazała technikom z autobusu przekazać wszystkie dowody do domu Rhyme'a, po czym wróciła do camaro, usiadła sztywno za kierownicą i zaczęła spisywać swoje spostrzeżenia. Podnosząc wzrok znad notatek, widziała strzępy piany fruujące trzy metry nad skałą, o którą właśnie rozbiła się fala. Nagle zmrużyła oczy i przetarła rękawem zaparowaną szybę.

Co to było? Jakież szczątki „Fuzhou Dragona”?

Nie, to nie były szczątki. To był człowiek, który rozpaczliwie czepiał się skał.

Złapała motorolę i połączyła się ze stacją ratownictwa morskiego hrabstwa Suffolk w Easton Beach.

- Jestem po wschodniej stronie miasteczka. Widzę rozbitka na morzu. Potrzebuję pomocy.

- Okay - nadeszła odpowiedź. - Już tam płyniemy. Bez odbioru.

Sachs wyskoczyła z samochodu i pognała przez plażę. Biegnąc, zobaczyła, jak wielka fala porywa rozbitka ze skały i ciska w buzującą topiel. Na chwilę zniknął, a potem znów pojawił się na powierzchni.

- O w dupę - mruknęła, po czym ignorując przeszywający ból w kolanach, zaczęła ściągać pas z pistoletem i amunicją. Przy samym brzegu zrzuciła buty i nie spuszczając z oczu walczącego o życie pływaka, wbiegła do zimnej wzburzonej wody.

Sonny Li wypełził zza krzaków i przyjrzał się uważnie rudej kobiecie, która ściągnęła buty i ruszyła na pomoc unoszącemu się na falach rozbitkowi. Nie potrafił go rozpoznać, ale i



tak bardziej interesowała go ta kobieta, którą od ponad godziny obserwował ze swojej kryjówki.

Intrygowała go. Przyjechała jasnożółtym samochodem w towarzystwie żołnierza z pistoletem maszynowym. W pewnym momencie odwróciła się do niego plecami i zobaczył napis NYPD na jej wiatrówce. A zatem była funkcjonariuszką urzędu bezpieczeństwa publicznego.

Seksowna, pomyślał, choć osobiście preferował spokojne eleganckie Chinki. Ale te włosy! Cóż za kolor! Nadał jej już przydomek, Hongse, co po chińsku znaczyło „ruda”.

Spojrząwszy na drogę, zobaczył pędzącą w ich stronę ciężarówkę. Musiał działać natychmiast, zanim Hongse wróci. Przebiegł skulony przez drogę do żółtego samochodu. Nie miał zamiaru go kraść. Potrzebował wyłącznie pistoletu i pieniędzy.

Otworzył drzwi od strony pasażera i przeszukał schowek na mapy. Żadnej broni. Ze złością pomyślał o swoim pistolecie, który spoczywał teraz na dnie oceanu. W schowku nie było również papierosów. W torebce Hongse znalazł pięćdziesiąt dolarów. Schował je do kieszeni i spojrzał na kartki, które zapisała. Chociaż mówił niezły po angielsku, o wiele gorzej radził sobie z czytaniem. Dukając, rozpoznał w końcu zapisane w angielskiej transkrypcji nazwisko Ducha: Kwan Ang. Wsunął kartkę do kieszeni, a potem porzucił inne papiery przy otwartych drzwiczkach samochodu, żeby wyglądało to na podmuch wiatru.

Skulony przebiegł z powrotem przez drogę i zerknął na wzburzone morze. Hongse była teraz w nie mniejszych opałach aniżeli rozbitek. Ale to naprawdę nie jego zmartwienie. Przede wszystkim musiał przeżyć i odnaleźć Ducha.

Wysiłek, który kosztowało ją pokonanie przyboju i dotarcie do tonącego imigranta, prawie zupełnie wyczerpał Amelię Sachs. Zdała sobie sprawę, że musi wściekle młócić nogami, aby utrzymać ich oboje na powierzchni. Sam imigrant nie był zbyt pomocny - postrzelony w pierś, miał bezwładną lewą rękę.

Krzyszcząc się, płynęła w stronę brzegu, gdzie widziała już dwóch sanitariuszy z noszami i butlą tlenową. Machnęła mocniej nogami i nagle złapał ją skurcz w łydce. Zdażyła tylko krzyknąć i natychmiast znalazła się pod wodą. Pochłonęła ją mroczna szara topiel, w której unosiły się tylko wodorosty i piasek. Och, Lincolnie, pomyślała. A zaraz potem: cóż to takiego?

Barrakuda, rekin, czarny węgorz... wystrzelił z odmętów, objął ją w pasie i pociągnął w górę. Chwilę później wynurzyła się i zachłysnęła powietrzem.

Odziany w czarny skafander nurek ze stacji ratownictwa wypłuł z ust automat.

- W porządku, dziewczyno! - krzyknął. - Trzymam cię. Wszystko będzie dobrze!

Drugi nurek wyłowił tymczasem imigranta.

- Skurcz - wykrztusiła, parskając wodą Sachs. - Nie mogłam ruszyć nogą. Boli.

- Odpręż się. Doholuję cię. Byłaś naprawdę dzielna, wypływając po niego. Większość ludzi po prostu patrzyłaby, jak tonie.

Po jakimś czasie Sachs poczuła pod stopami kamieniste dno. Chwiejnym krokiem wydostała się na brzeg i owinęła kocem, który podał jej jeden z sanitariuszy. Kiedy udało jej się złapać oddech, podeszła do imigranta, leżącego na noszach z maską tlenową na twarzy. Miał rozpiętą koszulę; sanitariusz czyścił środkiem dezynfekującym ranę na jego piersi.

- Czy mogę mu zadać kilka pytań? - zapytała.

- Tylko kilka - odparł medyk.

- Jak się pan nazywa? - zwróciła się do imigranta.

Chińczyk uniósł na chwilę maskę.

- John Sung.

- Jestem Amelia Sachs z nowojorskiej policji. - Pokazała mu swoją odznakę i legitymację. - Co się stało?

Mężczyzna ponownie uniósł maskę.

- Wypadłem z pontonu. Szmugler... nazywaliśmy go Duch... zobaczył mnie i podszedł do samego brzegu. Strzelił do mnie i chybił. Dałem nurka pod wodę, ale musiałem wynurzyć się, żeby zaczerpnąć powietrza. On na to czekał. Strzelił jeszcze raz i trafił mnie. Udałem, że nie żyję, i kiedy znowu spojrzałem w tamtą stronę, zobaczyłem, jak wsiada do czerwonego samochodu i odjeżdża. Próbowałem dopłynąć do plaży, ale nie dałem rady. Uczepiłem się tych skał i czekałem.

Sachs uważnie przyjrzała się Chińczykowi. Był przystojny i wydawał się w całkiem dobrej formie.

- Co z innymi? - zapytał. - Czy są bezpieczni?

Nowojorscy policjanci nie mają zwyczaju udzielać informacji świadkom, lecz Sachs widziała, że mężczyzna jest autentycznie zatroskany.

- Przykro mi - powiedziała. - Dwie osoby nie żyją.

Sung przymknął oczy i ścisnął prawą ręką kamienny amulet, który miał zawieszony na rzemyku na szyi.

- Ile osób było w pontonie? - spytała.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Razem czternaście. Czy udało mu się uciec? - zapytał po chwili. - Duchowi?

- Robimy wszystko, żeby go znaleźć.

Sanitariusz podał jej portfel imigranta. Większość papierów rozmiękła w morskiej wodzie. Ale na jednej z legitymacji nadal można było odczytać zapisane w angielskiej transkrypcji nazwisko: doktor Sung Kai.

- Kai? Tak ma pan na imię?

Chińczyk kiwnął głową.

- Tak. Ale na ogół używam imienia John.

- Jest pan lekarzem? Doktorem medycyny?

Ponownie kiwnął głową.

- Doktorze Sung, czy wie pan, dokąd mógł się udać Duch?

- Nie. Nigdy z nami nie rozmawiał. Traktował nas jak zwierzęta.

- A inni imigranci? Wie pan, gdzie mogli się schronić?

Sung pokręcił głową.

- Nie, przykro mi. Mieliśmy udać się w jakieś miejsce w Nowym Jorku, ale nigdy nie powiedzieli nam, gdzie to jest. - Jego oczy powędrowały ku wodzie. - Zablockował drzwi do ładowni - oświadczył zdumionym głosem - i wysadził statek. Ze wszystkimi na pokładzie.

Z czarnego samochodu, który zatrzymał się na plaży przy ambulansie, wysiadł ubrany w garnitur agent urzędu imigracyjnego i ruszył po piasku w ich stronę.

Sachs podała mu portfel Sunga. Agent przejrzał go i ukucnął przy noszach.

- Doktorze Sung, jestem z Urzędu do spraw Imigracji i Naturalizacji. Przykro mi, ale musimy pana aresztować za nielegalne przekroczenie granicy Stanów Zjednoczonych.

- Staram się o azyl polityczny.

- Oczywiście - odparł znudzonym tonem agent. - Ale i tak musi pan pozostać w areszcie do czasu rozprawy.

- Czy moglibyście go umieścić w waszej izbie zatrzymań na Manhattanie? - zapytała Sachs. - Jest świadkiem w sprawie, którą rozpracowuje nasz zespół.

Agent wzruszył ramionami.

- Mnie tam jest wszystko jedno.

- Dziękuję pani - powiedział Sung, nadal machinalnie ściskając amulet i przyglądając się Amelii. - Uratowała mi pani życie.

Amelia Sachs skinęła głową i przez chwilę spoglądali sobie prosto w oczy.

A potem jej wzrok przyciągnęło coś białego. No tak, zostawiła otwarte drzwi kabrioletu i wiatr wywiał na zewnątrz jej notatki. Krzywiąc się z bólu, potruchtała do samochodu.

## II

### *Wspaniały Kraj*

Zwycięża gracz, który widzi dalej - to znaczy ten, który przejrzy zamiary przeciwnika i umie im się przeciwstawić; ten, który atakując, potrafi uprzedzić wszystkie defensywne ruchy drugiej strony.  
*Gra wei-chi*

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Życie pracownika roгатki przy wjeździe do Nowego Jorku nie jest usłane różami. Ale siedzący tuż po godzinie ósmej rano w budce przed tunelem Queens Midtown emerytowany nowojorski gliniarz cieszył się, że nareszcie coś się dzieje. Wszyscy poborcy opłat w pobliżu Manhattanu otrzymali informację o statku z nielegalnymi imigrantami, który zatonął przy wybrzeżu Long Island. Chińczycy, którzy nim płynęli, a także sam szmugler zmierzali teraz do miasta. Jechali białą furgonetką z nazwą kościoła, a także czerwoną hondą. W raporcie uprzedzono, że niektórzy mogą być uzbrojeni.

Z Long Island można się dostać na Manhattan kilkoma drogami, ale najkrótsza trasa wiedzie przez tunel Queens Midtown. Policja przy wsparciu FBI uzyskała zgodę na zamknięcie pasów ekspresowych i tych, gdzie pobierana jest odmierzona kwota, w związku z czym sprawcy będą musieli zatrzymać się przy jednej z budek obsadzonych przez kasjerów.

Emerytowany gliniarz wycierał teraz spocone dłonie o spodnie i obserwował zbliżającą się do jego budki, prowadzoną przez Chińczyka, białą furgonetkę z jakimś napisem z boku.

Zostało jeszcze dziesięć... dziewięć samochodów.

Kasjer wyciągnął z kabury starego służbowego smitha & wessona i położył go po drugiej stronie kasy. Zastanawiał się, jak rozegrać tę sytuację. Mógłby zgłosić to już teraz, ale co będzie, jeśli wytną jakiś numer albo wezmą nogi za pas? Postanowił, że weźmie ich na muszkę i każe wysiadać.

Furgonetka była już trzecia w kolejce. Kasjer ponownie wytarł prawą dłoń o spodnie.

Widząc przed sobą długi sznur samochodów, Sam Chang w pierwszej chwili przeraził się, że na drodze ustawiono blokadę. Potem jednak zobaczył z boku budki i uznał, iż to przejście graniczne. Spanikowany, na próżno wypatrywał jakiejś bocznej drogi.

- Musimy zapłacić - oznajmił spokojnie William.

- Płacić? Dlaczego? - zapytał Chang syna, ich eksperta w sprawach Ameryki. -

- To roгатka - wyjaśnił chłopak, jakby to było oczywiste. - Muszę mieć amerykańską walutę. Trzy i pół dolara.

W torbie przy pasku Chang miał wyłącznie przesiąkniętą słoń wodą tysiące juanów. Bał się wymienić je na dolary na czarnym rynku w Fuzhou, gdyż urząd bezpieczeństwa mógłby wówczas odkryć, że chcą uciec z kraju. W przegródce między przednimi fotelami znaleźli jednak pięciodolarowy banknot.

Furgonetka toczyła się powoli do przodu. Przed nimi został już tylko jeden samochód. Mężczyzna w budce bacznie im się przyglądał.

- Nie podoba mi się to - mruknął William. - On coś podejrzewa.

- Nie możemy nic poradzić - powiedział mu ojciec. - Ruszaj.

William podjechał do budki i zatrzymał się. Mężczyzna w środku przełknął ślinę i wziął do ręki jakiś przedmiot, który leżał przy kasie. William wyciągnął amerykańskie pieniądze z przegródki między fotelami. Kasjer zamrugał oczyma.

Co się stało? Czy dał za dużo? Czy za mało?

Mężczyzna w budce wziął drżącą ręką banknot i robiąc to, zerknął na bok furgonetki, na której widniał napis: DOM I OGRÓD.

Odliczając resztę, zajrzał do środka pojazdu. Chang modlił się, by nie zobaczył tam nic poza kilkudziesięcioma sadzonkami, które on, William i Wu wykopali w parku i załadowali do furgonetki, żeby wyglądało na to, iż są dostawcami roślin. Pozostali członkowie obu rodzin leżeli na podłodze, przykryci sadzonkami.

Kasjer wydał im resztę.

- Porządna firma - oznajmił. - Dom i Ogród.

- Dziękuję - powiedział William i ruszył z miejsca. Po chwili przy spieszył i wjechali do tunelu.

Plan Changą powiódł się. Po drodze z plaży uświadomił sobie, że tutejsza policja może zrobić to samo, co robi chiński urząd bezpieczeństwa, kiedy chce ująć poszukiwanych dysydentów - to znaczy ustawić blokady na drogach. Zatrzymali się więc przy dużym centrum handlowym, w którego środkowej części znajdował się otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę sklep: DOM I OGRÓD. O tak wczesnej porze nie było tam prawie nikogo. Chang, Wu i William bez trudu zakradli się do środka przez rampę załadowniczą. Ukradli z magazynu puszki z farbą, a także pędzle i narzędzia, lecz zanim wymknęli się na zewnątrz, Chang zajrzał ostrożnie do sklepu i oszołomiony zobaczył całe kilometry zabudowy

kuchennej, tysiące opraw świetlnych, setki ogrodowych mebli w różnych kolorach i grillów, drzwi, okien i dywanów.

- Zabieram teraz te rzeczy, bo są nam potrzebne, żeby przeżyć - wyjaśnił Williamowi. - Ale kiedy zarobię pierwsze jednokolorowe pieniądze, mam zamiar za nie zapłacić.

Przy rampie znalazł stosy kolorowych gazetek i dukając z trudem po angielsku, zorientował się, że to ulotki reklamowe i że wydrukowane są na nich adresy sklepów tej sieci. Postanowił, że po otrzymaniu pierwszej wypłaty prześle im pieniądze.

Kiedy wrócili do furgonetki, William zamienił ich tablice rejestracyjne na te, które zdjął ze stojącej w pobliżu ciężarówki, i pojechali dalej. W opuszczonej hali fabrycznej Chang i Wu zamalowali nazwę kościoła i kiedy wyschła biała farba, Chang, który był świetnym kaligrafem, namalował napis: DOM I OGRÓD tego samego kroju literami co na ulotce.

Sztuczka się udała. A teraz wyjechali z tunelu i podążali ulicami Manhattanu. Chang uświadomił sobie, że dominującym kolorem jest tu szarość. Diamentowe miasto i złote drogi, które obiecał im biedny kapitan Sen, leżały chyba gdzie indziej.

Przyglądając się ulicom i budynkom, zastanawiał się, jaki czeka ich los. Teoretycznie nadal był winien Duchowi mnóstwo pieniędzy za przeszmugłowanie rodziny. Zawierając umowę z Duchem, obiecał, że co miesiąc będzie spłacał dług jego poborcom. Wielu imigrantów pracowało bezpośrednio dla szmuglerów, którzy sprowadzili ich do Ameryki. Ale Chang nie ufał Duchowi i już przed wyjazdem załatwił sobie mieszkanie oraz pracę dla siebie i starszego syna. Pomógł mu w tym brat jego przyjaciela. Pierwotnie zamierzał wywiązać się z umowy, jednak teraz, po tym jak Duch zatopił statek i próbował ich zabić, uznał ją za nieważną.

Przyjrzał się siedzącym z tyłu pasażerom. Żona Wu, Yong-Ping, była w fatalnym stanie. Rozbiła sobie rękę o skałę i wciąż krwawiła. Ładna kilkunastoletnia córka Wu, Chin-Min, robiła wrażenie ciężko przerażonej. Jej brat Lang był w tym samym wieku co młodszy syn Chang'a i obaj chłopcy szeptałi do siebie, wyglądając przez okno.

Stary Chang Jiechi siedział z tyłu furgonetki ze skrzyżowanymi nogami i zaczesanymi do tyłu rzadkimi siwymi włosami. Nieruchomy i milczący, przyglądał się bacznie wszystkiemu przez półprzymknięte oczy.

Furgonetka zatrzymała się w korku i William nacisnął klakson.

- Cicho - warknął jego ojciec. - Nie ściągaj na nas uwagi.

Chłopak ponownie zatrąbił.

Chang nie mógł opanować gniewu.

- Ta furgonetka... - odezwał się ostrym szeptem. - Gdzie nauczyłeś się uruchamiać w ten sposób samochody?

- Okradam tylko partyjnych bonzów i szefów komun. Chyba ci to nie przeszkadza?

William nawiązywał złośliwie do pisanych przez ojca antykomunistycznych artykułów, które przysporzyły rodzinie tyle cierpień i zmusiły ich do ucieczki do Ameryki.

Chang odwrócił głowę, czując się, jakby ktoś dał mu po twarzy. Och, z Williamem były problemy już w przeszłości. Przynosząc do domu list od nauczyciela, który strofował go za złe stopnie, tłumaczył, że to nie jego wina. Prześladowano go w szkole, ponieważ jego ojciec był dysydem, który podważał zasadę jednego dziecka i krytykował Komunistyczną Partię Chin. Nie pomógł widać fakt, że dali Williamowi imię najstynniejszego amerykańskiego biznesmena ostatnich lat, Ronaldowi zaś prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Chang uświadomił sobie, że pracując po dziesięć godzin dziennie w drukarni i prowadząc działalność opozycyjną w nocy, prawie nie zajmował się synem. Przez chwilę przyglądał się zatłoczonym ulicom.

- Masz rację - powiedział w końcu do Williama. - Sam nie potrafiłbym uruchomić silnika. Dziękuję.

William nie skinął nawet głową w odpowiedzi.

Dwadzieścia minut później znaleźli się w Chinatown. Jechali szeroką ulicą, która zarówno po angielsku, jak i po chińsku nazywała się ulicą Kanałową, Canal Street. Deszcz ustawał i na chodnikach było mnóstwo ludzi. Mijali dziesiątki sklepów, w których sprzedawano artykuły spożywcze, pamiątki i wyroby jubilerskie, a także stragany ze świeżą rybą i piekarnie.

- Zaparkuj tutaj - polecił Chang i William zatrzymał furgonetkę przy krawężniku.

Chang i Wu weszli do najbliższego sklepu i zapytali sprzedawcę o tongi, organizacje sąsiedzkie, które zrzeszały mieszkańców tych samych rejonów Chin. Chang szukał tongu fujiańskiego, ponieważ ich rodziny pochodziły z tej właśnie prowincji. Okazało się, że tong mieści się zaledwie kilka przecznic dalej. Obaj ojcowie rodzin ruszyli pieszo w tamtą stronę.

Prezes Fujiańskiego Stowarzyszenia Wschodniego Broadwayu, Jimmy Mah, przywitał ich i zaprosił do gabinetu na piętrze. Miał na sobie przyprószony popiołem z papierosa szary garnitur i był de facto burmistrzem tej części Chinatown.

- Siadajcie, proszę - powiedział po chińsku, wskazując dwa niedobre krzesła i przyglądając się ich brudnemu odzieniu i zmierzwionym włosom. - Wy dwaj macie chyba do opowiedzenia ciekawą historię - dodał.

Chang istotnie miał zamiar opowiedzieć mu ciekawą historię. Tyle że zmyśloną. Postanowił nie mówić nikomu, że byli pasażerami „Fuzhou Dragona” i że może ich ścigać Duch.

- Przyłynęliśmy właśnie dzisiaj do portu honduraskim statkiem - oznajmił.

- Kto był waszym szmuglerem?

- Nigdy nie poznaliśmy jego prawdziwego nazwiska. Mówili na niego Moxige.

- Meksykanin? Nie pracuję z latynoskimi szmuglerami.

- Wziął od nas pieniądze - powiedział z goryczą Chang - i zostawił nas tak jak staliśmy, na nabrzeżu. Miał nam załatwić dokumenty i jakiś transport. Mam dwoje dzieci i niemowlę -

dodał, udając gniew. - A mój przyjaciel ma żonę, która jest ciężko chora. Potrzebujemy pomocy.

- O jaką pomoc wam chodzi?

- O papiery. Dokumenty. Dla mnie, mojej żony i najstarszego syna.

- Jasne, jasne. Część mogę załatwić: prawo jazdy i numer ubezpieczenia społecznego. Ale z takimi papierami nie znajdziecie dobrej roboty. Te sukinsyny z urzędu imigracyjnego każą teraz firmom dokładnie sprawdzać zatrudnionych.

- Mam załatwioną pracę - powiedział Chang. - Mój ojciec musi iść do doktora - dodał, po czym wskazał głową Wu. - Jego żona także.

- Idźcie do miejskiego szpitala. Przyjmą was.

- Dobrze - odparł Chang. - Ile za dokumenty?

- Tysiąc pięćset w jednokolorowej walucie.

Tysiąc pięćset dolarów! To jakiś obłąd, pomyślał Chang, choć nic po sobie nie pokazał. W torbie przy pasku miał około pięciu tysięcy dolarów w chińskich juanach - wszystkie pieniądze, jakie posiadała jego rodzina.

- Nie, to niemożliwe - oznajmił.

Po kilku minutach targów zgodzili się na dziewięćset dolarów za wszystkie dokumenty.

- Potrzebujemy również furgonetki. Czy mógłbym ją u pana wynająć? - zapytał Chang.

- Oczywiście, oczywiście. - Po kolejnych targach uzgodnili cenę za wynajem. - Podajcie nazwiska i adresy, które mamy umieścić w dokumentach. - Mah odwrócił się do swojego supernowoczesnego komputera i uderzając szybko w klawisze, zapisał podane mu przez Changa informacje. - A więc zatrzymacie się w Queens? - zapytał, podnosząc wzrok.

- Tak. Znajomy załatwił nam mieszkanie.

- Może mój pośrednik znalazłby wam coś lepszego?

- To brat mojego najlepszego przyjaciela.

- Aha, brat przyjaciela. Dobrze. Obaj będziecie pod tym samym adresem? - zapytał Mah, wskazując ekran monitora.

Chang chciał odpowiedzieć, że tak, ale Wu podniósł rękę i nie dał mu dojść do słowa.

- Nie, nie. Ja chcę zostać w Chinatown. Czy pański pośrednik nie mógłby znaleźć nam mieszkania?

- Ma tymczasowe pokoje. Możecie się tam zatrzymać, dopóki nie znajdzie wam czegoś na stałe.

Kiedy Mah znowu zaczął stukać w klawisze, Chang przysunął się do Wu.

- Nie, Qichen - szepnął tak, żeby prezes ich nie słyszał. - Musisz jechać z nami. Tutaj dopadnie cię Duch.

Ale Wu podjął już decyzję.

- Nie. Zostajemy w Chinatown.

Chang umilkł, a Mah napisał na kartce kilka słów i podał ją Wu.



- To adres pośrednika. Zapłacicie mu prowizję - powiedział, poczym kazał podstawić pod dom furgonetkę. - A zatem interesy mamy z głowy - oznajmił. - Czyż nie jest przyjemnie pracować z rozsądnymi ludźmi?

Wszyscy wstali i uścisnęli sobie dłonie.

- Jeszcze jedno - dodał Mah. - Ten meksykański szmugler... nie ma chyba powodu was ścigać? Wyrównaliście z nim rachunki?

- Tak, jesteśmy kwita.

- To dobrze. W życiu i tak ściga nas dość demonów.

W porannym powietrzu zabrzmiały policyjne syreny. Ich dźwięk zbliżał się i Lincoln Rhyme miał nadzieję, że zapowiada przybycie Amelii Sachs. Dowody rzeczowe, które zebrała na plaży, zostały mu już dostarczone. W drodze powrotnej do miasta Sachs musiała jeszcze odwiedzić miejsce innego przestępstwa. Skradziona kościelna furgonetka odnalazła się w Chinatown, porzucona w bocznej uliczce. Imigrantom udało się w niej pokonać blokadę nie tylko dlatego, że przykręcili skradzione tablice rejestracyjne, lecz ponieważ nazwę kościoła zastąpili umiejętnie namalowanym logo sklepu z artykułami dla domu i ogrodu.

- Sprytnie - mruknął Rhyme, po czym zadzwonił do Sachs i kazał jej podjechać do Chinatown i sprawdzić furgonetkę. Czekał już tam na nią autobus ekipy dochodzeniowej.

Harold Peabody z urzędu imigracyjnego musiał wyjść, lecz w domu Rhyme'a nadal przebywali Alan Coe, Lon Sellitto i Fred Dellray, a także schludny, ostrzyżony na jeża detektyw Eddie Deng. Dodatkowo pojawił się jeden z czołowych techników laborantów działu kryminalistycznego przy Nowojorskim Wydziale Policji, Mel Cooper, szczupły, łysiejący, powściągliwy facet, który montował właśnie sprzęt i rozkładał znalezione na plaży dowody rzeczowe.

Na polecenie Rhyme'a Thom przypiął plan Nowego Jorku obok morskiej mapy Long Island, która była im potrzebna do śledzenia kursu „Fuzhou Dragona”.

Chwilę później otworzyły się drzwi i do pokoju weszła szybkim krokiem Amelia Sachs. Miała mokre i zapiaszczone dzinsy oraz koszulę, a w potarganych włosach piasek i kawałki wodorostów.

Dellray przyjrzał się uważnie jej ubraniu i podniósł brew.

- Miałam wolną chwilę - wyjaśniła. - Poszłam popływać. Cześć, Mel.

- Witaj, Amelio - odparł Cooper, nasuwając na nos okulary.

Sachs wręczyła mu kolejne torebki z dowodami rzeczowymi i ruszyła w stronę schodów.

- Wracam za pięć minut - zawołała.

Rhyme usłyszał szum wody z prysznica i rzeczywiście pięć minut później pojawiła się z powrotem, ubrana w rzeczy, które trzymała w szafie w sypialni: niebieskie dzinsy i czarny T-shirt.

Cooper w gumowych rękawiczkach układał dowody rzeczowe według miejsca ich odnalezienia - na plaży bądź w furgonetce w Chinatown. Rhyme czuł podniecenie, które zawsze towarzyszy rozpoczęciu łowów.

- W porządku. Zabierajmy się do dzieła - powiedział i rozejrzał się po pokoju. - Thom! Będziesz naszym skrybą. Zapisuj swoim eleganckim charakterem pisma nasze trafne domysły. - Tu skinął głową w stronę tablicy.

Thom westchnął i wsunął fioletowy krawat pod koszulę, żeby nie pobrudzić go flamastrem.

- Wiecie już, jak nazwać tę sprawę? - zapytał.

- Co byście powiedzieli na „Wyzionąć Ducha”? - zaproponował Dellray.

Thom zapisał to na samej górze.

- Mamy dwa miejsca przestępstwa: plażę w Easton oraz furgonetkę - zaczął Rhyme. - Najpierw plaża.

Thom zapisał nagłówki i w tej samej chwili zadzwonił telefon Dellraya. Po krótkiej rozmowie agent rozłączył się i przekazał członkom zespołu, czego się dowiedział.

- Na razie nie ocalał nikt więcej. Ale straż przybrzeżna wyłowiła z morza kilka ciał: dwie ofiary zostały zastrzelone, jedna utonęła. Przesyłają nam odciski i zdjęcia.

- Teraz ty, Sachs - rzucił zwięzłe Rhyme. - Plaża. Co się wydarzyło?

Amelia pochyliła się nad laboratoryjnym stołem i zajrzała do swoich notatek.

- Czternaście osób dobiło do brzegu w tratwie ratunkowej niespełna kilometr na wschód od Easton. - Podeszła do ściany i pokazała to miejsce na mapie Long Island. - Kiedy podpływali, ponton uderzył o skały i zaczęło z niego uchodzić powietrze. Czworo imigrantów wypadło do wody i fale wyrzuciły ich na brzeg. Dziesięcioro innych trzymało się razem. Ukradli kościelną furgonetkę i uciekli.

- Fotografie odcisków stóp? - zapytał Rhyme.

Sachs wręczyła kopertę Thomowi, który przypiął do tablicy zrobione polaroidem zdjęcia.

- Dobrze - mruknął Rhyme, studiując rozmiary butów. - Wygląda na to, że mamy siedmioro dorosłych albo dorastających, dwoje sporych dzieci i jednego malucha. Jeden z dorosłych może być w podeszłym wieku... powłóczy nogami. I ktoś jest ranny, chyba kobieta, sądząc z rozmiaru jej butów. Idący obok mężczyzna podtrzymuje ją.

- Na plaży i w furgonetce była krew - dodała Sachs.

- Masz próbki? - zapytał Cooper.

Amelia odnalazła plastikową torebkę z kilkoma próbkami i podała mu ją. Laborant przygotował próbki do oznaczenia grupy krwi i wypełnił formularz dla pracowni serologicznej.

- Duch dobił do brzegu mniej więcej dwieście metrów na wschód od miejsca, do którego dotarli imigranci - powiedziała Sachs.

Nagle wbiła palce w swoje bujne rude włosy i zaczęła skubać skórę czaszki. Przepiękna kobieta, była modelka Amelia Sachs często zadawała sobie w podobny sposób ból. Rhyme przestał już dociekać, skąd wziął się u niej ten odruch.

- Następnie - kontynuowała lekko drżącym z emocji głosem - zaczął ściągać i zabijać imigrantów. Odnalazł dwie osoby, które wypadły z pontonu, i zabił je. Jednego mężczyznę ranił. Czwartego imigranta jeszcze nie odnaleźliśmy.

- Gdzie jest ten ranny? - zapytał Coe.

- Zabrali go do izby zatrzymań urzędu imigracyjnego na Manhattanie. Powiedział, że nie wie, dokąd mogli się udać pozostali uratowani i Duch. - Sachs ponownie zajrzała do notatek. - Na drodze przy plaży pojawił się jakiś pojazd, ale odjechał... kierowca gwałtownie zawrócił poślizgiem. Moim zdaniem, Duch strzelał do tego pojazdu. Możemy więc mieć świadka, jeśli uda nam się ustalić markę.

- Kierowca mógł przyjechać po Ducha i uciec, widząc, że wcale mu się nie śpieszy - rzucił domysł Rhyme.

Sachs podała Melowi Cooperowi kartkę.

- Masz tam szerokość opony. A to są fotografie bieżnika.

Technik przeskanował dane do komputera i wysłał je do policyjnej bazy danych.

- To nie powinno potrwać długo - zapewnił ich spokojnym głosem.

- A inne ciężarówki? - zapytał młody detektyw, Eddie Deng.

- Jakie ciężarówki? - zdziwiła się Sachs.

- W ramach kontraktu szmugler zapewnia również transport lądowy - wyjaśnił Alan Coe. - Powinny tam czekać jakieś ciężarówki, żeby zabrać imigrantów do miasta.

Sachs potrząsnęła głową.

- Nie widziałam żadnych śladów ciężarówek - powiedziała i ponownie przyjrzała się torebkom z dowodami. - Ale znalazłam to - dodała, podnosząc torebkę z telefonem komórkowym.

- Doskonale! - ucieszył się Rhyme. - Fred, każ sprawdzić aparat swoim ludziom.

- Załatwione - odparł Dellray.

- Czy znalazłaś na plaży jakieś ślady tajemniczego pomocnika? - zapytał Rhyme.

Sachs wskazała zdjęcia odcisków stóp.

- Nie. Duch był w drugim pontonie sam i tylko on strzelał.

Rhyme zmarszczył czoło.

- Nie lubię niezidentyfikowanych sprawców. Nie macie żadnych informacji, kto mógł być tym pomocnikiem, tym *bangshou*?

- Nie - mruknął Sellitto. - Duch ma ich dziesiątki.

- I żadnego śladu czwartego imigranta? Tego, który wypadł z pontonu?

- Nie.

- Jakie mamy dane balistyczne? - zapytał Rhyme.

Sachs pokazała mu torbę z łuskami naboju.

- Kaliber siedem sześćdziesiąt dwa milimetry - stwierdził. - Ale łuska ma dziwną długość. I jest nierówno obrobiona. Sprawdź typy łusek w bazie danych, Mel.

Kiedy Rhyme był szefem działu kryminalistycznego w nowojorskiej policji, przez długie miesiące gromadził dane dotyczące najbardziej powszechnych dowodów rzeczowych: próbek substancji, takich jak oleje silnikowe, nici, włókna, ziemia, wraz ze szczegółowym opisem miejsca ich pochodzenia. Jedną z największych baz danych obejmowała informacje o łuskach i nabojach.

- Wracamy do twojej zajmującej opowieści o plaży, Sachs.

- Duch wiedział, że straż przybrzeżna orientuje się z grubsza, gdzie go szukać. Dostrzegł w wodzie trzeciego imigranta... Johna Sunga... postrzelił go, po czym ukradł hondę i odjechał. - Sachs zerknęła na Rhyme'a. - Czy mamy o niej jakieś informacje?

- Nie było żadnych informacji o hondzie - odparł Sellitto. - Ale Duch był już wcześniej w Nowym Jorku - dodał. - I to wiele razy. Zna drogi. Na pewno już tu jest.

Rhyme zauważył troskę na twarzy agenta FBI.

- O co chodzi, Fred?

- Z raportów, których dostarczają moi ludzie, wynika, że Duch ma w mieście całkiem rozległą siatkę informatorów. W jej skład wchodzi oczywiście ludzie z tongów i ulicznych chińskich gangów. Ale to sięga o wiele wyżej... podobno ma na swojej liście płac nawet ludzi z kręgów władzy.

A więc, pomyślał Rhyme, mamy szpiegów we własnych szeregach.

- Linie papilarne? - zapytał, zerkając na Sachs i używając zbiorczej nazwy odcisków palców, dłoni i stóp.

- Fragmentaryczne, pobrane z tratwy i telefonu komórkowego.

- Zeskanuj je i daj na AFIS.

System automatycznej identyfikacji odcisków palców AFIS przeszukiwał przetworzone cyfrowo zbiory danych, stanowe i federalne.

- Znalazłam również to. - Sachs pokazała im zabezpieczoną w plastikowej torbie metalową rurkę. - Jeden z imigrantów wybił tym szybę furgonetki.

Mel Cooper wziął od niej torbę, założył bawełniane rękawiczki i wyjął rurkę, trzymając ją za oba końce.

- Zastosuję VMD - oświadczył.

Metoda próżniowego natapiania metalu VMD uważana jest za rolls-royce'a w dziedzinie pozyskiwania odcisków palców. Polega na pokryciu obiektu mikroskopową warstwą pyłu metalowego, a następnie na jego napromieniowaniu. Po kilku minutach Cooper uzyskał ostry jak brzytwa obraz kilku utajonych odcisków. Wydrukował je i wręczył Thomowi, który przypiął zdjęcia do tablicy.

- To tyle, jeśli chodzi o plażę, Rhyme - zakomunikowała Sachs.

Kryminolog spojrział na tablicę. Dowody na razie niedużo mu mówiły.

- Teraz furgonetka - powiedział.

Amelia Sachs przypięła do tablicy zdjęcia pojazdu.

- Skąd wzięli tablice rejestracyjne? - zapytał Rhyme.

- Odkręcili z ciężarówki na parkingu w hrabstwie Suffolk - poinformował go Sellitto.

- Co znalazłaś w środku?

- Wykopali sadzonki i załadowali je z tyłu, aby, jak się domyślam, ukryć pod nimi resztę imigrantów i podszyć się pod dostawców ze sklepu: DOM I OGRÓD. Poza tym niewiele znalazłam. Tylko odciski palców, jakieś szmaty i krew.

Sachs podała Cooperowi polaroidowe zdjęcia odcisków pochodzących z furgonetki.

Rhyme przyglądał się przez chwilę tablicy niczym rzeźbiarz, który ocenia surowy blok kamienia, zanim przystąpi do ociosywania.

- Jak chcecie poprowadzić tę sprawę? - zapytał Dellraya.

- Po pierwsze, chcemy ująć Ducha. Po drugie, musimy odnaleźć te rodziny, zanim on to zrobi. - Rhyme pokiwał głową. - Dostanę do tej sprawy jeszcze tuzin agentów i załatwię grupę SPEC-TAC z Quantico. - Skrót SPEC-TAC oznaczał specjalne oddziały taktyczne. Ten mało znany oddział należący do FBI był najlepszą jednostką taktyczną w kraju.

Zadzwoił telefon Alana Coe, który przez chwilę słuchał rozmówcy, a potem rozłączył się.

- Dzwonili z urzędu imigracyjnego w sprawie tego rozbitka, Johna Sunga. Został właśnie zwolniony za poręczeniem jednego z naszych agentów - powiedział, unosząc brew. - Wszyscy złapani na nielegalnym przekroczeniu granicy starają się o azyl, ale ten Sung może go chyba rzeczywiście otrzymać. W Chinach był raczej znanym dysydem.

- Gdzie jest teraz? - zapytała Amelia.

- U adwokata, do którego skierowano go w ośrodku praw człowieka. Facet załatwia mu mieszkanie przy Canal Street. Mam tutaj adres. Pojadę go przesłuchać.

- Lepiej będzie, jeśli ja to zrobię - zaproponowała. - Uratowałam mu życie. Tak jakby.

Coe dał jej niechętnie adres. Amelia Sachs pokazała go Lonowi Sellitto.

- Powinniśmy tam wysłać patrol - rzekła. - Jeśli Duch się dowie, że Sung nadal żyje, on też może stać się celem.

- Okay, wy wszyscy, jakie jest nasze hasło? - zawołał Rhyme.

- Szukajcie pilnie, ale miejcie się na baczności - wyrecytowała Sachs.

- Nie zapominajcie o tym. Nie wiemy, gdzie jest Duch. Nie wiemy, kim jest ani gdzie się podziewa jego *bangshou*.

Powiedziawszy to, Rhyme przestał zwracać na nich uwagę i wpatrzył się intensywnie w tablicę, tak jakby chciał nakłonić dowody, aby wyjawily mu swój sekret i doprowadziły do zabójcy oraz nieszczęsnych ofiar, na które polował.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wykąpany i przebrany w skromne, nierzucające się w oczy ubranie Duch siedział na skórzanej kanapie i popatrywał na nowojorski port z okien mieszczącego się na osiemnastym piętrze apartamentu, który był jego główną kwaterą w tym mieście. Luksusowy wieżowiec stał w Battery Park City, mieszkaniowej dzielnicy na południowo-zachodnim krańcu Manhattanu, niedaleko Chinatown.

Teraz, kiedy wydostał się z tonącego statku i udało mu się uciec z plaży, zastanawiał się, czy nie dać sobie spokoju z rodzinami Changów i Wu. Nie leżało to jednak w jego naturze. Rodziny prosiaków musiały umrzeć.

*Naixin* - wszystko w swoim czasie.

Zbliżała się jedenasta. Co się dzieje z Turkami?

Po przybyciu do apartamentu zadzwonił z jednej z trzymany tam kradzionych komórek do pewnego ośrodka etnicznego w Queens, z którym kontaktował się już wcześniej w podobnych sprawach, i wynajął za ich pośrednictwem trzech mężczyzn, aby pomogli mu odnaleźć i zabić imigrantów. Nie chcąc, by w jakikolwiek sposób łączono go z planowaną zbrodnią, nie zwrócił się do żadnego z tradycyjnych tongów w Chinatown; zamiast tego zatrudnił Ujgurów.

Państwo chińskie zamieszkują w dziewięćdziesięciu dwu procentach Chińczycy Han - mieszkańcy Syczuanu, Honanu, Kantonu i tak dalej. Na pozostałe osiem procent składają się mniejszości narodowe: Tybetańczycy, Mongołowie, Mandżurowie. Do takich mniejszości zaliczają się również Ujgurowie, mieszkający w zachodniej części kraju. Przed zaanektowaniem przez Chiny region ten nazywany był Wschodnim Turkiestanem. Dlatego Duch nazywał ich Turkami.

Ponieważ chodziło o zamordowanie rdzennych Chińczyków, wybór był idealny. Ujgurów motywowały odpowiednio długie lata prześladowań, jak i pokaźna suma, którą obiecał im Duch.

Przybyli dziesięć minut później. Wymieniono uściski dłoni i Turkowie podali swoje imiona: Hajip, Yusuf i Kashgari. Byli śniadzi, małomówni, chudzi i mniejsi od niego. Mówili po ujgursku, w języku należącym do rodziny języków tureckich, którego Duch nie rozumiał, przeszli zatem na angielski. Szmugler wyjaśnił, o co mu chodzi, i zapytał, czy nie mają nic przeciwko zabijaniu nieuzbrojonych ludzi, w tym kobiet i dzieci.

Yusuf był ich rzecznikiem.

- To żaden problem. Zrobimy, co pan chce - oświadczył, tak jakby regularnie mordował kobiety i dzieci.

Być może, pomyślał Duch, rzeczywiście to robił.

Sonny Li siedział wewnątrz wlokącego się w deszczu i porannych korkach podmiejskiego autobusu z Long Island i obserwował rosnące na tle nieba wieżowce Manhattanu. Mimo że cyniczny z natury, szczerze podziwiał swój środek lokomocji. Nigdy w życiu nie widział pojazdu, który byłby podobny do tego Behemota. Wielki luksusowy autobus miał miękkie wyściełane siedzenia, czystą podłogę i nieskazitelne okna. Nawet klimatyzacja działała bez zarzutu.

Po ucieczce z plaży, na której wylądowali rozbitkowie z „Fuzhou Dragona”, Li zatrzymawszy przygodną ciężarówkę, dotarł na lśniący dworzec autobusowy. Tutaj, wyjaśnił mu szofer, może wsiąść do autobusu jadącego tam, gdzie się wybierał - na Manhattan.

Li wręczył kasjerowi jeden z dwudziestodolarowych banknotów, które skradł z samochodu Hongse.

- Do Nowego Jorku, proszę - powiedział z najlepszym, na jaki go było stać, akcentem, naśladując aktora Nicholasa Cage'a.

Kasjer wydał mu resztę.

Li doprowadził się do porządku w męskiej toalecie i dołączył do elegancko ubranych pasażerów na peronie.

Autobus zwolnił przed roгатką i wkrótce wjechali do długiego tunelu. Wyłoniwszy się z niego, znaleźli się w samym centrum. Po dziesięciu kolejnych minutach autobus stanął przy zatłoczonej handlowej ulicy i Li wysiadł. Ładna Azjatka zapytana, jak się dostać do Chinatown, skierowała go do metra.

Przecisnął się przez tłum pasażerów, kupił żeton. Po kilku minutach pociąg wjechał z hukiem na stację i Li wsiadł do wagonu. Wysiadł na stacji Canal Street, po czym wynurzył się na kipiącą życiem ulicę. Gdzieś tutaj, pomyślał, powinien znaleźć coś, na czym się dobrze znał.

Po dziesięciu minutach trafił na to, czego szukał. Przed mieszczącym się na parterze lokalem z zamalowanymi na czarno szybami stał, paląc papierosa i lustrując uważnym wzrokiem przechodniów, młody ochroniarz z komórką. W lokalu znajdowało się czynne przez dwadzieścia cztery godziny kasyno. Li podszedł do ochroniarza.

- W co tu grają? - zapytał po angielsku.

Facet ocenił wzrokiem jego ubranie i zignorował go.

- Mam pieniądze! - zawołał z gniewem Li. - Chcę wejść, więc wpuść mnie do środka!

- Jesteś z Fujian. Poznałem cię po akcencie. Nie jesteście tu mile widziani - oświadczył ochroniarz, odsłaniając kolbę pistoletu pod marynarką.

Doskonale! Na to właśnie liczył Li. Udając przestraszonego, odwrócił się do niego plecami, a potem gwałtownie się odwinął i rąbnął ochroniarza pięścią w pierś, pozbawiając go tchu. Młodzik padł na trotuar i próbował rozpaczliwie złapać powietrze. Li kopnął go jeszcze w bok.

Odebrawszy ochroniarzowi pistolet, dodatkowy magazynek oraz papierosy, spojrział w górę i w dół ulicy. Nie widząc nikogo, ukradł mu jeszcze zegarek i mniej więcej trzysta dolarów w gotówce.

- Jeśli powiesz komuś, że to ja - zagroził w dialekcie Putonghua - odnajdę cię i zabiję.

Po chwili znalazł się z powrotem na jednej z tłocznych handlowych uliczek. Wszedł do sklepu z tanią odzieżą i kupił sobie dzinsy, podkoszulek i wiatrówkę Nike'a. Przebrał się na zapleczu, wyrzucił stare ubrania do kosza, po czym wszedł do chińskiej restauracji i zamówił herbatę oraz talerz makaronu. Jedząc, wyjął z portfela kartkę, którą zabrał z samochodu Hongse.

8 sierpnia

*Od:* Harold C. Peabody, zastępca dyrektora, Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji Stanów Zjednoczonych

*Do:* Det. kpt. (emer.) Lincoln Rhyme

*Temat:* Powołanie wspólnego (INS/FBI/NYPD) zespołu roboczego w sprawie Kwana Anga *vel* Gui, *vel* Ducha.

Potwierdzamy nasz udział w spotkaniu jutro o godzinie dziesiątej w celu omówienia planu ujęcia ww. podejrzanego.

Do kartki przypięta była wizytówka:

Lincoln Rhyme  
Central Park West 345  
Nowy Jork, NY 10022

Li skinął na kelnerkę i zadał jej pytanie. Ta kiwnęła głową, po czym wyjaśniła, jak trafić na ulicę o nazwie Central Park West.

- Wygląda pan już lepiej - powiedziała Amelia Sachs. - Jak się pan czuje?

John Sung zaprosił ją gestem do środka mieszkania.

- Jestem bardzo obolały - odparł, po czym zamknął drzwi i wszedł w ślad za nią do salonu. Adwokat załatwił mu obskurną norę przy Bowery. Piętro niżej mieściła się chińska restauracja i całe mieszka nie przesiąknięte było zapachem czosnku i oliwy.

Ranny w pierś Sung odruchowo się garbił. Patrząc na jego niepewny krok, Amelia zdała sobie sprawę, że mu współczuje. Jako lekarz w Chinach posiadał jakiś prestiż. Tutaj nie miał nic.

- Zaparzę herbatę - zaproponował.

W mieszkaniu nie było oddzielnej kuchni; przy ścianie dziennego pokoju stała kuchenka, minilodówka oraz zardzewiały zlewozmywak. Sung postawił tani czajnik na palącym się nierówno palniku i wyjął z szafki paczkę z herbatą.



- Urząd wypuścił pana za poręczeniem? - zapytała Sachs.

Sung kiwnął głową.

- Wystąpiłem oficjalnie o azyl. Spędziłem dwa lata w obozie reedukacyjnym. I publikowałem artykuły atakujące Pekin za łamanie praw człowieka. Ściągnęliśmy parę z nich w charakterze dowodów rzeczowych. Urzędnik, który mnie przesłuchiwał, powiedział, że powinienem uzyskać azyl.

Sachs patrzyła, jak stawia na tacy dwie filiżanki, a potem rozdziera saszetki z herbatą, wrzuca je do glinianego imbryka i zalewa gorącą wodą. Postawił tacę na stole, nalał herbaty do filiżanek i podał jej jedną z nich. Biorąc ją z jego rąk, poczuła, że dłonie ma delikatne, a jednocześnie bardzo silne.

- Czy pojawiły się jakieś wiadomości o innych? - zapytał.

- Są gdzieś na Manhattanie. Niedaleko stąd znaleźliśmy porzuconą furgonetkę, którą ukradli. Chciałabym zadać panu parę pytań na ich temat.

- Udało się uciec dwóm rodzinom, Changom i Wu, a także paru innym osobom. Kilku marynarzy też wyskoczyło ze statku. Chang próbował ich ratować, ale zginęli od strzału Ducha.

Sachs skosztowała herbaty.

- A Duch? Wie pan o nim coś, co pomogłoby nam go znaleźć?

Sung potrząsnął głową.

- Pomniejsi szmuglerzy w Chinach mówili, że po wylądowaniu nigdy go już nie zobaczymy.

- Naszym zdaniem miał na pokładzie pomocnika, który udawał imigranta. Wie pan, kto to mógł być?

- Nie - odparł Sung. - W ładowni było kilka osób, które trzymały się na uboczu. To mógł być każdy z nich. - Nagle spoważniał i zaczął się nad czymś zastanawiać. - Jedna rzecz... - mruknął. - Nie wiem, czy to wam pomoże... chodzi o coś, co słyszałem. Mówiąc raz o Duchu, kapitan użył zwrotu: *Po fu chen zhou*. W dosłownym tłumaczeniu znaczy to: „Rozbijcie sagany i zatopcie łodzie”. Wy powiedzielibyście pewnie „nie ma odwrotu”. Przypisuje się to powiedzenie pewnemu wodzowi z czasów dynastii Qin. Gdy jego oddziały przekroczyły rzekę, żeby zaatakować przeciwnika, to właśnie kazał zrobić swoim żołnierzom: rozbić sagany i zatopić łodzie. Jeśli chcieli przeżyć, musieli ruszyć do przodu i zwyciężyć wroga. Duch jest tego rodzaju przeciwnikiem.

A więc nie spocznie, dopóki nie pozabija wszystkich członków obu rodzin, uświadomiła sobie z dreszczem grozy Sachs.

Zapadło milczenie i przez chwilę słyszeli tylko odgłosy ulicznego ruchu na Canal Street.

- Pana żona jest w Chinach? - zapytała wiedziona dziwnym impulsem.

Sung spojrzał jej prosto w oczy.

- W zeszłym roku zmarła w obozie reedukacyjnym. Władze nie powiedziały mi, na co chorowała.

- Też była dysydemtka?

- Dzięki temu się spotkaliśmy. Na manifestacji w Pekinie - dodał cicho i wypił łyk herbaty. - Doszedłem do wniosku, że nie mogę dłużej zostać w kraju. Postanowiłem przyjechać tutaj i poprosić o azyl.

Mówiąc te słowa, dotknął amuletu, który nosił. Sachs podążyła wzrokiem za jego dłonią. Spozrzegłszy to, zdjął wisiołek z szyi i podał jej.

- Mój szczęśliwy talizman. Może naprawdę jest skuteczny - dodał ze śmiechem. - Sprowadził panią, kiedy tonąłem.

- Co to jest? - zapytała, przyglądając się z bliska amuletowi.

- To figurka z Qingtian, na południe od Fuzhou. Tamtejszy steatyt jest bardzo znany. To prezent od mojej żony.

- Jest pęknięta - stwierdziła, wodząc paznokciem po rysie.

Od figurki odłupał się kawałek miękkiego minerału.

- Rozbiła się o skałę, której się czepiałem, kiedy pani przypląnęła mi na ratunek.

Figurka przedstawiała siedzącą na piętach małpę. Zwierzę miało w sobie coś ludzkiego, wydawało się przebiegłe i sprytne.

- To słynna postać z chińskiej mitologii - wyjaśnił Sung. - Małpi król.

Oddała mu wisiołek. Sung zawiesił go na szyi i amulet znalazł się ponownie na jego muskularnej piersi. Bandaży po postrzale Ducha nie było prawie widać pod niebieską flanelową koszulą. Nagle stał się dla niej kimś ważnym. Poczula, że w jakiś niewytłumaczalny sposób ten mężczyzna, który był jej prawie obcy, dodaje jej otuchy. Wstała z fotela.

- Muszę już wracać do człowieka, z którym pracuję - powiedziała. - Do Lincolna Rhyme'a.

- Niech pani zaczeka - poprosił Sung i wziął ją za rękę. Poczula łagodną siłę emanującą z jego dłoni. - Proszę otworzyć usta.

- Po co?

- Jestem lekarzem. Chcę obejrzeć pani język.

Rozbawiona, zrobiła to, o co prosił.

- Ma pani artretyzm - stwierdził.

- Chroniczny - odparła. - Jak pan to odgadł?

- Mówiłem już pani: jestem lekarzem. Niech pani do mnie wróci, to panią wyleczę. Chińska medycyna jest najlepsza na chroniczne bóle i dyskomfort. Ocaliła mi pani życie. Byłbym niepokieszony, gdy bym się pani za to nie odwdzieczył.

Kiedy się wahała, jakby w odpowiedzi na jego prośbę, kolano przeszył jej ostry ból. Wyjęła długopis i zapisała Sungowi numer swojego telefonu.

Stojąc na Central Park West Street, Sonny Li nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Kim są tutaj pracownicy urzędu bezpieczeństwa publicznego? Najpierw Hongse, która prowadziła ten żółty sportowy wóz niczym jakaś policjantka z telewizyjnego serialu. A teraz ten luksusowy dom, w którym podobno policjanci mieli prowadzić śledztwo przeciwko Duchowi. Żadnego funkcjonariusza chińskiego urzędu bezpieczeństwa nie byłoby stać na takie luksusy.

Li odrzucił na bok papierosa, przeszedł szybko na drugą stronę ulicy i skręcił w alejkę, która prowadziła na tyły budynku. Przystanął na chwilę, wyjrzał zza rogu i odkrył, że tylne drzwi są otwarte. Po chwili wyszedł przez nie starannie uczesany młody blondyn, ubrany w ciemne spodnie, jasną koszulę i kwiecisty krawat. W ręku niósł dwie plastikowe torby ze śmieciami, które wrzucił do dużego metalowego pojemnika. Następnie rozejrzał się dookoła i zamknął za sobą drzwi, które nie zatrzasnęły się jednak jak trzeba.

Sonny Li wślizgnął się do piwnicy. Słyszac oddalające się na górze kroki, schował się za stosem dużych pudeł na wypadek, gdyby blondyn wrócił, on jednak najwyraźniej udał się do innych zajęć. Li opuścił kryjówkę i powoli wspiał się po schodach. Na piętrze stanął przy drzwiach i lekko je uchylił.

Usłyszał głośnie kroki.

- Wrócimy za parę godzin, Linc - zawołał ktoś.

- Hej, Lincoln, a może chcesz, żeby jeden z nas został? - zapytał ktoś inny.

I kolejny głos, poirytowany:

- Został? Po co miałbym chcieć, żeby ktoś został? Chcę wreszcie trochę popracować.

- Dobra, dobra.

Odgłosy wychodzących z domu osób i zamykanych drzwi. A potem cisza. Sonny Li otworzył nieco tylne wejście i zerknął do środka. Miał przed sobą długi korytarz, który prowadził do frontowych, dopiero co zamkniętych drzwi. Po prawej stronie znajdował się chyba salon. Li zajrzał tam. Dziwny widok: cały pokój wypełniony był naukową aparaturą, komputerami, roboczymi stołami, diagramami i książkami.

Najdziwniejszy był jednak ciemnowłosy mężczyzna, który siedział w czerwonym wózku inwalidzkim pośrodku pokoju i wpatrując się w ekran komputera, mówił, jak się zdawało, sam do siebie. Po chwili Li zorientował się, że mówi do mikrofonu przy ustach. Mikrofon przekazywał chyba sygnały do komputera, mówił mu, co ma robić. Czy ten osobnik to był właśnie Lincoln Rhyme?

Sonny Li podniósł pistolet i wszedł do pokoju.

Nie miał zielonego pojęcia, skąd się nagle wzięli ci faceci. Jeden z nich - o wiele od niego wyższy - był czarny jak węgiel i miał na sobie garnitur i jasnożółtą koszulę. Płynnym ruchem wyrwał pistolet z dłoni Li i przystawił mu lufę do skroni. Drugi mężczyzna, niski i

gruby, przewrócił go na podłogę i ukląkł mu na plecach. Li poczuł, że brakuje mu tchu. Ostry ból przeszył jego brzuch i boki.

- Mówisz po angielsku? - rzucił ostro czarny facet.

Li był zbyt wstrząśnięty, żeby odpowiedzieć.

Nagle pojawił się przy nim Chińczyk w stylowym ciemnym garniturze, z wiszącą na szyi odznaką, i zadał to samo pytanie po chińsku. Mówił w dialekcie kantońskim, ale Li zrozumiał go.

- Tak - odparł zdyszany. - Mówię po angielsku.

Mężczyzna w wózku odwrócił się w jego stronę.

- Zobaczmy, co wpadło nam w ręce.

Czarny facet pomógł Sonny'emu wstać i trzymając go jedną ręką, drugą zaczął mu przeszukiwać kieszenie. Wyciągnął z nich gotówkę, papierosy, amunicję oraz kartkę, którą Li skradł na plaży.

- Wygląda na to, że nasz chłopcaś pożyczył sobie od Amelii coś, czego nie powinien.

- I w ten sposób do nas trafił - powiedział Lincoln Rhyme, oglądając kartkę, do której przypięta była jego wizytówka. - Właśnie się nad tym zastanawiałem.

W drzwiach pojawił się schludny blondyn.

- Więc już go macie - rzekł bez zdziwienia.

Li zrozumiał, że ów młody człowiek spostrzegł go w alejce i celowo zostawił otwarte drzwi. A inni mężczyźni specjalnie hałasowali, udając, że wychodzą i zostawiają Lincolna samego.

Mężczyzna w wózku zauważył niesmak w jego oczach.

- Zgadza się - oznajmił. - Mój spozregawczy Thom zobaczył cię, wynosząc śmieci, a potem... Polecenie, ochrona, tylne drzwi - dodał, po czym wskazał ekran monitora, na którym natychmiast ukazała się alejka i tylne drzwi do budynku.

Li nagle pojął, dzięki komu straży przybrzeżnej udało się zlokalizować „Fuzhou Dragona”. Sprawił to ten człowiek: Lincoln Rhyme.

- Piekielni sędziowie - mruknął.

Grubas roześmiał się.

- Masz dzisiaj wyjątkowy niefart, co?

A potem czarny facet wyciągnął mu z kieszeni portfel, wycisnął mokrą skórę i podał go chińskiemu policjantowi.

Grubas wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

- Mel, Alan, wejdźcie z powrotem. Mamy go.

Do pokoju wrócili dwaj mężczyźni, których głośne pożegnanie z gospodarzem Li przed chwilą słyszał. Z lekka łysiejący facet zignorował go, podszedł do komputera i zaczął gorączkowo stukać w klawisze. Drugi, w garniturze, miał jaskrawo rude włosy.

- Chwileczkę, to nie jest Duch - oznajmił.

- No to jego brakujący pomocnik - powiedział Rhyme. - Jego *bangshou*.

- Nie - odparł rudzielec. - Znam tego gościa. Kilku naszych agentów uczestniczyło w zeszłym roku w konferencji zorganizowanej w urzędzie bezpieczeństwa publicznego w Fuzhou. Chodziło o przemyt ludzi. On był jednym z nich.

- Znaczy jednym...? - warknął grubas.

Chiński policjant parsknął śmiechem i pokazał im legitymację, którą wyciągnął z portfela Li.

- Jednym z nas - powiedział. - To gliniarz.

Rhyme także przyjrzał się legitymacji i prawu jazdy, na których widniały zdjęcia mężczyzny. Wedle dokumentów nazywał się Li Kangmei i był detektywem urzędu bezpieczeństwa publicznego w Liu Guoyuan.

- Sprawdź, czy nasi ludzie w Chinach to potwierdzą - zwrócił się kryminolog do Dellraya i w ręku agenta pojawiła się komórka.

- Li to twoje imię czy nazwisko? - zapytał Rhyme.

- Nazwisko. I nie lubię imienia Kangmei. Wolę Sonny.

- Co tutaj robisz?

- Duch, on rok temu zabił w moim mieście trzy osoby. Chcieliśmy go aresztować, ale on ma bardzo duże... - Li szukał odpowiedniego słowa. W końcu odwrócił się do Eddiego Denga. - *Guanxi* - powiedział.

- To znaczy „koneksje” - wyjaśnił Deng.

Li pokiwał głową.

- Nikt nie chciał przeciwko niemu zeznawać. A potem dowody raz-dwa zniknęły z komendy. - Oczy Chińczyka zrobiły się twarde jak krążki hebanu. - On zabił ludzi w moim mieście - powtórzył. - Ja chcę go postawić przed sądem.

- Jak się dostałeś na statek? - zapytał Dellray.

- Mam dużo informatorów w Fuzhou. W zeszłym miesiącu dowiedziałem się, że Duch zabił dwóch ludzi na Tajwanie i wyjeżdża z Chin, dopóki tajwański urząd bezpieczeństwa nie przestanie go szukać. Wyjechał na południe Francji, a potem zabrał imigrantów z Wyborga w Rosji do Nowego Jorku na frachtowcu „Fuzhou Dragon”.

Rhyme roześmiał się. Ten mały niepozorny człowieczek zdołał zebrać więcej informacji aniżeli FBI i Interpol razem wzięte.

- Więc zostałem tajnym agentem. Udałem imigranta.

- Ale co miałeś zamiar zrobić? - zapytał Alan Coe. - Przecież wiesz, że nie zgodzimy się na jego ekstradycję do Chin.

- A po co mnie ekstradycja? Wy nic nie słuchacie. Mówiłem przecież: on ma *guanxi*. W Chinach natychmiast go wypuszczą. Ja miałem go aresztować, gdy tylko wylądujemy. A potem oddać waszemu urzędowi bezpieczeństwa.

Coe roześmiał się.

- Duch miał przecież swojego *bangshou* i opłaconą załogę statku. No i pomniejszych szmuglerów tu, na miejscu. Zabiliby cię.

- Mówicie, duże ryzyko? Jasne, jasne. Ale taka jest nasza praca, nie? - odparł Li, sięgając machinalnie po papierosa, które odebrał mu Dellray.

- Tu nie wolno palić - oznajmił Thom.

W pokoju rozległo się ciche brzęczenie. Mel Cooper spojrział na swój komputer. Biuro FBI w Singapurze przysłało e-mailem potwierdzenie, że Li Kangmei jest rzeczywiście funkcjonariuszem urzędu bezpieczeństwa publicznego w Liu Gouyuan w Chińskiej Republice Ludowej.

Li wytłumaczył następnie, w jaki sposób Duch zatopił frachtowiec. Sam Chang i Wu Qichen ze swoimi rodzinami, a także doktorem Sungiem, kilkorgiem innych imigrantów i małą córeczką pewnej kobiety, uciekli na tratwie ratunkowej. Cała reszta utonęła.

- Sam Chang, on został przywódcą na tratwie. Dobry człowiek, mądry. Uratował mi życie. Wyciągnął mnie z wody, kiedy Duch zaczął strzelać do ludzi. Wu ojciec drugiej rodziny. Wu nie jest zrównoważony. Dysharmonia wątroby i śledziony. Robi impulsywne rzeczy.

Rhyme nie miał czasu na słuchanie opowieści o niezrównoważonych śledziennikach.

- Trzymajmy się faktów - rzucił.

Li opowiedział im, jak ponton uderzył o skały, jak on, Sung i dwoje innych wypadli za burtę i morze wyrzuciło ich potem na brzeg. Kiedy Li dotarł do miejsca, w którym ponton dopłynął do plaży, Duch zdążył już zabić dwoje imigrantów.

- Chciałem go szybko aresztować, ale kiedy tam przybiegłem, już go nie było. Widziałem, jak kobieta z rudymi włosami uratowała jednego człowieka.

- Johna Sunga - wyjaśnił Rhyme. - Amelia... kobieta, o której mówisz... teraz go przesłuchuje.

- Nazwałem ją Hongse. Hej, ładna dziewczyna. Powiem nawet: seksowna.

Sellitto i Rhyme wymienili rozbawione spojrzenia.

- Zabrałem adres z jej samochodu i przyszedłem tutaj. Myślałem, że może uda mi się zdobyć rzeczy, które doprowadzą mnie do Ducha. To znaczy informacje. Dowody.

- Chciałeś je wykraść? - zapytał Coe.

- Tak, jasne. Musiałem je mieć dla siebie. Bo wy nie pozwolicie mi pomagać, nie? Wy mnie po prostu wyślecie z powrotem. A ja chcę go aresztować.

- No cóż, masz rację - uciął Coe. - Nie będziesz tu nikomu pomagał. Wracasz do kraju. - Młody agent urzędu imigracyjnego zdecydowanym ruchem sięgnął po kajdanki. - Li Kangmei, jest pan aresztowany za nielegalne przekroczenie granicy Stanów Zjednoczonych...

- Nie - odezwał się nagle Lincoln Rhyme. - Chcę go zatrzymać.

- Co takiego? - zapytał zaskoczony agent.

- Będzie konsultantem. Tak jak ja. Jeśli ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby przyskrzynić sprawcę, chcę, żeby pracował po naszej stronie.

- Zobaczysz, ja wam pomogę, Loaban - rzekł żarliwie Li. - Naprawdę pomogę, mówię wam.

- Jak mnie nazwałeś? - zapytał Rhyme.

- Loaban. Znaczący „szef”. Zatrzymaj mnie. Ja potrafię pomóc. Ja wiem, jak Duch myśli. Jesteśmy z tego samego świata.

- Nie ma mowy - warknął Coe. - Ten człowiek naruszył prawo.

Li zignorował go.

- W moim kraju - oznajmił rozsądnym tonem - to, co ktoś robi, jest ważniejsze od tego, ile ma pieniędzy. I wiecie, jaki jest największy honor? Pracować dla kraju, pracować dla narodu. Ja to robię. Ze mnie cholernie dobry gliniarz, naprawdę.

- Skąd mamy wiedzieć, że on nie jest na przykład na żołdzie Ducha? - wtrącił Coe.

Li roześmiał się.

- Hej, a skąd mamy wiedzieć, że ty dla niego nie pracujesz?

- Niech cię szlag - odparł rozwścieczony Coe.

- Spokojnie - wtrącił się Dellray. - Li zostaje tu dopóty, dopóki Lincoln go potrzebuje. Jakoś to załatw, Coe. Daj mu tymczasową wizę.

- To dobra decyzja. Ja wam dużo pomogę - oświadczył Li, po czym podszedł do stołu i sięgnął po pistolet, z którym wkradł się do domu Rhyme'a.

- Hej-hej - zawołał Dellray. - Nie dotykaj tego.

- No dobrze, dobrze. Na razie zatrzymajcie pistolet.

- Witaj na pokładzie, Sonny - powiedział Rhyme, po czym zerknął na zegar. Była dokładnie dwunasta. Minęło sześć godzin od chwili, kiedy Duch zaczął bezwzględny pościg za imigrantami. Mógł ich dopaść łąda chwila. - W porządku, zajmijmy się dowodami.

- Jasne, jasne - potwierdził Li, nagle roztargniony. - Ale najpierw muszę zapalić. To jak, Loaban? Pozwalasz?

- Zgoda - burknął Rhyme. - Ale na zewnątrz.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wu Qichen otarł czoło swojej żonie, która leżała zrana potem, rozgorączkowana i wstrząsana dreszczami na materacu w sypialni. Ich małe mieszkanie znajdowało się w suterenie na tyłach Canal Street w samym sercu Chinatown. Załatwił je pośrednik, do którego posłał ich Jimmy Mah - prawdziwy zbój, pomyślał z gniewem Wu. Czysz był astronomicznie wysoki.

Wu przyjrzał się żonie. Dotkliwe bóle głowy, poty i letarg, które dręczyły ją na statku, wcale nie ustąpiły.

Zerknął w stronę drzwi i zobaczył ich kilkunastoletnią córkę, Chin-Mei, która wieszała pranie na sznurze rozciągniętym w sąsiednim pokoju. Zaraz po wprowadzeniu się cała rodzina wzięła prysznic i przebrała w odzienie, które Wu kupił w sklepie z przecenioną odzieżą. Chin-Mei uprała w kuchennym zlewie ich pokryte skorupą soli stare łachy i wieszała je teraz, żeby wyschły.

Wu wstał i przeszedł do skromnie umeblowanego salonu.

- Mama dobrze się czuje? - zapytała dziewczyna.

- Tak. Niedługo wyzdrowieje. Idę kupić jakieś lekarstwa - powiedział, po czym wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

Przemierzając rozbrzmiewające kakofonią języków rojne ulice Chinatown, gapił się na wystawy sklepowe i stopy towarów, a także na otaczające dzielnicę olbrzymie wieżowce.

Po jakimś czasie znalazł chińską aptekę, wszedł do środka i opowiedział zielarzowi o dolegliwościach żony. Ten uważnie go wysłuchał i postawił diagnozę: wszystkiemu winien był niedobór *qi* - duchowej esencji - oraz obstrukcja krwi; poza tym dolegliwości nasiliły się z powodu skrajnego wyziębienia. Na koniec dał mu zawiniątko z ziołami.

Wyszedłszy od zielarza, Wu skręcił w stronę domu, ale już po chwili dał nurka w labirynt uliczek. Po kilku minutach znalazł to, czego szukał: kasyno, którego klientami byli jego ziomkowie z prowincji Fujian. Pokazał pieniądze stojącemu przy drzwiach ochroniarzowi i ten wpuścił go do środka. Wu siedział z początku cicho jak trusia, pijąc, paląc i grając w trzyście punktów, potem jednak nawiązał rozmowę z sąsiadami. Przez jakiś czas opowiadali sobie wzajemnie o krnąbrnych żonach, niegrzecznych dzieciach i okolicy, gdzie teraz mieszkali.

- Jest pan tutaj nowy - zauważył w końcu jeden z mężczyzn. - Kiedy pan przyплыł?

- Dzisiaj rano - odparł Wu, który trochę już wypił i nie miał nic przeciwko temu, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania. - Na pokładzie tego statku, który zatonął.

- „Fuzhou Dragon”? - zaciekał się mężczyzna. - Mówili o tym w telewizji.

- Szmugler chciał nas wszystkich zabić - dodał Wu - ale ja uratowałem tuzin osób z ładowni. A potem dopłynąłem z nimi do brzegu tratwą ratunkową.



- Jak wygląda ten Duch? - zapytał inny mężczyzna.

- To tchórz. Stale nosi przy sobie pistolet. Gdyby walczył jak mężczyzna... na noże... wtedy łatwo bym go zabił. - Wu zdał sobie sprawę, że nie powinien mówić takich rzeczy, i nagle zmienił temat. - Jest tutaj posąg, który chcę zobaczyć... Posąg kobiety trzymającej księgi rachunkowe.

- Księgi? - zdziwił się jeden z obecnych.

- Tak. Można ją obejrzyć na filmach o Wspaniałym Kraju - wyjaśnił Wu. - Stoi na wyspie i w jednej ręce trzyma pochodnię, a w drugiej rachunki swojej firmy. Czy to nie jest gdzieś w Nowym Jorku?

- Tak, to tutaj - odparł mężczyzna i wybuchnął śmiechem. - Jedźcie się do miejsca, które nazywa się Battery Park, i wsiada na prom, żeby obejrzyć statwę.

- Statwę księgowej - dodał inny i on również się roześmiał. A potem wszyscy wypili swoje drinki i wrócili do gry.

Rhyme z rozbawieniem obserwował Amelię Sachs, która wróciwszy od świadka, zmierzyła ostrym spojrzeniem Sonny'ego Li, kiedy ten oświadczył z dumą, iż jest „detektywem urzędu bezpieczeństwa publicznego Chińskiej Republiki Ludowej” i będzie pracował teraz razem z Lincolnem.

- Sprawdziliście go? - zapytała Lona Sellitto, przyglądając się bacznie Chińczykowi.

- Oni mnie dobrze sprawdzili, Hongse. Jestem czysty.

- Hongse? Co to znaczy, do diabła? - zdziwiła się.

Li uniósł ręce w pojednawczym geście.

- Znaczy „ruda”. Tylko to. Nic złego. Mówię o włosach. Widziałem cię na plaży, widziałem twoje włosy.

- Facet jest w porządku - potwierdził Dellray.

Sachs wzruszyła ramionami.

- O co chodzi z tą plażą? - zapytała Chińczyka. - Szpiegowałeś mnie?

- Bałem się, że mnie odeślecie. Chcę też złapać Ducha - odparł Li i wręczył jej pomięte banknoty.

Sachs zjeżyła się.

- Co to takiego?

- Na plaży, z twojej torebki. Potrzebowałem pieniędzy. Teraz oddaję. Dziesięć dolarów ekstra. Odsetki.

Sachs wzięła od niego z westchnieniem pieniądze i oddała dziesięć dolarów, które jej doliczył.

Następnie zrelacjonowała im to, czego dowiedziała się od świadka, Johna Sunga. Rhyme odprężył się nieco, słysząc, że doktor potwierdza informacje, jakie uzyskali od Li. Zatrokał się jednak, gdy Sachs przytoczyła zdanie kapitana na temat Ducha.

- Rozbijcie sagany i zatopcie łodzie - powiedziała i objasniła znaczenie tego zwrotu.

- *Po fu chen zhou*. - Li pokiwał ponuro głową. - To trafnie określa Ducha. On nigdy nie odpuszcza ani się nie cofa, póki nie zwycięży.

Amelia wraz z Melem Cooperem zabrali się do opisywania dowodów rzeczowych znalezionych w furgonetce. Wkładała właśnie zakrwawiony gałgan do plastikowej torby, gdy Cooper zerknął na arkusz białego papieru pod torbą i marszcząc brwi, przyjrzał mu się przez szkło powiększające.

- To dziwne, Lincoln - oświadczył. - Pomiąłem te fragmenty. Jakiś rodzaj porowatego kamienia.

Sachs zaczerwieniła się i podniosła w górę dłoń.

- To z moich rąk. Wzięłam ten gałgan bez rękawiczek.

- Bez rękawiczek? - powtórzył groźnym tonem Rhyme.

- Przepraszam - tłumaczyła się Amelia. - Wiem, skąd się to wzięło. John... doktor Sung pokazywał mi ten swój amulet. Był poobijany i chyba wodziłam po nim paznokciem.

Li pokiwał głową.

- Pamiętam - oznajmił. - Sung pozwalał dzieciom na statku bawić się tym. To kamień z Qingtian. Na szczęście. To była małpa - dodał. - Bardzo znana w Chinach.

Ale Rhyme miał to w nosie. Próbował dociec, dlaczego Sachs popełniła tak podstawowy błąd. Błąd żółtodzioba. Błąd osoby, której myśli bujają zupełnie gdzie indziej.

- Wyrzucie ten papier - rozkazał.

Technik oddarł arkusz i w tej samej chwili zabrzączał komputer.

- Poczta przychodząca - oświadczył Cooper, zerkając na ekran. - Mamy grupę krwi. Wszystkie próbki pochodzą od tej samej osoby, najprawdopodobniej rannej kobiety. Ma grupę AB, Rh minus.

- Daj to na ścianę, Thom - zawołał Rhyme i jego asystent zapisał grupę krwi na tablicy.

Jeszcze nie skończył, kiedy komputer Mela Coopera ponownie się odezwał.

- Wyniki AFIS - powiedział technik.

Z przykrością dowiedzieli się, że żaden z pobranych przez Amelię odcisków palców nie został zidentyfikowany. Rhyme zaobserwował jednak coś niezwykłego w najwyraźniejszych odciskach, pochodzących z rurki użytej do rozbicia szyby. Wiedzieli, że to odciski Sama Changa, ponieważ pasowały do tych, które pozostawił na silniku pontonu, a Li potwierdził, że to właśnie Chang sterował nim do brzegu.

Rhyme podjechał bliżej do ekranu. Na opuszkach palca wskazującego i środkowego oraz kciuka prawej ręki Changa widniały podobne do siebie bruzdy.

Kryminolog polecił Thomowi zapisać to spostrzeżenie na tablicy, a potem odebrał telefon od agenta specjalnego Tobe'a Gellera, jednego z elektronicznych guru FBI, i przełączył rozmowę na tryb głośno mówiący.

Geller zakończył właśnie analizę telefonu komórkowego Ducha, który Sachs znalazła w drugim pontonie w Easton Beach.

- Pozwolę sobie zauważyć, że to niebywale interesujący aparat - powiedział. - Jest praktycznie nie do wyśledzenia... karta pamięci została skasowana. To telefon satelitarny. Sygnał jest przekazywany za pośrednictwem rządowej sieci w Fuzhou. Duch albo ktoś, kto dla niego pracuje, włamał się do systemu i go aktywował.

- No, to zadzwońmy do kogoś w tej pieprzonej Republice Ludowej i powiedzmy, że facet korzysta z ich systemu - warknął Dellray.

- Próbowaliśmy to zrobić. Chińczycy twierdzą, że nikt nie może włamać się do ich systemu, w związku z czym jesteśmy w błędzie. Wymieniłem Kwana Anga z nazwiska, ale oni nadal nie byli zainteresowani. Chyba ich opłacono.

Jeden do zera dla Ducha, pomyślał gniewnie Rhyme.

Trochę więcej szczęścia mieli w wypadku broni palnej. Mel Cooper odkrył, że łuski pasują do dwóch typów pistoletu, obu sprzed prawie pięćdziesięciu lat. Jednym z nich był rosyjski tokariew kalibru 7,62 milimetra.

- Ale założę się, że używają modelu pięćdziesiąt jeden, chińskiej wersji tokariewa - dodał Cooper.

- Tak, tak - potwierdził Sonny Li. - To musi być model pięćdziesiąt jeden. Ja też miałem tokariewa, ale zginął w oceanie. W Chinach przeważnie mają model pięćdziesiąt jeden.

Chwilę później posłaniec dostarczył im kopertę. Lon Sellitto wyjął z niej kilka fotografii i spojrzał na Rhyme'a.

- Trzy ciała, które straż przybrzeżna wydobyla z wody - powiedział. - Dwóch zastrzelonych, jeden zatonął.

Do zdjęć dołączone były karty z odciskami palców.

- Ci dwaj - oświadczył Li - to członkowie załogi. Trzeci to imigrant. Był z nami w ładowni. Nie znam nazwiska.

- Przypnij zdjęcia - powiedział Rhyme - i daj odciski na AFIS.

Sonny Li mruknął coś po chińsku.

- Co powiedziałaś? - zapytał Rhyme.

Li zerknął na kryminologa.

- Powiedziałem „piekielni sędziowie”. To takie wyrażenie. W Chinach mamy mit: dziesięciu piekielnych sędziów decyduje, gdzie będzie twoje nazwisko w Księdze Żywych i Umarłych. Sędziowie decydują, kiedy się rodzisz i kiedy umierasz. Wszyscy na świecie mają swoje nazwiska w tej księdze.

Rhyme pomyślał przez chwilę o ostatnich wizytach u lekarzy i o zbliżającej się operacji. Zastanawiał się, w którym miejscu zapisano jego nazwisko w Księdze Żywych i Umarłych.

Ciszę przerwał kolejny sygnał z komputera. Mel Cooper spojrzał na ekran.

- Mamy markę samochodu z plaży. BMW X-pięć. To jedno z tych cacek z napędem na cztery koła.

- Daj na tablicę.

- Czyj to samochód? - zapytał Li, kiedy Thom zapisywał markę na tablicy.

- Naszym zdaniem ktoś czekał na plaży, żeby odebrać Ducha - powiedział Sellitto. - Prowadził właśnie ten samochód.

- Co się z nim stało? - zapytał Li.

- Wygląda na to, że spanikował i dał nogę - wyjaśnił Deng. - Duch strzelił do niego, ale facetowi udało się zwać.

- Sprawdźcie w rejestrze pojazdów mechanicznych - rozkazał Rhyme.

- Tak jest. - Cooper połączył się z bezpieczną bazą danych wydziału komunikacji. - To bardziej popularna marka, niż sądziłem. Są ich setki - rzekł po chwili. Przesunął listę po ekranie. - Wyłania się pewna możliwość. Około czterdziestu X-pięć zarejestrowano na firmy, a kolejne pięćdziesiąt na agencje leasingu.

- Czy któraś z tych firm nie ma chińskiej nazwy? - zapytał Rhyme.

- Nie - odparł Cooper. - Mam tu w większości nazwy rodzajowe. Szykuje się cholernie żmudna robota, ale będziemy chyba musieli skontaktować się ze wszystkimi. Trzeba odkryć, kto konkretnie prowadzi te samochody.

- To zbyt daleki strzał - uznał Rhyme. - Każcie kilku funkcjonariuszom sprawdzić firmy mieszczące się najbliżej Chinatown, ale...

- Nie, nie, Loaban - zaprotestował Sonny Li. - Ty musisz znaleźć ten samochód. To pierwsza rzecz, jaką trzeba zrobić.

Rhyme uniósł ze zdziwieniem brew.

- Znajdź go teraz - kontynuował chiński policjant. - Poślij do tego dużo ludzi. Wszystkich twoich gliniarzy, mówię ci. Cały zespół.

- To zajmie zbyt dużo czasu - odparł Rhyme. - Nie mamy aż tylu ludzi. Chcę się skoncentrować przede wszystkim na szukaniu Changów i Wu.

- Nie, Loaban - nalegał Li. - Duch, on zabije tego kierowcę za to, że go zostawił. To właśnie teraz robi, szuka go.

- Uważam, że się mylisz - rzekł Dellray.

- Nie, nie - upierał się Li. - Trzeba znaleźć tego kierowcę. On was zaprowadzi do szmuglera.

- Na jakiej podstawie doszedłeś do takiego wniosku, Sonny? - mruknął ze zniecierpliwieniem Lincoln Rhyme. - Na jakich opierasz się przesłankach?

- W autobusie do miasta dziś rano zobaczyłem znak. - Li sięgnął machinalnie po papierosy i cofnął dłoń, napotkawszy ostre spojrzenie Thoma. - Zobaczyłem na drodze wronę. Dziobała jedzenie. Inna wrona próbowała je ukraść i pierwsza wrona nie tylko ją odgoniła, ale ją ściagała i próbowała wydziobać jej oczy.

- I co z tego?

- Przypomniałem sobie teraz tę wronę i pomyślałem o kierowcy. Dla Ducha on jest wróg. Tak jak wrona kradnąca jedzenie. Wu, Changowie, oni nie zrobili mu osobiście nic złego, mówię wam. Kierowca... - Li zmarszczył brwi i spojrzał na Denga.

- Zdradził? - podsunął mu tamten.

- Tak, zdradził go. Teraz jest wrogiem Ducha.

Lincoln starał się powstrzymać śmiech.

- Zanotowane, Sonny - oznajmił.

- Widzę twoją minę, Loaban - rzekł urażony Li. - Przecież nie mówię, że bogowie przychodzą i dają mi znaki. Ale te wrony każą mi myśleć inaczej, otworzyć umysł. Przewietrzyć go.

- Ee, jakieś bzdurne zabobony - mruknął Rhyme.

- Znajdź tego kierowcę. Musisz, Loaban.

- Może byśmy zlecili to Beddingowi i Saulowi, Rhyme - wtrącił Sellitto. - I dali im sześciu łebków ze służby patrolowej. Mogliby sprawdzić bmw zarejestrowane w firmach i agencjach leasingowych na Manhattanie oraz w Queens. W tutejszym Chinatown oraz we Flushing.

- No dobrze, dobrze - zgodził się w końcu poirytowany Rhyme. Dziobiące wrony, kamienne małpy, do tego jeszcze Księga Żywych i Umarłych... - Westchnął i omiótł spojrzeniem członków zespołu. - Czy możemy się wreszcie zająć prawdziwą policyjną robotą?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chang znaczy po chińsku „łuczniczka”. Siedząc w kręgu razem z ojcem, żoną i dziećmi, Sam Chang wyczarował z niebytu swoje nazwisko, kreśląc tworzące je chińskie hieroglify na znalezionej przed domem złamanej listewce. Obite jedwabiem pudełko, w którym przechowywał cenne pędzelki z włosia wilka, kozła i królika, a także obsadkę i kamienny kałamarz, poszło na dno razem z „Fuzhou Dragonem” i musiał niestety skorzystać z okropnego amerykańskiego długopisu.

Mimo to Chang, który nauczył się kaligrafii od ojca we wczesnej młodości i praktykował tę sztukę przez całe życie, potrafił nadać idealny kształt swoim literom. Wziął listewkę i umieścił ją w prowizorycznym tekturowym ołtarzyku na obramowaniu kominka w ich nowym mieszkaniu.

- Nasz nowy dom - oznajmił.

Chang Jiechi uściśnął rękę syna.

- Bywało gorzej - powiedział.

Mimo tych krzepiących słów Sam Chang poczuł, jak ogarnia go paląca niczym gorączka fala wstydu. Wstydził się, że naraża ojca na takie niewygody. Według Konfucjusza tylko powinności, jakie ma się względem władcy, są ważniejsze od tego, co syn winien jest ojcu. A obecnie trudno było liczyć na rychłe polepszenie ich sytuacji.

Nagle rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. A potem Chang wyjrzał zza zasłony na zewnątrz, odetchnął z ulgą i otworzył z uśmiechem drzwi. Do środka wszedł Joseph Tan i obaj mężczyźni uściśnęli sobie dłonie,

Tan, brat przyjaciela Changa z Fujian, przybył tutaj przed kilkoma laty. Miał amerykańskie obywatelstwo i ponieważ nigdy nie angażował się w działalność opozycyjną, mógł swobodnie podróżować między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Kiedy ubiegłej wiosny Chang zawiadomił go, że chce zabrać swoją rodzinę do Wspaniałego Kraju, Tan załatwił im mieszkanie oraz pracę w swojej drukarni dla Changa i jego najstarszego syna.

- Słyszeliśmy o waszym statku w wiadomościach - powiedział. - Mówili, że wasz szmugler to Duch.

Chang potwierdził to.

- W takim razie musicie być bardzo ostrożni. Myślałem, że będziecie mogli od razu pójść do pracy, ale skoro to Duch... Lepiej będzie poczekać. Może w przyszłym tygodniu - zaproponował Tan i dodał, że chciałby poznać Williama.

Chang otworzył drzwi do sypialni i początkowo ze zdumieniem, a potem z konsternacją omiótł wzrokiem puste wnętrze. Podszedł do tylnych drzwi i odkrył, że nie są zamknięte na klucz. Wymykając się, William zostawił je otwarte. Chang poczuł, jak ogarnia go panika.

- Muszę poszukać mojego syna - oświadczył i razem z Tanem wyszedł na ulicę.

- Teraz cię pożegnają - rzekł Tan. - I radzę, bądź stanowczy wobec syna. Musisz nad nim panować.

Idąc ze spuszczoną głową, Chang mijał delikatesy, restauracje i sklepy. W żadnym z tych miejsc nie było Williama. W końcu, zerknąwszy w głąb mrocznej alejki, spostrzegł go w towarzystwie dwóch Chińczyków. William wręczył coś jednemu z nich, a Chińczyk wcisnął mu w zamian do ręki małą torebkę, którą chłopak natychmiast schował do kieszeni. Dwaj Chińczycy oddalili się. No nie! Czyżby jego syn kupował narkotyki?

Kiedy wyłonił się z alejki, złapał zaskoczonego chłopaka za rękę.

- Jak mogłeś to zrobić? - zapytał wzburzony. - Nie wiesz, że Duch nas szuka i chce zabić?

- Zostaw mnie w spokoju.

Chang dowiedział się tego dnia wielu rzeczy o swoim synu: że jest krnąbrny, że potrafi kraść samochody i że rodzinne więzi, które nadawały sens życiu Changowi, nic dla niego nie znaczą.

- Co to za ludzie, z którymi byłeś? - zapytał Williama, kiedy zbliżali się do domu.

- Z nikim nie byłem.

- Co ci sprzedali? Narkotyki?

Jedyną odpowiedzią było pełne irytacji milczenie.

Stanęli przed frontowymi drzwiami. William chciał minąć ojca, lecz ten sięgnął do jego kieszeni, wyciągnął torebkę i zaskoczony ujrzał w środku srebrzysty pistolet.

- Po co ci to? - szepnął ostro.

- Zdobyłem to, żeby nas bronić! - krzyknął chłopak.

- Ja będę was bronił. I nie tym.

- Ty? - roześmiał się drwiąco William. - Ty pisałeś tylko te swoje artykuły o Tajwanie i demokracji, i wpędziłeś nas w tarapaty. To ty postanowiłeś tu przyjechać. Duch zabił już innych. Co będzie, jeśli spróbuje zabić i nas? Co wtedy zrobimy?

- Ukryjemy się, dopóki nie znajdzie go policja.

- A jeśli go nie znajdzie?

- Dlaczego okrywasz mnie hańbą? - zapytał z gniewem Chang. William potrząsnął głową, wszedł do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi sypialni.

- Dokąd poszedł? - zapytał Chang Jiechi.

- Niedaleko. Przyniósł to. - Sam Chang pokazał ojcu pistolet. - Dlaczego on mnie nie szanuje? - westchnął boleśnie, po czym schował broń na pawlaczu i usiadł obok starca na cuchnącej stęchlizną kanapie.

Ojciec przez chwilę się nie odzywał.

- Gdzie nauczyłeś się wszystkich mądrych rzeczy, synu? - zapytał w końcu z kpiącym błyskiem w oku. - Co ukształtowało twój umysł i twoje serce?

- Moi profesorowie, książki, koledzy. Ale przede wszystkim ty, Baba.

- Ja? Nauczyłeś się czegoś ode mnie? - udał zdziwienie Chang Jiechi.

- Oczywiście.

Starzec nic nie odrzekł, ale na jego poszarzałej twarzy pojawił się uśmiezek.

- Chcesz powiedzieć, że William nauczył się ode mnie? - zapytał w końcu Sam Chang. -  
Ja się nigdy przeciwko tobie nie buntowałem, Baba.

- Nie przeciwko mnie. Ale z pewnością buntowałeś się przeciwko komunistom. Przeciwko Pekinowi i lokalnym władzom. Jesteś dysydentem, synu. Całe twoje życie to bunt.

- Ale ja walczyłem z prześladowaniami, przemocą i korupcją.

- William widział tylko, jak ślęczysz w nocy przy komputerze, atakując władze i nie martwiąc się o konsekwencje.

Chang miał ochotę zaprotestować, ale zamilczał. A potem zdał sobie wstrząśnięty sprawę, że ojciec ma chyba rację.

Starzec skrzywił się nagle z bólu.

- Baba! - zawołał przerażony Chang.

Jedną z nielicznych rzeczy, które uratowali ze statku, była należąca do Changa Jiechi prawie pełna buteleczka z morfiną. Była szczelnie zamknięta i do środka nie dostała się morska woda. Chang podał ojcu dwie tabletki i przykrył go kocem.

Stracili wszystko, co posiadali, ścigał ich bezwzględny zabójca, ojciec musiał się pilnie poddać kuracji, a syn okazał się renegatem i przestępcą. Tyle było dookoła problemów. Chang mógł się tylko modlić, aby opowieści o życiu tutaj okazały się prawdą, nie mitem - aby Wspaniały Kraj okazał się rzeczywiście krainą cudów, gdzie zło wydobywa się na jaw, by je wyplenić, i gdzie spełnia się obietnica wolności, iż udręczone serca nie będą już dłużej udręczone.

O wpół do drugiej po południu Duch przemierzał szybko uliczki Chinatown. W stowarzyszeniu sąsiedzkiem czekali już na niego Turkowie. Znalazł tylne wejście i szybko wspiął się na najwyższe piętro. Nadeszła pora, by załatwić pewną ważną sprawę.

W dużym gabinecie zastał Yusufa i dwóch innych Turków. Nie trwało długo ustalenie nazwiska mężczyzny, który siedział ze łzami w oczach przy swoim własnym biurku.

Jimmy Mah wbił wzrok w podłogę, kiedy szmugler wszedł do pokoju. Duch przysunął sobie krzesło i usiadł obok niego. Wziął rękę Jimmy'ego w swoją dłoń - dość powszechny gest wśród Chińczyków - i poczuł, jak drżą mu mięśnie.

- Nie wiedziałem, że przyplłynęli na pokładzie „Fuzhou Dragona” - tłumaczył się gorączkowo Mah. - Nie powiedzieli mi, przysięgam! Okłamali mnie.

Trzymając nadal jego rękę, Duch lekko ją ścisnął.

- Changowie i Wu... gdzie oni są? - zapytał, ściskając dłoń jeszcze silniej i z zadowoleniem usłyszał cichy jęk.



Mah zerknął na Turków. Zastanawiał się, jaką mają broń - noże, garoty czy pistolety. W końcu jednak wystarczył słaby uścisk dłoni Ducha, by zaczął mówić.

- W dwóch różnych miejscach. Wu Qichen zamieszkał w Chinatown. Załatwił mu mieszkanie mój pośrednik.

- Gdzie mogę znaleźć tego pośrednika?

Mah szybko wyrecytował nazwisko i adres.

- A ci drudzy?

- Sam Chang zabrał rodzinę do Queens.

- Do Queens? - zdziwił się Duch. - A konkretnie?

Mah wskazał głową biurko.

- Tutaj. Adres jest na tej kartce.

Duch podniósł ją, zerknął na adres i schował kartkę do kieszeni. Następnie puścił dłoń szefa tongu i powoli start kciukiem pot, który spłynął z ręki Maha.

- Wyświadczył mi pan grzeczność, za co dziękuję - powiedział. - Jestem pańskim dłużnikiem. Teraz dla odmiany ja wyświadczę panu grzeczność.

- Grzeczność? - zapytał drżącym głosem Mah.

- Jakie inne firmy pan posiada, panie Mah?

- Głównie kasyna - odparł pewniejszym głosem Chińczyk.

- No tak, hazard, jasne. Proszę mi powiedzieć, kto przeszkadza panu w interesach? Inny tong? Policja? Mogę pomówić z ludźmi. Mam koneksje we władzach. Bardzo wysoko. Mogę sprawić, że nikt nie będzie nachodzić pańskich kasyn.

- Nie chodzi o Chińczyków ani o policję. Szykanują nas Włosi. Młodzi Włosi podkładają bomby, biją klientów, rabują kasyna.

- Włosi - zadumał się Duch. - Jak ich nazywają? Jest takie pogardliwe określenie. Nie mogę sobie przypomnieć.

- Makaroniarze - odpowiedział po angielsku Mah.

- Makaroniarze. - Duch rozejrzał się po pokoju i zmarszczył brwi. - Ma pan grubo piszący flamaster? Albo jakieś farby?

- Farby? - Mah podążył wzrokiem w ślad za Duchem. - Nie. Ale mogę wezwać z dołu moją asystentkę. Każę jej przynieść.

- Nie trzeba - odparł Duch. - Mam już inny pomysł.

Lon Sellitto przestał na chwilę rozmawiać przez swoją nokię i spojrzął na członków zespołu.

- Mamy trupa w Chinatown. Zadzwoił do mnie detektyw z piątego komisariatu - oznajmił.

Rhyme zmarszczył z niepokojem czoło. Czy Duch wysledził już i zabił kolejnego imigranta?

Sellitto zakończył tymczasem rozmowę.

- Nie wygląda, żeby Duch maczał w tym palce - oświadczył. - Ofiara nazywa się Jimmy Mah.

- Znałem go - powiedział Eddie Deng. - Był szefem tongu.

Alan Coe pokiwał głową.

- Ja też o nim słyszałem. Organizował komitet powitalny.

- Co to znaczy? - zapytał cierpko Rhyme.

- Przybywając do Chinatown, bezpaństwowcy zwracają się do ludzi, którzy załatwiają im bezpieczne mieszkania i dają trochę pieniędzy - wyjaśnił agent urzędu imigracyjnego. - Nazywa się to komitetem powitalnym.

- Dlaczego sądzisz, że to morderstwo nie jest związane ze sprawą? - zapytał Rhyme, zwracając się do Sellitta.

- Na ścianie za biurkiem, gdzie znaleziono zwłoki, namalowany był napis: „Nazywacie nas makaroniarzami i zabieracie nasze domy”. Tak się składa, że namalowany był krwią Jimmy'ego Maha.

- Stara rywalizacja między mafiosami i tongami - mruknął Deng.

Amelia Sachs spojrzała na Rhyme'a.

- A może Duch zabił Maha i zaaranżował to tak, żeby rzecz wyglądała na mafijne porachunki? Czy nie powinnam sprawdzić miejsca zbrodni?

Rhyme przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Nie. Jesteś mi potrzebna tutaj - uznał. - Zadzwoń do Dellraya w Federal Building - polecił Eddiemu Dengowi - i zawiadom go o zabójstwie.

Dellray był w tej chwili na Dolnym Manhattanie, gdzie zabiegał o przydział dodatkowych agentów i specjalny zespół taktyczny.

Rhyme ponownie podjechał wózkami do tablicy i stołu, na którym leżały dowody rzeczowe. Zastanawiał się, co jeszcze mogą zrobić.

- Przyjrzyjmy się jeszcze raz krwi - rzekł w końcu i spojrzał na pobrane przez Sachs próbki krwi rannej imigrantki.

Dla Lincolna Rhyme'a krew była ulubionym dowodem rzeczowym. Łatwo dało się ją spostrzec; przywierała niczym klej do wszystkich powierzchni; zawarte w niej informacje można było odtworzyć po wielu latach.

- Sprawdźmy, czy nasza ranna nie zażywała narkotyków albo jakiegoś rzadkiego lekarstwa. Zadzwońcie do zakładu medycyny sądowej i każcie zrobić pełne badanie.

Kiedy Cooper rozmawiał z zakładem medycyny, zadzwonił telefon Sellitta. Rhyme domyślił się z wyrazu twarzy detektywa, że otrzymał złe wiadomości.

- To znowu piąty komisariat - rzekł Sellitto. - Kolejne zabójstwo. Chinatown. Tym razem to na pewno Duch. Oj ludzie, to mi się nie podoba - dodał, potrząsając głową.

- To znaczy?

- Powiedzieli, że to nieprzyjemne, Linc.

„Nieprzyjemne” nie jest słowem, które pada zbyt często z ust nowojorskich funkcjonariuszy wydziału zabójstw.

Sellitto zapisał jakieś informacje, po czym wyłączył telefon i zerknął na Amelię Sachs.

- Szykuj się - powiedział. - Trzeba zbadać miejsce zbrodni.

- Hej, Hongse - bąknął nerwowo Sonny Li, gdy pędzący z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę autobus ekipy dochodzeniowej wyprzedził taksówkę na szosie Roosevelta. - My jedziemy naprawdę szybko.

Z tyłu za nimi siedzieli Eddie Deng i agent Alan Coe.

- Którędy, Eddie? - zapytała Sachs.

- Przy Bowery skręć w lewo i po dwóch przecznicach w prawo.

Zwolniejszy do osiemdziesięciu, Sachs skręciła w zalaną deszczem Canal Street, opanowała poślizg, mijając o włos ciężarówkę, po czym dodała gazu.

- Dziesięciu piekielnych sędziów... - zamruczał Li.

Trzy minuty później autobus zatrzymał się przy wylocie alejki prowadzącej do uchylonych drzwi niewielkiego magazynu. Sachs i Deng wysiedli.

- Hej, detektywie - zawołał Deng do blondyna w garniturze.

Kiedy ten skinął do nich głową, Deng przedstawił go Amelii Sachs. Facet pracował w wydziale zabójstw piątego komisariatu.

- Co to za miejsce? - zapytała.

- Magazyn. Wygląda na to, że właściciel jest czysty. Skontaktowaliśmy się z nim i nie wie nic prócz tego, że zabity... nazywał się Jerry Tang... pracował tutaj. Zajmował się głównie podrasowywaniem bryk i ich prowadzeniem.

Detektyw wskazał na stojące w alejce srebrzyste bmw X5. To był samochód, którym Tang pojechał rano na Long Island, żeby odebrać Ducha. W tylnych drzwiach widać było dziurę po kuli.

Okazało się, że patrolująca teren funkcjonariuszka usłyszała jakieś krzyki i strzały dochodzące z budynku i spostrzegła stojące przed nim bmw. Postanowiła wejść do środka i wówczas zobaczyła to, co zostało z Jerry'ego Tanga. Torturowano go nożem lub brzytwą. Nie miał skóry, w tym również powiek. Sonny Li, wroni detektyw, miał rację: Duch w pierwszej kolejności zabił człowieka, który go zdradził.

- Kto wchodził do środka? - zapytała Sachs blondyna.

- Tylko ta mundurowa... żeby zobaczyć, czy ofiara jeszcze żyje.

- To dobrze. Chcę z nią porozmawiać.

Detektyw dał znak umundurowanej policjantce.

- Chciała się pani ze mną zobaczyć? - zapytała.

- Chcę zobaczyć wyłącznie pani but.

Kobieta zdjęła z nogi pantofel i podała Amelii, która zrobiła zdjęcie podeszwy i zanotowała rozmiar, aby móc odróżnić później jej ślady od tych; które pozostawili Duch i jego wspólnicy.

Następnie włożyła biały kombinezon z tyveku i naciągnęła gumowe opaski na własne buty. Podnosząc wzrok, zobaczyła stojącego w drzwiach Sonny'ego Li.

- Przepraszam - powiedziała cierpko. - Mógłbyś się cofnąć?

- Jasne, jasne, Hongse - odparł szybko, odsuwając się na bok. - To duży pokój. Dużo rzeczy do obejrzenia. Znasz Konfucjusza, prawda?

- No, niezupełnie - mruknęła, koncentrując się na czekającym ją zadaniu.

- Konfucjusz napisał: „Nawet najdłuższa podróż musi się zacząć od pierwszego kroku”. To znaczy, myślę, że to chyba Konfucjusz. Może ktoś inny? Ja czytam więcej Mike'a Spillane'a niż Konfucjusza.

Sachs założyła na głowę słuchawki i włączyła motorolę.

- Słuchaj, Rhyme, mamy tu prawdziwy syf - szepnęła, zerkając na zwłoki.

- Opowiadaj - zażądał. - Najpierw plan budynku.

- Magazyn połączony z biurem. Mniej więcej dziesięć na piętnaście metrów, biuro trzy na sześć. Cztery metalowe biurka, osiem krzeseł. Nie, dziewięć. Jedno przewrócone. - Przewrócone było krzesło, do którego przywiązano Tanga, gdy Duch go torturował i zabił. - Rzędy metalowych regałów, na nich kartony z artykułami spożywczymi. Puszki i celofanowe opakowania. Dostawy dla restauracji.

- Dobrze - odezwał się Rhyme. - Zaczynaj rysować siatkę, Sachs.

Zabrała się do roboty. Znalazła dwie łuski i na tym koniec. Po dwudziestu minutach metodycznego przeszukiwania nie odkryła właściwie nic więcej, co mogłoby im wskazać miejsce, gdzie ukrywa się Duch.

Obejrzała dokładnie sufit i wciągnęła w nozdrza zapachy - dwie ważne dyrektywy Rhyme'a - ale i to nic jej nie dało. Aż podskoczyła w miejscu, usłyszawszy nagle jego głos.

- Mów do mnie, Sachs.

- Miejsce zostało zdemolowane. Pootwierane szuflady, poprzewracane krzesła, rozbite szkło.

- W trakcie walki?

- Niewykluczone, ale moim zdaniem, to głównie wandalizm.

- Jak wyglądają ich odciski butów?

- Wszystkie gładkie.

Wiedziała, że Rhyme liczy na jakieś okruchy gruntu albo włókna, które mogłyby doprowadzić ich do kryjówki Ducha, jednak do gładkich podeszew nic nie przylega.

- Dobrze, Sachs, kontynuujmy. Co mówią ci odciski stóp?

- Myślę, że...

- Nie myśl, Sachs. Poczuj to.

Jego uwodzicielski, niski głos hipnotyzował ją; każde słowo przenosiło ją bliżej samej zbrodni, jakby w niej uczestniczyła.

- Zawężmy to, Sachs. Jesteś szmuglerem. Znalazłaś człowieka, który cię zdradził. Co masz zamiar zrobić?

- Mam zamiar go zabić.

„Zobaczyłem na drodze wronę. Dziobała jedzenie. Inna wrona próbowała je ukraść i pierwsza wrona nie tylko ją odgoniła, ale ją ściagała i próbowała wydziobać jej oczy”.

Nagle ogarnął ją gwałtowny, nieukierunkowany gniew.

- Właściwie uśmiercenie go nie jest ważne. Przede wszystkim chcę mu zadać ból, okaleczyć.

- Co robisz? Dokładnie.

Zawahała się, oblewając się potem w gorącym kombinezonie.

- Ja nie... ja nie mogę...

- „Ja”, Sachs? Kim jest to „ja”? Jesteś przecież Duchem, pamiętasz o tym?

- Mam z nim kłopoty, Rhyme - odparła, czując się solidnie usadowiona we własnej osobowości. - W Duchu jest coś takiego... - Ponownie się zawahała. - On jest daleko po drugiej stronie. Tam naprawdę jest dosyć podle.

- Idź tam, Sachs - wymamrotał Rhyme. - Idź. Sprowadzę cię z powrotem. Znalazłaś człowieka, który cię zdradził. Jesteś na niego wściekła. Co robisz?

- Trzej towarzyszący mi ludzie przywiązują Tanga do krzesła i kaleczymy go nożami lub brzytwami. Jest przerażony, krzyczy. Nie śpieszy się nam.

Wyobrażony gniew nagle znikł i jego miejsce zajął niesamowity spokój. Ogarnęło ją szokujące, wręcz magnetyczne doznanie. Oddychając ciężko, czuła to, czego doświadczał Duch - sięgającą trzewi satysfakcję, jaką dawał widok pełnej męki i powolnej śmierci człowieka, który go zdradził.

W ślad za tą myślą przyszła następna.

- Ja... nie torturuję Tanga. Mają to robić inni, tak że ja mogę się przyglądać. To daje mi więcej satysfakcji. I każę im najpierw odciąć mu powieki, żeby Tang musiał patrzeć, jak go obserwuję. - Przelknęła ślinę. - Chcę, żeby to trwało i trwało.

- No dobrze, Sachs. To znaczy, że jest jakieś miejsce, z którego go obserwujesz...

- Tak. Jest tutaj krzesło stojące naprzeciwko Tanga, mniej więcej trzy metry od ciała. - Nagle załamał jej się głos. - Sama nie wiem... Co nam da wiedza o tym, gdzie siedział? Na nogach miał te cholerne buty o gładkich podeszwach. To jedyne znane nam miejsce, w którym przebywał Duch, ale jakie tu można znaleźć dowody?

Wciąż czując się splugawiona przez obecność Ducha wewnątrz swego umysłu, spojrziała na krzesło.

- Musi tam coś być - kontynuował Rhyme.

Słyszał w jej głosie frustrację. Przypuszczał, iż wolałaby, by sam tu przyjechał i sam rysował siatkę.

- Nie wiem... - powtórzyła słabym głosem.

- Ja też nie wiem, do diabła - zaklął nagle Rhyme. - Czy to krzesło stoi?

- To, na którym siedział Duch, żeby się przyglądać? Tak.

- Ale co z tego wynika dla nas?

W jego głosie też zabrzmiała frustracja.

Amelia Sachs utkwiała wzrok w krześle i uważnie mu się przyjrzała.

- Mam pewien pomysł. Poczekaj. - Podeszła bliżej i zajrzała pod krzesło. - Na podłodze są rysy, Rhyme. Duch pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Skrzyżował nogi pod krzesłem. To oznacza, że na podłogę mogły spaść drobiny, które utkwily między podeszwą i górną częścią buta. Odkurzę to miejsce.

- Doskonale, Sachs - powiedział. - Użyj odkurzacza. Roześmiała się cicho.

- Jestem z tobą, Rhyme. Dzięki.

Zdała sobie sprawę, że od początku wiedział, iż pod krzesłem będą jakieś ślady. Udał frustrację, żeby zwrócić na siebie jej uwagę i wydobyć ją z ciemności. Właśnie w takich zmyłkach można odnaleźć miłość.

- Przecież obiecałem, że sprowadzę cię z powrotem. Teraz trochę posprzątaj.

Sachs odkurzyła podłogę pod krzesłem i wokół niego, po czym wyjęła filtr z przenośnego odkurzacza marki Dustbuster i umieściła go w plastikowej torebce na dowody.

- Co się stało potem? - zapytał Rhyme.

Oceniła kąt, pod jakim trysnęła krew po strzałach, które zabiły Tanga.

- Wygląda to tak, że kiedy Tang w końcu skonał, Duch wstał z krzesła i strzelił do niego. A potem jego pomagierzy zdemolowali magazyn.

- Skąd wiesz, że wydarzyło się to w takiej kolejności?

- Ponieważ jedną z łusek znalazłam pod śmieciami. A na krześle, na którym siedział Duch, leżało szkło. Zrobię elektrostatyczne odciski butów.

- Nie mów mi, co zrobisz, Sachs. Po prostu zrób to - mruknął Rhyme, który znowu był sobą.

- Mam już wszystko - oznajmiła po pół godzinie żmudnej roboty. - Będę za dwadzieścia minut.

Kiedy wychodziła z magazynu, zadzwoniła jej komórka. Była zaskoczona i zadowolona, gdy okazało się, że to John Sung.

- Jak się pan czuje? - zapytała.

- Dobrze. Rana trochę swędzi. Chciałem powiedzieć - dodał - że mam zioła na pani artretyzm. W moim domu jest na dole restauracja. Czy moglibyśmy się tam spotkać?

Sachs spojrzała na zegarek. Cóż to mogło szkodzić? Spotkanie z Sungiem nie potrwa długo. Pozostałych członków zespołu mógł odwieźć do Rhyme'a inny policjant. Zdjęła z

siebie kombinezon, po czym przekazała dowody Dengowi i Alanowi Coe. Powiedziała im, że musi jeszcze gdzieś wpaść i będzie u Rhyme'a za pół godziny.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Amelia Sachs zaparkowała autobus ekipy dochodzeniowej w alejce niedaleko domu Johna Sunga. Wsiadając, spojrzała na ręcznie malowany szyld kwiaciarni mieszczącej się na parterze budynku tuż obok restauracji: „Brakuje ci w życiu szczęścia - kup nasz szczęśliwy bambus”.

Chwilę później zauważyła w oknie restauracji Sunga. Pomachał do niej i uśmiechnął się. Weszła do środka i usiadła naprzeciwko niego.

- Ma pani ochotę coś zjeść?

- Nie, nie mam dużo czasu.

- W takim razie herbata.

Nalał herbaty do małej filiżanki i przesunął ją ku niej.

- Znaleźliście go już? - zapytał. - Ducha?

Nie chcąc zdradzać szczegółów śledztwa, odparła jedynie, że mają kilka tropów.

- Nie lubię tej niepewności - westchnął Sung. - Słyszę kroki na korytarzu i zastygam w bezruchu. Zupełnie tak jak w Fuzhou. Słysząc, że ktoś podjeżdża pod dom, i nigdy nie wiadomo czy to sąsiedzi, czy służba bezpieczeństwa.

- Po całym tym medialnym hałasie wokół „Fuzhou Dragona” - powiedziała - można by się spodziewać, że Duch wróci raczej do Chin.

- Rozbijcie sagany... - przypomniał jej Sung.

- I zatopcie łodzie - dokończyła, kiwając głową. - Nie tylko jemu jednemu przyświeca ta dewiza - dodała nagle.

Sung przez chwilę jej się przyglądał.

- Jest pani silną kobietą. Zawsze była pani funkcjonariuszką bezpieczeństwa?

- U nas nazywa się to policją. Nie, zanim poszłam do Akademii Policyjnej, kilka lat pracowałam. - Opowiedziała mu o swojej karierze na wybiegu.

- Była pani modelką? - zdziwił się z wesołym błyskiem w oku.

- Byłam młoda. Namówiła mnie właściwie matka. Pamiętam, jak naprawiałam raz samochód razem z ojcem. On też był gliniarzem, ale miał hopla na punkcie samochodów. Remontowaliśmy silnik w jego starym thunderbirdzie. Miałam wtedy... nie wiem... jakieś dziewiętnaście lat. Leżałam pod samochodem, a on upuścił klucz. Trafił mnie prosto w policzek.

- Uch!

Sachs kiwnęła głową.

- Ale największe „uch!” było, kiedy moja matka zobaczyła skaleczenie. Nie wiem, na kogo była bardziej wściekła: na mnie czy na ojca.



- Co robi pani matka? - zapytał Sung. - Czy opiekuje się wnukami, kiedy pani idzie do pracy?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mam dzieci.

- Nie ma pani... przepraszam. - W jego głosie zabrzmiało współczucie. - W Chinach dzieci są dla nas bardzo ważne. Oczywiście, mamy przeludnienie, ale jedną z najbardziej nienawidzonych zasad, jakie narzuciły nam centralne władze, jest zakaz posiadania więcej niż jednego dziecka. Obejmuje tylko rasę Han, która stanowi w Chinach większość etniczną.

Czuła ciepło, które emanowało z jego oczu. I z jego uśmiechu.

- Pewnie pani wie, że nasz alfabet jest oparty na piktogramach. Chiński znak oznaczający „miłość” przedstawia matkę trzymającą dziecko.

Miała ochotę powiedzieć mu coś więcej, wyznać, że owszem, bardzo chce mieć dzieci. Nagle zachciało jej się płakać.

- Jest pani zamężna? - zapytał Sung.

- Nie. Ale jestem z kimś związana.

- To dobrze - powiedział, studiując ją wzrokiem. - Wyczuwam, że pracuje w tej samej dziedzinie co pani. Czy to przypadkiem nie jest ten mężczyzna, o którym mi pani mówiła? Lincoln...

- Rhyme. - Sachs roześmiała się. - Jest pan bardzo spostrzegawczy.

- W Chinach doktorzy są detektywami duszy. - Sung pochylił się do przodu. - Proszę mi podać rękę.

Zrobiła to, a on położył dwa palce na jej nadgarstku i po chwili odchylił się do tyłu.

- Moja diagnoza była prawidłowa - oznajmił. - Pani śledziona ma zbyt wiele wilgoci. To powoduje artretyzm.

- Zatem czego potrzebuje moja śledziona?

- Mniej wilgoci. - Sung przesunął w jej stronę torebkę. - To dla pani. - Sachs otworzyła ją; w środku były zioła i suszone rośliny. - Niech pani zaparzy z tego herbatkę i popija powoli przez dwa dni. Mogę również zastosować masaż. Nazywacie to chyba akupresurą. Jest bardzo skuteczna. Pokażę pani.

Sung pochylił się nad stołem i kamienna mała zakołysała się na zabandażowanej piersi. Jego palce dotknęły pewnych miejsc na jej ramionach i wpiły się mocno w skórę, a potem znalazły nowe miejsca i zrobiły to samo. Po minucie odchylił się do tyłu.

- Teraz proszę podnieść rękę.

Zrobiła to i chociaż nadal odczuwała pewien ból w stawach, miała wrażenie, że jest znacznie mniejszy niż ostatnio.

- Poskutkowało - przyznała zaskoczona. - Dziękuję. Muszę już jechać - dodała, spoglądając na zegarek.

- Proszę zaczekać - rzekł z naciskiem. - W Chinach doktorzy patrzą, dotykają i rozmawiają, żeby ustalić, co dolega pacjentowi. - Spojrzał jej w oczy. - Jest w pani jeszcze inna dysharmonia. Chce pani czegoś, czego nie może mieć. Nie może albo myśli, że nie może.

- Jakiej chcę harmonii?

- Może rodziny. Miłości. Miała pani kłopoty z kochankami.

- Kiedy byłam modelką, wartościowi mężczyźni bali się zaprosić mnie na randkę.

- Dlaczego mężczyźni miałby się bać kobiety? - zapytał z autentycznym zdziwieniem Chińczyk.

- Ci, którzy mieli odwagę mnie poderwać, chcieli tylko jednego.

- Energia seksualna jest bardzo ważna - potwierdził Sung. - To jedna z najważniejszych części *qi*... siły duchowej.

- Przez jakiś czas mieszkałam z mężczyzną. Też był gliniarzem. Było dobrze, ale go aresztowali. Okazało się, że brał łapówki.

- A teraz jest pani w związku z tym człowiekiem, z którym pani pracuje.

- Tak.

- Może to jest źródło problemu - powiedział cicho.

Nagle zadzwoniła jej komórka i Sachs aż podskoczyła z wrażenia. Sięgając po nią, uświadomiła sobie, że dłoń Sunga nadal spoczywa na jej ramieniu.

- Halo? - powiedziała, odsuwając się do tyłu.

- Gdzie się, do diabła, podziewacie, agentko Sachs? - usłyszała w słuchawce głos Lona Sellitto.

Nie chciała się przyznawać, ale jej wzrok padł na stojący po drugiej stronie ulicy wóz patrolowy, w którym siedzieli gliniarze pilnujący Sunga. Coś jej podszepnęło, że to oni poinformowali Sellitta, gdzie jest.

- Jestem ze świadkiem, Johnem Sungiem - powiedziała. - Musiałam sprecyzować kilka spraw.

- Więc kończ precyzować - warknął Sellitto. - Jesteś potrzebna u Rhyne'a.

Co go ugryzło?

- Zaraz tam będę - rzekła krótko i rozłączyła się. - Muszę jechać - zwróciła się do Sunga.

- Czy odnaleźliście Sama Changą i innych ze statku? - zapytał z nadzieją w głosie doktor.

- Jeszcze nie.

- Będę zaszczycony, jeśli mnie pani jeszcze odwiedzi - dodał szybko, kiedy wstała. - Mógłbym kontynuować kurację.

- Jasne. Bardzo chętnie - odparła po krótkim wahaniu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym ważnym, agentko Sachs - mruknął zgrzyźliwie Lon Sellitto, gdy weszła do pokoju Rhyme'a.

Chciała zapytać detektywa, co miał na myśli, ale w tej samej chwili Rhyme spojrzął na trzymaną przez nią torebkę i zmarszczył nos.

- Co to jest?

- Lekarstwo. Na mój artretyzm. Robi się z tego herbatkę.

- No, to miejmy nadzieję, że będzie ci smakowało. Ja pozostanę wierny szkockiej. - Rhyme przez chwilę jej się przyglądał. - Przyjemnie było zobaczyć się z doktorem Sungiem, Sachs?

- Ja... - zaczęła niepewnie, zaniepokojona jego ostrym tonem.

- Pogadaliście sobie o jego domu w Chinach? O jego podróżach?

- Do czego zmierzasz? - zapytała ostrożnie.

- Jestem po prostu ciekaw, czy przyszło ci do głowy to samo co mnie.

- Co na przykład...

- Że Sung jest *bangshou* Ducha... jego pomocnikiem.

- Co takiego? - wykrztusiła. - On nie może być w żaden sposób związany z Duchem. To znaczy...

- Tak się składa - przerwał jej Rhyme - że nie jest. Dostaliśmy właśnie raport z biura FBI w Singapurze. Pomocnikiem Ducha na „Fu-zhou Dragonie” był Victor Au. Zdjęcie i odciski pasują do jednego z trzech ciał, które straż przybrzeżna wyłowiła dziś rano. Sung jest czysty - dodał surowym tonem, wskazując podbródkiem komputer. - Ale dowiedzieliśmy się tego dopiero przed dziesięcioma minutami. Nie rób mi takich rzeczy.

- Przepraszam.

Rhyme zastanawiał się, co ją wprawilo w takie roztargnienie.

- No nic. Do roboty, chłopcy i dziewczęta - mruknął wreszcie, wskazując głową umieszczone przez Thoma na tablicy elektrostatyczne odciski stóp z magazynu, gdzie zamordowano Tanga. Niewiele mogli o nich powiedzieć z wyjątkiem tego, że odciski Ducha, chociaż niezbyt duże, były i tak większe od odcisków jego trzech współników.

- Co można powiedzieć o śladach pochodzących z butów Ducha, Mel?

Technik spojrzął na ekran chromatografu.

- Proszę bardzo, Lincoln. Mamy tu utlenione opilki żelaza, włókna starej wełny, popiół i krzem. Wygląda jak szklany pył. Głównym składnikiem jest występujący w dużych skupiskach ciemny matowy minerał... montmorylonit. A także tlenki wapniowców.

Kiedy Rhyme był szefem działu kryminalistycznego w Nowojorskim Wydziale Policji, obszedł wszczep i wzdłuż cały Nowy Jork. W kieszeniach miał zawsze małe torebki i słoiczki i umieszczał w nich próbki ziemi, betonu, kurzu i roślinności, które miały wzbogacić jego wiedzę o mieście.

Zorientował się, że jest coś znajomego w śladach, które opisywał Cooper. Ale co to było? Zamknął oczy i zaczął w wyobraźni uważnie przemierzać, a potem szybować nad kolejnymi ulicami. Przefrunął nad wieżą Uniwersytetu Columbia, unosząc się nad Central Parkiem, z jego gliniastymi piaskami i ekskrementami żyjących na swobodzie zwierząt; nad ulicami Midtown, na których osiadały tony kopcia; nad basenami portowymi z ich mieszanką benzyny, propanu i ropy; nad zaniedbanymi okolicami Bronksu z ołowiowymi farbami i starymi tynkami.

Unosząc się, unosząc... Aż dotarł do pewnego miejsca i otworzył oczy.

- W śródmieściu - powiedział. - Duch jest w śródmieściu.

- To jasne - mruknął Alan Coe, wzruszając ramionami. - W Chinatown.

- Nie - odparł Rhyme. - W Battery Park City albo w pobliżu.

- Jak na to trafiłeś? - zdziwił się Sellitto.

- Montmorylonit. To główny składnik bentonitu, glinianej zaprawy chroniącej fundamenty przed wodami podskórnymi. Przy budowie wież World Trade Center zatopiono fundamenty na głębokość dwudziestu jeden metrów w skalnym podłożu. Budowlańcy użyli milionów ton bentonitu. Jest tam wszędzie.

- Ale przecież bentonitu używa się także w innych miejscach - zauważył Cooper.

- Jasne, ale są tam również inne materiały, które znalazła Sachs. Cały teren to dawne składowisko odpadów; pełno tam skorodowanych metali i szkła. A popiół? Żeby pozbyć się starych elementów konstrukcyjnych, budowlańcy spalili je.

- No i jest stamtąd tylko dwadzieścia minut do Chinatown - dodał Eddie Deng.

Sonny Li zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

- Hej, Loaban, mam parę pomysłów.

- Mów, Sonny - rzucił z roztargnieniem Rhyme.

- Ja też byłem na miejscu zbrodni. Widziałem dysharmonię.

- Wyjaśnij to - poprosił Rhyme.

- Harmonia bardzo ważna w Chinach. Nawet zbrodnia ma swoją harmonię. A w tamtym miejscu, w tamtym magazynie, w ogóle nie ma harmonii. Duch dopada człowieka, który go zdradził. Torturuje go, zabija i wychodzi. Ale, hej, Hongse, pamiętasz? Całe miejsce zniszczone. Plakaty z Chin podarte, posążki Buddy i smoków rozbite. Żaden Chińczyk Han tak by nie zrobił. Duch pewnie wyszedł, a ci ludzie, których wynajął, zdemolowali miejsce. Ja myślę, że on szukał swoich *ba-tu* wśród mniejszości etnicznych.

- *Ba-tu* znaczy zbirów, oprychów - przetłumaczył Deng.

- Tak, tak, zbirów. On szukał ich wśród mniejszości: Mongołów, Mandżurów, Tybetańczyków, Ujgurów. Chcecie dowodów? - zapytał Li, wskazując tablicę. - Dobrze, oto dowody. Odciski butów. Mniejsze niż Ducha. Chińczycy Han nieduzi. Tak jak ja. Nie tacy duzi jak wy. Ale ludzie z mniejszości na zachodzie i północy jeszcze mniejsi niż my, naprawdę.

Rhyme zerknął na Amelię i zobaczył, że pomyślała to samo co on: nie zaszkodzi sprawdzić.

- Dobrze, więc gdybyśmy poszli tym tropem - rzucił - to jak?

- Tongi - odparł Li. - Tongi wiedzą o wszystkim.

- Czym dokładnie jest tong? - zapytał Rhyme.

Eddie Dong wyjaśnił, że tongi są stowarzyszeniami Chińczyków, którzy mają wspólne interesy; pochodzą z tej samej prowincji bądź też uprawiają ten sam zawód. Zawsze otoczone były tajemnicą i w dawnych czasach ich spotkania odbywały się przy drzwiach zamkniętych - stąd nazwa „tong”, która oznacza izbę. W Stanach Zjednoczonych powstały, by chronić Chińczyków przed białymi i jako załączki samorządności.

- Czy w którymś z tongów znajdzie się osoba, z którą możemy porozmawiać? - zapytała Sachs.

Deng przez chwilę się zastanawiał.

- Złożyłbym wizytę Tony'emu Cai. Trochę nam pomaga i jest jednym z najbardziej ustosunkowanych loabanów na tym terenie. Kieruje Publicznym Stowarzyszeniem Wschodnich Chin.

- Zadzwoń do niego - polecił Rhyme.

Alan Coe pokręcił głową.

- Nie, nie, to kwestia kultury. W pewnych okolicznościach trzeba się spotkać osobiście. Ale jest tu pewien haczyk. Cai nie będzie chciał, aby widziano, że kontaktuje się z policją w sprawie Ducha.

Rhyme'owi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Powiedz, że potrzebujemy jego pomocy i że burmistrz przysłała po niego limuzynę.

- W pewnych okolicznościach musimy być bardzo ostrożni, Linc - zaznaczył Sellitto.

- Będziemy ostrożni, kiedy złapiemy Ducha.

Deng kiwnął głową i zadzwonił do Tony'ego Cai.

- W porządku, zgodził się - oświadczył po krótkiej rozmowie.

Sonny Li miał jakąś niewyraźną minę.

- Hej, Loaban, chcę cię o coś prosić. Prywatnie. Możesz mi pozwolić zadzwonić? Do Chin?

- Do kogo? - zapytał bez ogródek Coe.

Li zmierzył agenta chłodnym wzrokiem.

- Telefon jest do mojego ojca.

Rhyme dał znak Thomowi, który połączył się z centralą, wykręcił numer i podał słuchawkę chińskiemu policjantowi.

W Sonnym Li zaszła nagła zmiana. Rozmawiając z ojcem, był spięty i unізony. Pochylił się i kiwał głową niczym uczeń w szkole. W końcu odłożył słuchawkę i przez chwilę wbijał wzrok w podłogę. Wreszcie westchnął i odwrócił się do Rhyme'a.

- Okay, Loaban, i co teraz robimy?

- Przyjrzymy się pewnym odznaczającym się harmonią dowodom rzeczowym - odparł Rhyme.

Pół godziny później odezwał się dzwonek u drzwi i Thom zniknął w przedpokoju. Po chwili wrócił z postawnym Chińczykiem.

- Nazywam się Cai - oznajmił nowo przybyły.

Rhyme przedstawił się.

- Wyłonił się pewien problem, panie Cai, i mam nadzieję, że będzie mógł pan nam pomóc.

- Pracuje pan dla burmistrza?

- Zgadza się.

Kiedy Cai usiadł, Rhyme opowiedział mu o katastrofie frachtowca i ukrywających się gdzieś w mieście imigrantach. Następnie dał znak Dengowi, który poinformował gościa o zabójcach, dodając, że należą oni prawdopodobnie do którejś z chińskich mniejszości etnicznych.

Cai pokiwał głową.

- Duch... słyszeliśmy o nim. Wyrządza nam wszystkim wiele złego. Pomogę wam. Mam dużo znajomości. Gdyby wasz kierowca mógł mnie odwiedzić, zabiorę się od razu do dzieła - zakończył, po czym podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

- *Ting!*- zawołał nagle ostro Sonny Li.

- Powiedział: zaczekaj - wyjaśnił cicho Eddie Deng.

Cai odwrócił się z chmurną miną. Li podszedł do niego i wszczęli ożywioną rozmowę po chińsku. Przywódca tongu w końcu umilkł, opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę.

Rhyme spojrział na Denga, ale ten wzruszył ramionami.

- Mówili za szybko. Nic nie zrozumiałem.

Li znowu zabrał głos. Cai kiwał głową i odpowiadał. W końcu wyciągnął rękę, wymienili uścisk dłoni i przywódca tongu wyszedł.

- Dlaczego pozwoliliście mu tak wcześnie odejść? - zapytał Li z pretensją w głosie. - On wam nie pomoże.

- Owszem, obiecał pomoc.

- Nie, nie, nie. To, co obiecał, nieważne. Pomagać nam niebezpiecznie. Nic za to od was nie dostanie. Wcale się nie nabrał na limuzynę. Wiedział, że burmistrz nie ma z tym nic wspólnego.

- Powiedział przecież, że pomoże - mruknął Sellitto.

- Chińczycy nie lubią mówić „nie” - wyjaśnił Li. - Dla nas łatwiej znaleźć wymówkę albo zgodzić się i potem zapomnieć. Naprawdę.

- Co mu powiedziałeś? O co się kłóciliście?

- To nie żadna kłótnia, to negocjacje. No wiecie, interesy. Teraz on poszuka wśród mniejszości. A wy mu zapłacicie.

- Co takiego? - obruszył się Sellitto.

- Niedużo. Będzie was kosztować tylko dziesięć tysięcy. Dolarów, nie juanów.

Rhyme i Amelia spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Co chcecie, to przecież wielkie miasto. Hej, Cai na początku chciał wiele więcej.

- Nie możemy płacić... - zaczął Sellitto.

- W porządku - przerwał mu Rhyme. - Podpiszę pokwitowanie.

- To ja zrobię sobie chwilę przerwy, dobrze, Loaban? Potrzebuję dobrych papierosów.

- Zgoda, Sonny. Zasłużyłeś na nie.

Duch w towarzystwie trzech Turków skręcił skradzionym blazerem w alejkę, przy której miał się znajdować dom Changów. Nagle zobaczyli duży parking i stanęli w miejscu. Duch spojrział na Turków, którzy rozglądali się zdumieni dookoła.

- Gdzie to jest? - zapytał Yusuf. - Gdzie jest dom Changów?

Nigdzie w pobliżu nie było domów mieszkalnych.

Duch sprawdził adres. Numery się zgadzały; byli we właściwym miejscu. Tyle że stali przed dużym centrum handlowym. Szmugler zaklął pod nosem.

- Co się stało? - zapytał jeden z siedzących z tyłu Turków.

Duch uświadomił sobie, że Chang nie ufał Jimmy'emu Mahowi i podał przywódcy tongu fałszywy adres. Podniósł wzrok i zobaczył nad głową duży napis: DOM I OGRÓD.

Zastanawiał się, co robić. Drugi imigrant, Wu, nie był pewnie taki sprytny. Skorzystał z usług narajonego przez Maha pośrednika. Duch znał jego nazwisko.

- Zajmiemy się teraz rodziną Wu - powiedział. - A potem Changami.

*Naixin* - wszystko w swoim czasie.

Sam Chang odłożył słuchawkę i cały odrętwiały wpatrywał się przez chwilę w ekran telewizora, na którym widać było głupkowatą i zadowoloną z siebie amerykańską rodzinę, tak różniącą się od jego własnej.

- Mah nie żyje - powiedział, kucając przy swoim ojcu. - Mah?

- Ten *loaban* w Chinatown, który nam pomógł. Zadzwońłem w sprawie dokumentów. Jego pracownica powiedziała, że nie żyje.

- Myślisz, że to Duch go zabił?

- A ktoś inny?

- Czy Mah wiedział, gdzie jesteśmy? - zapytał ojciec.

- Nie.

W rzeczywistości Changowie nie zamieszkali wcale w Queens, lecz w Brooklynie, w dzielnicy o nazwie Owls Head, która leżała niedaleko portu.

Nagle Sam Chang uświadomił sobie coś z przerażeniem.

- Wu! Duch może ich znaleźć. Muszę ich ostrzec - powiedział, ruszając ku drzwiom.

- Nie - zaprotestował ojciec. - Nie możesz ocalić człowieka przed jego własną głupotą.

- On też ma rodzinę: dzieci i żonę. Nie możemy pozwolić, żeby zginęli.

Chang Jiechi przez chwilę się zastanawiał.

- Dobrze - rzekł w końcu - ale skorzystaj z telefonu. Zadzwoń do tej kobiety i poproś, żeby ostrzegła Wu.

Chang podniósł słuchawkę i ponownie wykręcił numer Maha. Porozmawiał jeszcze raz z jego pracownicą i poprosił, żeby przekazała wiadomość Wu.

- Niech mu pani powie, by się natychmiast stamtąd wynosił. On i jego rodzina są w niebezpieczeństwie.

- Tak, tak - odparła roztargnionym głosem.

Ojciec Changa zamknął oczy i położył się na kanapie. Powinni jak najszybciej zaprowadzić go do lekarza.

Tyle trzeba było załatwić spraw, tyle przedsięwziąć środków ostrożności. Na moment Chang stracił wszelką nadzieję. Ale potem spojrzął na swoją rodzinę i brzemię, które spoczywało na jego barkach, wydało mu się lżejsze. William roześmiał się z czegoś, co pokazywali w telewizji. Śmiał się autentycznie rozbawiony, oglądając jakiś frywolny program. Ronald także. Wzrok Changa padł na żonę, której całą uwagę zajmowała mała Po-Yee.

W Chinach rodziny modlą się o syna, aby dalej przekazał ich nazwisko. Chang był oczywiście zachwycony, kiedy urodził się William, a w ślad za nim Ronald. Ale smutek Mei-Mei, która ubolewała nad tym, że nie ma córki, udzielił się w końcu i jemu. Będąc w ciąży z Ronaldem Mei-Mei była bardzo chora. Lekarze uznali, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Przyjęła to ze stoicyzmem.

Jednak bogowie albo duchy przodków wybawiły ich z tej straszliwej niedoli, zsyłając Po-Yee, córkę, której sami nie mogli mieć, i tym samym przywracając wewnętrzną harmonię jego żonie.

Chang wstał, podszedł do synów i usiadł przed telewizorem. Zrobił to powoli i cicho, tak jakby każde nagłe poruszenie mogło, niczym rzucony do stawu kamień, zakłócić ten kruchy rodzinny spokój.



### III

## *Księga Żywych i Umarłych*

W wei-chi... zasiadający przy pustej planszy dwaj gracze zaczynają od zajęcia pól, które ich zdaniem mogą im się przydać.

Stopniowo znikają puste obszary. A potem dochodzi do starcia między wrogimi siłami; strategie obronne i ofensywne rozwijają się, tak jak się to dzieje w świecie.

*Gra wei-chi*

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zona Wu czuła się coraz gorzej. Był wczesny wieczór. Wu Qichen od godziny zwilżał jej czoło. Ich córka parzyła posłusznie ziołową herbatę, którą kupił, i razem poili rozgorączkowaną kobietę. Nie było jednak widać poprawy.

- Daj matce czyste ubranie, Chin-Mei - powiedział.

Dziewczynka przyniosła niebieskie spodnie i T-shirt, po czym razem ubrali Yong-Ping. Wu odwiedził następnie pobliski sklep z elektroniką i zapytał, gdzie jest najbliższy szpital. Sprzedawca zapisał mu adres i Wu wrócił do mieszkania.

- Na pewno niedługo będziemy z powrotem - powiedział córce. - Nie wolno ci w tym czasie nikomu otwierać. Kiedy wyjdziemy, zamknij drzwi na klucz.

Podał rękę żonie i razem wyszli na ulicę. Na Canal Street otaczało ich tylu ludzi, tyle możliwości, tyle pieniędzy - jednak w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia dla biednego wystraszonego imigranta.

- Tutaj - rzucił nagle Duch, podjeżdżając do krawężnika na Canal Street, przy skrzyżowaniu z Mulberry Street, w Chinatown. - To właśnie małżeństwo Wu.

Zanim jednak Turcy wyskoczyli z samochodu, Wu pomógł żonie wsiąść do taksówki, wsunął się w ślad za nią i odjechali.

Duch zaparkował samochód dokładnie naprzeciwko domu, którego adres i klucze do frontowych drzwi dał mu przed pół godziną - na chwilę zanim został zastrzelony - pośrednik współpracujący z Mahem.

Omiótł wzrokiem ulicę, ocenił odległości i zauważył, jak wiele jest w pobliżu sklepów jubilerskich. To oznaczało, że na ulicy będą dziesiątki uzbrojonych strażników. Jeśli zabiją Wu przed zamknięciem sklepów, można się spodziewać, że któryś z nich usłyszy strzały i przybiegnie. Nawet później istniało pewne ryzyko. Będą musieli założyć kominiarki.

- Myślę, że powinniśmy to załatwić w następujący sposób - powiedział powoli po angielsku i Turcy nadstawili uszu.

Po wyjściu rodziców Chin-Mei zrobiła herbatę swojemu braciszкови Langowi, dała mu bułkę i ryż, po czym usiadła razem z nim przed telewizorem.

Nagle rozległo się głośnie, natarczywe pukanie do drzwi. Wstrzymując ze strachu oddech, Chin-Mei ściszyła telewizor. Lang spojrział na nią zdziwiony, lecz ona przystawiła palec do ust, pokazując, żeby był cicho.

- Panie Wu? - odezwał się kobiecy głos. - Jest pan tam, panie Wu? Mam wiadomość od pana Changa.

Chin-Mei pamiętała, że Chang był człowiekiem, który uratował ich ze statku.

- To ważne - mówiła kobieta. - Pan Chang powiedział, że jesteście w niebezpieczeństwie. Pracowałam z panem Mahem. Zabito go. Wam też to grozi. Musicie znaleźć sobie jakieś nowe mieszkanie. Pomogę wam je znaleźć.

Chin-Mei zastanawiała się, czy nie powinna pójść z tą kobietą. Potem jednak przypomniała sobie, że ojciec zakazał jej otwierać komukolwiek drzwi. Nie mogła być nieposłuszna.

Kobieta chyba sobie poszła - pukanie ustało. Chin-Mei włączyła z powrotem fonię i przez kilka minut oglądała komediowy serial. Potem usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Czyżby rodzice już wrócili?

Kiedy wyjrzała do przedpokoju, drzwi otworzyły się i do środka wtargnął nieduży śniady mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi i wycelował do niej z pistoletu. Chin-Mei krzyknęła i próbowała podbiec do telefonu, lecz mężczyzna skoczył za nią, złapał ją w pól i przygwoździł do podłogi, a potem zawlókł jej płaczącego brata do łazienki, wepchnął go do środka i zamknął drzwi.

- Stul głowę - nakazał dziewczynie. - Jeśli jeszcze raz krzykniesz, zabiję cię. - Wyjął z kieszeni komórkę i wystukał numer. - Jestem w środku - powiedział. - Są tutaj dzieciaki.

W mieszkaniu Lincolna Rhyme'a, pogrążonym w półmroku z powodu szalejącej za oknem burzy, śledztwo nie posuwało się w ogóle do przodu. Sachs siedziała, popijając spokojnie ziołową herbatkę, co z jakiegoś powodu potwornie irytowało Rhyme'a.

Fred Dellray pojawił się z powrotem i międlił w palcach niezapalonego papierosa.

- Nie byłem zadowolony, kiedy to usłyszałem, i nie jestem zadowolony teraz - oznajmił.  
- Nie. Jestem. Zadowolonym. Facetem.

Nawiązywał do tak zwanych problemów z dyslokacją zasobów wewnątrz Biura, które spowodowały poślizg w przydzieleniu im większej liczby agentów. Osobiście Dellray podejrzewał, że facetom z Departamentu Sprawiedliwości przemyt ludzi nie wydaje się szczególnie seksowny i z tego względu nie poświęcają mu zbyt dużo czasu.

Z dowodami rzeczowymi ze wszystkich miejsc przestępstw też raczej im się nie szczęściło.

- No dobra, a co z tą czerwoną hondą, którą Duch ukradł na plaży? - odezwał się z niecierpliwością Rhyme. - Czy ktoś jej szuka w leśnych ostępach? Pojazd jest przecież na liście pilnie poszukiwanych.

- Przykro mi, Linc - odparł Sellitto. - Zero informacji.

- Mam ochotę się napić - westchnął zniechęcony Rhyme. - Nadeszła pora na koktajl.

- Doktor Weaver zakazała ci alkoholu przed operacją - przypomniał Thom.

- Powiedziała, żebym unikał alkoholu, Thom. Unikanie to jeszcze nie abstynencja.

- Nie będę się z tobą wdawał w spory semantyczne, Lincoln. Żadnego alkoholu - zaznaczył zdecydowanym tonem asystent i wycofał się do kuchni.

Rhyme zamknął oczy i z gniewem wcisnął głowę w oparcie fotela. Wyobrażał sobie - co było kompletnym absurdem - że w wyniku operacji odzyska władzę w ramieniu. Nikomu o tym nie mówił, ale często fantazjował, iż operacja pozwoli mu podnosić różne rzeczy. Czuł niemal, jak jego palce zaciskają się na chłodnej szklance whisky.

Naraz zamrugał powiekami, słysząc brzęk szkła na stojącym obok stoliku. W nozdrza wpadł mu surowy, przydymiony zapach whisky. Otworzył oczy. To Amelia Sachs postawiła małą szklaneczkę szkockiej na poręczu jego wózka.

- Nie jest zbyt pełna - mruknął, ale w podtekście zrozumiałym dla nich obojga zabrzmiało to jak „dziękuję”.

Wypił przez słomkę whisky, jednak nie ukoila ona frustracji i zniecierpliwienia, które odczuwał z powodu ślimaczącego się śledztwa. Spojrzał na tablicę i nagle jego wzrok przyciągnęła jedna z pozycji.

- Sachs! - zawołał. - Potrzebny mi jest numer telefonu. Szybko.

Duch trzymał tuż przy policzku lufę tokariewa model 51. Rozgrzany metal dodawał mu otuchy. Minęła prawie godzina, odkąd jeden z Turków wszedł do środka, żeby przypilnować dzieci Wu. Na tym odcinku Canal Street zamykano już sklepy. Uzbrojeni strażnicy zniknęli, był tego pewien. Chce już mieć to z głowy, pomyślał.

Nagle zobaczył na rogu dwie osoby, które wysiadały z taksówki: Wu i jego żonę. Ze spuszczonej bojaźliwie głowami weszli do drogerii; on podtrzymał ją w pasie, ona miała rękę w gipsie.

Pięć minut później wyszli ze sklepu.

- Ty zostaniesz w samochodzie - powiedział Duch do Hajipa. - Ja i on... - skinął głową na Yusufa - wejdziemy za Wu do środka.

Małżonkowie Wu zbliżali się do bramy, nieświadomi obecności bogów śmierci, którzy trzepotali nad nimi skrzydłami.

Duch wyjął komórkę i zadzwonił do Kashgariego, Turka, który był w ich mieszkaniu.

- Wu podchodzą do budynku. Wejdziemy za nimi, kiedy tylko miną bramę.

Duch i Yusuf naciągnęli na twarze kominiarki i wysiedli z blazera. Hajip usiadł za kierownicą.

Przebiegając razem z Yusufem na drugą stronę Canal Street, Duch czuł podniecenie, które ogarniało go zawsze, gdy miał kogoś zabić.

Dokładnie w tym samym momencie rozległ się głośny huk i w stojący tuż obok samochód trafiła kula.

- Cholera! - zawołał ktoś gniewnie. - Kto strzelił? Wstrzymać ogień!

- Kwan Ang! - ryknął ktoś inny przez megafon. - Zatrzymaj się! Tu Urząd do spraw Imigracji Stanów Zjednoczonych!

Szmugler odwrócił się i podniósł wysoko pistolet, rozglądając się za celem.

- To zasadzka! - krzyknął do Yusufa. - Wracamy do samochodu!

Na ulicy zapanował chaos - ludzie krzyczeli i padali na ziemię, szukając osłony przed spodziewanymi strzałami. Otworzyły się drzwi dwóch stojących nieco dalej białych furgonetek i na ulicę wybiegli z bronią w rękę mężczyźni i kobiety w czarnych mundurach.

A to co takiego? Oboje Wu również wyciągnęli broń. Duch zdał sobie nagle sprawę, że to nie byli Wu, lecz przebrani za nich agenci. Policja odnalazła jakimś cudem parę i wysłała do ich domu swoich ludzi, żeby wywabić go z ukrycia.

Oddał na oślep pięć albo sześć strzałów, żeby nie pozwolić podnieść się ludziom i zasiał panikę. Siedzący za kierownicą Turek otworzył drzwiczki i zaczął strzelać w stronę białych furgonetek. Policjanci rozbiegli się po drugiej stronie ulicy.

- Kto strzelił? - usłyszał Duch, kucając za maską blazera. - Wsparcie nie zajęło jeszcze pozycji... Co się stało?

- Kwan Ang! - rozległ się kolejny, elektroniczny głos z megafonu. - Tu FBI. Odłóż...

Duch uciszył agenta, strzelając dwa razy w jego stronę, po czym wskoczył do blazera. Ujgurowie błyskawicznie zajęli miejsca z tyłu.

- Kashgari! - zawołał nagle Yusuf. - Został w mieszkaniu! - dodał, wskazując dom Wu.

- Nie będziemy czekać - warknął Duch. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił silnik, pomiędzy stojących w szeregu samochodów wysunął się policjant, podniósł pistolet i wziął na cel blazera.

- Schylić się! - ryknął Duch.

Wszyscy trzej pochylili się i w tej samej chwili policjant oddał kilka strzałów. Spodziewali się, że usłyszą brzęk rozbijanej przedniej szyby, zamiast tego jednak rozległy się

dwa głośne chrupnięcia. Kule trafiły w przód pojazdu. Zaraz potem łopatki wiatraka wypadły z hurkotem z obudowy i wbiły się w inne części silnika, który zazgrzytał i zgasł.

- Wysiadać! - rozkazał Duch. Trzej mężczyźni wyskoczyli z samochodu i przycaili się na chodniku. Przez chwilę panowała cisza. Duch obejrzał się. - Tędy!

Zerwał się na równe nogi, strzelił kilka razy do policjantów i wbiegł na targ rybny. Kilku klientów i sprzedawców schowało się za koszami z drobniejszą rybą i węgorzami. Duch i dwaj Turcy dobiegli do tylnej alejki. Przy dostawczej furgonetce stał tam starszy mężczyzna. Widząc broń i maski na ich twarzach, padł na kolana i podniósł w górę ręce.

- Wsiadajcie! - zawołał Duch do Turków.

Kiedy wskoczyli do furgonetki, obejrzał się i zobaczył kilku policjantów, którzy zbliżali się ostrożnie do wejścia na targ. Oddał w ich stronę kilka strzałów i rozpierzchli się.

Pięć minut później na Canal Street zjawiła się Amelia Sachs. Fred Dellray klęczał przy postrzelonym policjancie. Był wściekły.

- Mieliliśmy go już w ręku. Ukradł furgonetkę z targu rybnego po drugiej stronie ulicy. Szukają jej wszyscy, którzy noszą w tym mieście odznakę.

Zdesperowana Sachs zamknęła oczy. Cały geniusz Rhyme'a i nadludzkie wysiłki, żeby zmontować na czas ekipę, która ujęłaby Ducha, poszły na marne.

Tym, co przykuło uwagę Rhyme'a na tablicy, była informacja o grupie krwi rannej imigrantki. Nagle zdał sobie sprawę, że nie dostali wyników badań z laboratorium. Skontaktował się z biurem lekarza sądowego i kazał mu szybko kończyć analizę. Doktor odkrył kilka ciekawych szczegółów: obecność we krwi szpiku kostnego, co wskazywało na poważne złamanie kości; posocnicę, sugerującą głębokie cięcie albo otarcie; oraz obecność bakterii *coxiella burnetti* powodującej gorączkę typu Q, chorobę, którą można się zarazić w miejscach, gdzie trzymane są przez dłuższy czas zwierzęta, w portowych zagrodach albo w ładowniach statków.

- Gorączka typu Q jest u nas rzadka - oświadczył patolog.

Rhyme polecił następnie Dengowi i Lonowi Sellitto zebrać ekipę agentów, którzy zaczęli wydzwaniać do szpitali i klinik w Chinatown oraz Queens, żeby sprawdzić, czy nie przyjęto tam Chinki z gorączką typu Q albo fatalnie złamaną, zainfekowaną kończyną.

Już po dziesięciu minutach dostali telefon od policjanta w śródmieściu. Pewien Chińczyk przyprowadził właśnie swoją żonę do kliniki w Chinatown. Chinka pasowała idealnie do opisu: miała zaawansowaną gorączkę typu Q i wielokrotne złamanie. Nazywała się Wu Yong-Ping.

Funkcjonariusze z piątego komisariatu, a także Amelia Sachs i Deng, popędzili do kliniki, żeby ich przesłuchać. Wu powiedzieli policji, gdzie mieszkają, i napomknęli, że dzieci nadal przebywają w mieszkaniu. Rhyme poinformował następnie Amelię, iż otrzymali wyniki AFIS z miejsca zabójstwa Jimmy'ego Maha. Część odcisków pasowała do tych, które zdjęli z

wcześniejszych miejsc; to szmugler popełnił tę zbrodnię. Kiedy Wu wyjaśnił, że mieszkanie załatwił im pośrednik narajony przez Maha, Rhyme i Sachs zdali sobie sprawę, iż Duch doskonale wie, gdzie mieszka rodzina.

Z powodu jednego przedwczesnego strzału cały ten wysiłek poszedł jednak na marne.

- Macie coś na temat tej furgonetki z targu rybnego? - rzucił gniewnie Dellray do jednego z agentów.

- Nic. Nikt jej nie odnalazł i nikt nie widział jej na drodze.

- Jak to się stało, że nikt jej nie widział? Coś. Tu. Nie. Gra.

Dellray ruszył wielkimi krokami w stronę targu rybnego. Amelia dołączyła do niego. Tuż przy wejściu stali obok wielkiego pojemnika z lodem trzej Chińczycy, jak domyślała się Sachs, sprzedawcy. Przesłuchiwało ich dwóch policjantów. Dellray spojrzął na starszego mężczyznę, który natychmiast wbił wzrok w podłogę. Agent FBI wskazał go palcem.

- To on powiedział, że Duch ukraść furgonetkę, tak?

- Zgadza się, agencie Dellray - potwierdził jeden z gliniarzy.

- No więc, okłamał was!

Dellray i Sachs przebiegli przez targ i znaleźli furgonetkę ukrytą w tylnej alejce za kontenerem ze śmieciami. Dellray zawrócił do sprzedawców.

- Powiedz mi, co się stało - rozkazał staremu.

- On mnie zabić - odparł tamten, szlochając. - Kazać powiedzieć, że oni ukraść furgonetkę. Pistolet do głowy. Nie wiem, gdzie oni pójść.

Chwilę później jeden z policjantów podał informację, że porwano samochód. Trzej uzbrojeni mężczyźni w kominiarkach podbiegli do stojącego na światłach lexusa, kazali wysiąść siedzącej w środku parze i odjechali.

- Kto oddał strzał, który ich spłoszył? - zwróciła się do Dellraya Amelia Sachs.

- Jeszcze nie wiem.

Nie musieli jednak długo szukać. Dwaj umundurowani policjanci podeszli do Dellraya i przez chwilę z nim konferowali. Agent FBI ruszył ze wściekłą miną w kierunku winnego.

Był nim Alan Coe.

- Jak to się, do jasnej cholery, stało? - warknął Dellray.

Rudy agent nie zamierzał kłaść uszu po sobie.

- Musiałem strzelić - oznajmił. - Duch chciał zabić naszych przebierańców. Nie widziałeś?

- Nie, nie widziałem. Trzymał broń z boku.

- Z miejsca, gdzie stałem, wyglądało to inaczej. To, co zrobiłem, wynikało z bieżącej oceny sytuacji. Gdybyście zajęli wyznaczone pozycje, i tak byśmy go przyskrzynili.

- Mieliśmy zamiar aresztować go bez przypadkowych ofiar, nie na środku zatłoczonej ulicy. - Dellray potrząsnął wściekle głową i wycedził: - Trzydzieści cholernych sekund i mielibyśmy go podanego na tacy.

- W tych okolicznościach uważałem jednak, że tak właśnie powinienem postąpić - powtórzył Coe, lecz w jego głosie zabrzmiała nutka skruchy.

- To wszystko zaszło za daleko - rzekł stanowczo agent FBI. - Od tej chwili urząd imigracyjny pełni wyłącznie rolę doradcą.

- Nie może pan wydać takiej decyzji - odparł Coe ze złowrogim błyskiem w oku.

- Żebyś wiedział, że mogę, synu. Na mocy odpowiedniej dyrektywy. Jadę zaraz do miasta, żeby to załatwić - oświadczył Dellray i oddalił się.

Sachs patrzyła, jak wsiada do swojego samochodu, zatrząskuje drzwiczki i odjeżdża.

- Czy ktoś się zajął dziećmi? - zwróciła się do Alana Coe.

- Dziećmi Wu? Nie wiem. Poinformowałem o nich centralę - rzucił ze złością Coe i odszedł do swojego samochodu.

Dopiero teraz Sachs zadzwoniła do Rhyme'a i przekazała mu złe wiadomości.

- Co się stało? - zapytał Rhyme, wściekły jeszcze bardziej niż Dellray.

- Jeden z naszych ludzi strzelił, zanim zajęliśmy pozycje. Ulica nie była zamknięta i Duchowi udało się wymknąć. Strzelał Alan Coe. Dellray chce ograniczyć rolę urzędu w tej sprawie.

- Peabody'emu się to nie spodoba.

Amelia spostrzegła nagle Eddiego Denga.

- Muszę się zająć dziećmi Wu, Rhyme. Zadzwonię, kiedy przeszukam miejsce przestępstwa - powiedziała szybko i rozłączyła się. - Potrzebny mi tłumacz, Eddie! - zawołała do Denga. - Idę do dzieci Wu.

- Jasne.

Zeszli po kilku schodkach do mieszkania w suterenie. Deng nacisnął klamkę i w tej samej chwili Sachs zauważyła sterczący w zamku klucz.

- Nie! - zawołała, wyjmując broń z kabury. - Zaczekaj.

Ale było już za późno. Deng otworzył drzwi i gwałtownie się cofnął na widok niskiego śniadego mężczyzny, który trzymał płaczącą dziewczynkę, wbijając jej w szyję lufę pistoletu.

Mężczyzna ruszył do przodu, dając Dengowi znak, żeby się cofnął. Ani Sachs, ani młody detektyw nie ruszyli się z miejsca.

- Jesteś w kamizelce, Deng? - zapytała szeptem Amelia.

- Tak - padła udzielona drżącym głosem odpowiedź.

- Odsuń się - szepnęła. - Muszę mieć lepsze światło, żeby strzelić. Odłóż broń - zwróciła się bardzo powoli i spokojnie do mężczyzny zasłaniającego się dziewczynką.

Sachs i Deng cofnęli się. Napastnik, ciągnąc przerażoną małą, znalazł się na progu mieszkania.

- Ty! Na ziemię! - warknął okaleczoną angielszczyzną do Sachs.

- Nie - odpowiedziała. - Nie położymy się. Proszę, żebyś odłożył broń. Nie uda ci się uciec. Setki policjantów.

Mężczyzna zerknął ponad nimi w ciemną alejkę. Deng sięgnął po broń pod pachą.

- Eddie, nie! - krzyknęła Sachs.

Napastnik strzelił Dengowi prosto w pierś. Detektyw jęknął głośno i padł na ziemię, zbijając Amelię z nóg. Podniosła się oszołomiona na kolana, lecz napastnik wziął ją na muszkę, zanim zdążyła unieść broń.

Mimo to nie strzelił. Coś odwróciło jego uwagę. W mrocznej alejce Sachs zobaczyła niewielką postać - pędzącego mężczyznę, który trzymał coś w ręku.

Napastnik odwrócił się i podniósł broń, ale biegnący był szybszy i rąbnął go w głowę trzymaną w dłoni cegłą.

- Hongse! - zawołał Sonny Li do Amelii.

Odciągnął ją na bok i odwrócił się z powrotem do napastnika. Ten trzymał się za krwawiącą głowę, ale potem wycelował nagle z pistoletu i zaskoczony Li zatoczył się na ścianę.

Trzy oddane przez Sachs szybkie strzały trafiły napastnika, który padł niczym kukła na bruk.

- Piekielni sędziowie - wyjąkał Sonny Li, przyglądając się nieruchomemu ciału.

Dał krok do przodu, sprawdził puls mężczyzny i wyjął pistolet z jego martwej dłoni. Następnie pomógł wstać zapłakanej dziewczynce, która mijając Amelię, pobiegła alejką i wpadła w ramiona chińskiej policjantki z piątego komisariatu.

Pielęgniarze podbiegli do Denga, żeby sprawdzić, jak się czuje.

- Przepraszam - wyszeptał ranny do Sachs. - To było odruchowe.

- Twoja pierwsza strzelanina?

Deng kiwnął głową.

- Witaj w klubie - odparła z uśmiechem.

Sachs i dwaj policjanci z jednostki taktycznej sprawdzili mieszkanie i znaleźli w łazience małego, spanikowanego, mniej więcej ośmioletniego chłopca. Medycy przebadali rodzeństwo i ustalili, że żadne z nich nie zostało fizycznie skrzywdzone przez współnika Ducha.

Wkładając kombinezon z tyveku, Amelia Sachs podniosła wzrok i zobaczyła zmierzającego ku niej Sonny'ego Li. Widząc, że nieduży Chińczyk uśmiecha się od ucha do ucha, roześmiała się także.

- Skąd wiedziałeś, że Wu tu mieszkają? - zapytała.

Li zapalił papierosa.

- W Chinach pracowałem tak: chodziłem w różne miejsca, rozmawiałem z ludźmi. Dzisiaj poszedłem do kasyn, do trzech. W końcu spotkałem faceta przy pokerowym stoliku. On opowiedział mi o mężczyźnie, który był tam wcześniej. Skarżył się wszystkim, że ma chorą żonę. Potem powiedział, że był na „Fuzhou Dragonie” i wszystkich uratował. To musiał



być Wu. Dysharmonia wątroby i śledziony, mówiłem wam. Wu powiedział, że mieszka gdzieś blisko. Zacząłem się rozglądać, pytać ludzi i dowiedziałem się, że rodzina taka jak Wu dzisiaj się wprowadziła. Spojrzałem przez tylne okno i zobaczyłem faceta z pistoletem. Hej, ty też patrzysz najpierw przez tylne okno, Hongse? To dobra zasada.

- Powinnam była to zrobić, Sonny.

- A jak wy znaleźliście Wu? - zapytał Chińczyk.

Sachs wyjaśniła, że trafili na ślad rodziny dzięki urazowi żony. Li pokiwał głową, wyraźnie pod wrażeniem zdolności dedukcyjnych Rhyme'a. Sachs opowiedziała mu następnie o przedwczesnym strzale i ucieczce szmuglera.

- Coe? On mi się nie podoba, naprawdę. Kiedy był na konferencji w Fuzhou, myśmy mu nie ufali. Mówił do nas jak do dzieci, chciał samemu załatwić Ducha. Źle się wyrażał o imigrantach. - Li przyjrzał się kombinezonowi z tyteku. - Dlaczego zakładasz to ubranie, Hongse?

- Żeby nie pomylić dowodów rzeczowych.

- Nie powinnaś nosić się na biało. W moim kraju to kolor śmierci. Zły omen.

- Nie jestem przesądna - stwierdziła Sachs.

- Ja jestem - odparł Li. - W Chinach wiele ludzi przesądnych. Trzeba odmawiać modlitwy, składać ofiary, ucinać ogon demonowi...

- Ucinać co? - przerwała zaskoczona.

- Ucinać ogon demonowi. Demony zawsze cię ścigają, więc kiedy przechodzisz przez ulicę, trzeba przebiec szybko przed samochodem. To ucina ogon demona, pozbawia go siły.

Uzyskawszy od Li obietnicę, że nie będzie jej wchodził w drogę, Sachs zbadała ciało martwego napastnika, przeszukała mieszkanie Wu i na koniec poprzesywany kulami samochód Ducha. Następnie razem z Chińczykiem pojechała do kliniki, gdzie zastali całą rodzinę Wu w pokoju strzeżonym przez dwóch umundurowanych policjantów oraz agentkę urzędu imigracyjnego o kamiennym obliczu.

- Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli umieścimy ich w jednym z naszych domów? - zapytała Amelia Sachs.

Nowojorska policja dysponowała kilkoma położonymi w mieście strzeżonymi mieszkaniami, z których korzystali objęci ochroną świadkowie. Duch, który spodziewał się raczej, że Wu zamieszkają w ośrodku dla imigrantów, mógł przekupić kogoś, by go tam wpuścił, albo choćby jego *bangshou*.

- Nie mamy nic przeciwko temu - odparła agentka.

Sachs, która wiedziała, że wolny jest akurat dom w Murray Hill, podyktowała jej adres. Następnie dała znak Sonny'emu i oboje pożegnali przygnębioną rodzinę. Po wyjściu z kliniki przystanęli na moment przy krawężniku, a potem jak na komendę przebiegli między dwiema pędzącymi taksówkami. Sachs zastanawiała się, czy druga z nich minęła ją dostatecznie blisko, aby uciąć ogony prześladowającym ją demonom.

Obawy przed zamachem bombowym skłoniły administrację budynków rządowych do ograniczenia dostępu na parking pod Federal Plaza na Manhattanie. Mogli z niego korzystać wyłącznie wyżsi urzędnicy; dla innych pracowników dobudowano aneks. Tam również przedsięwzięto oczywiście niezbędne środki ostrożności, jednak tego dnia, o godzinie dziewiątej wieczorem, nie funkcjonowały one najlepiej, ponieważ uwagę jedyne go pełniącego służbę strażnika zaabsorbowało niecodzienne wydarzenie: płonący na Broadwayu pojazd. Dlatego też nie spostrzegł niosącego teczkę niedużego mężczyzny w garniturze, który zbiegł szybko po rampie na opustoszały parking.

Mężczyzna pamiętał dobrze numery rejestracyjne granatowego rządowego samochodu, którego szukał, i odnalezienie go zajęło mu tylko pięć minut. Rozejrzawszy się dookoła, założył rękawiczki, wetknął szybko dźwignię między szybę i bok drzwi, po czym wsunął tam specjalny pręt, który odblokowywał zamek. Następnie otworzył teczkę i wyjął z niej ciężką papierową torbę z trzydziestocentymetrowymi żółtymi laskami. Do detonatora jednej z nich podłączony był przewód, który biegł do zasilacza, stamtąd zaś do prostego wyłącznika przyciskowego. Mężczyzna umieścił torbę pod fotelem kierowcy i wsunął wyłącznik między sprężyny siedzenia. Każdy, kto ważył więcej niż czterdzieści kilogramów, mógł uruchomić detonator, po prostu siadając w fotelu.

Mężczyzna włączył zasilacz, zamknął drzwi samochodu i opuścił parking, mijając zdecydowanym krokiem strażnika, który nieświadom niczego, nadal obserwował z zainteresowaniem strażaków gaszących płonącą furgonetkę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Siedzieli w milczeniu, oglądając wiadomości na ekranie małego telewizora. William tłumaczył słowa, których nie rozumieli jego rodzice. W telewizji nie podali nazwisk ludzi, którzy o mały włos nie zginęli na Canal Street, ale nie ulegało wątpliwości, że chodziło o Wu Qichena i jego rodzinę. Reporter wspomniał, że przyплыnęli tego ranka na pokładzie „Fuzhou Dragona”. Jeden ze współników Ducha zginął, jednak samemu szmuglerowi udało się uciec.

Wiadomości dobiegły końca i na ekranie pojawiły się reklamy. Mei-Mei skończyła zszywać małego wypchanego kotka dla Po-Yee i położyła go na krześle. Dziewczynka chwyciła go w rączki i przyglądała się uszczęśliwiona zabawce.

Sam Chang usłyszał jęk dobiegający z kanapy, na której leżał ojciec. Natychmiast wstał, znalazł lekarstwo i podał mu tabletkę morfiny. Doktor w Chinach rozpoznał raka, ale Chang Jiechi był ojcem dysydenta i znalazł się w związku z tym na samym końcu kolejki do leczenia.

Kiedy przyglądał się ojcu, ten otworzył nagle oczy.

- Duch jest wściekły, bo zabili jednego z jego ludzi - powiedział. - I nie udało mu się zabić Wu. Teraz ruszy w pościg za nami.

Taki był jego ojciec - siedział sobie cichutko i chłonał informacje, a potem wydawał opinię, która była nieodmiennie słuszna. W tym przypadku również miał rację, pomyślał zdesperowany Sam Chang.

Niezmiernie żałował decyzji, która przysporzyła tylu nieszczęść jego najbliższym. A więc, tak miał odtąd wyglądać los, jaki zgotował swojej rodzinie - nie czekało ich nic poza lękiem i mrokiem.

Siedząc na ławce w Battery Park City, Duch obserwował oświetlone statki, które płynęły rzeką Hudson. Deszcz przestał padać, ale nadal wiał porywisty wiatr i nisko nad głowami sunęły zwały purpurowych chmur, rozłożonych od dołu przez światła wielkiego miasta.

Zastanawiał się, w jaki sposób policja dotarła do Wu. Może to jakieś czary?

Nie, nie było w tym żadnych czarów. Miał kolejny dowód na to, że jego przeciwnik i ludzie, którzy z nim pracowali, byli nieubłagani i niesłuchanie zdolni. Gdyby nie ten przedwczesny strzał na Canal Street, gryzłby teraz ziemię albo siedział za kratkami. Kim był, u diabła, ów Lincoln Rhyme, o którym dowiedział się ze swojego źródła informacji?

Teraz już nic mu nie groziło. Na Canal Street miał na głowie kominiarkę, nikt go stamtąd nie ściagał, a Kashgari nie miał przy sobie niczego, co pozwoliłoby go powiązać z Duchem względnie z turkiestańskim centrum etnicznym w Queens.

Jutro odnajdzie Changów.

Późnym wieczorem Fred Dellray wstał i przeciągnął się przy swoim biurku w biurze FBI na Manhattanie. Czas się zbierać. Przekartkował raport o strzelaninie przy Canal Street, nanosząc tu i tam poprawki i przez cały czas zastanawiając się, dlaczego w ogóle bierze udział w operacji „Wyzionąć Ducha”.

Frederick Dellray, który ukończył kryminologię, psychologię i filozofię, był w dziedzinie tajnych operacji alfą i omegą, podobnie jak Rhyme w dziedzinie kryminalistyki. Zgubił go jednak własny talent. Okazał się zbyt dobry. Wieści o odnoszonych przez niego sukcesach rozeszły się po całym przestępczym świecie. Podczas pracy w terenie groziło mu zbyt wielkie niebezpieczeństwo. W związku z czym awansowano go i od tej pory jedynie nadzorował innych tajnych agentów i współpracowników policji w Nowym Jorku.

Gdy skierowano go do operacji opatrzonej później kryptonimem „Wyzionąć Ducha”, wpadł w konsternację. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z przemytem ludzi i uświadomił sobie, że kierując tą operacją, zajmuje się przestępstwami, o których naprawdę niewiele wie. Po dzisiejszych zmaganiach poczuł się jednak dużo lepiej. Nazajutrz miał umówione spotkanie z agentami specjalnymi kierującymi dystryktem południowym i wschodnim, a także z jednym z wicedyrektorów Biura z Waszyngtonu. Przekona ich, żeby dali mu to, czego potrzebował: pełną jurysdykcję FBI, specjalny oddział taktyczny oraz zepchnięcie urzędu imigracyjnego do roli doradczej.

Idąc korytarzem, skinał głową dwóm agentom.

- „Tyle jest zbrodni w świecie - zaintonował, mijając ich - a taki krótki czas”.

Pożegnali go gestem uniesionych dłoni.

Dellray zjechał na dół windą, wyszedł z biura frontowymi drzwiami i przeciął ulicę, zmierzając do aneksu parkingu federalnego. Po drodze zauważył tłący się nadal szkielet furgonetki, która spaliła się wcześniej tego wieczoru.

Minąwszy strażnika, zszedł na pogrążony w półmroku parking, odnalazł swego rządowego forda, otworzył drzwiczki i cisnął do środka poobijaną teczkę.

Wsiadając, zauważył, że uszczelka przy bocznej szybie jest wciśnięta do środka - ktoś wsunął tam dźwignię, żeby otworzyć samochód. A potem zobaczył wystające spod fotela przewody i pochylił się gwałtownie do przodu, usiłując złapać się prawą ręką drzwi i nie uruchomić własnym tyłkiem detonującego bombę wyłącznika przyciskowego.

Ale było już za późno.

Sachs, Mel Cooper i Rhyme badali ślady, które Amelia znalazła wcześniej w skradzionym przez Ducha blazerze - kilka małych szarych włókien z dywanu pod pedałem hamulca i gazu. Lon Sellitto rozmawiał przez telefon. Sonny Li kręcił się gdzieś w pobliżu, chwilowo nie miał jednak do zaoferowania żadnych złotych myśli ze skarbnicy azjatyckiego detektywa.

Pobrane przez Sachs włókna nie pasowały do dywaników w blazerze ani do żadnych innych znalezionych wcześniej.

- Spalcie je i zajrzyjcie do bazy danych - zlecił Rhyme.

Cooper przepuścił dwa włókna przez chromatograf gazowy sprzężony ze spektrometrem masowym, które podały dokładny wykaz substancji, z których składał się ten typ dywanu. Kiedy czekali na wyniki, rozległo się pukanie do frontowych drzwi.

Przybył Harold Peabody. Towarzyszył mu ktoś jeszcze. Rhyme zorientował się, że to zastępca agenta specjalnego kierującego biurem FBI na Manhattanie. Obaj mieli posępne miny.

Chwilę później pojawił się trzeci mężczyzna. Przyjrzawszy się jego świeżo wyprasowanemu granatowemu garniturowi i białej koszuli. Rhyme uznał, że to kolejny agent FBI. lecz gość przedstawił się zwięźle jako Webley ze Stanu.

A więc sprawą zainteresował się również Departament Stanu, pomyślał Rhyme. To był dobry znak. Dellray musiał rzeczywiście użyć bardzo wysokich *guanxi*. żeby załatwić im posiłki.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Lincoln - bąknął Peabody.

- Musimy z panem porozmawiać. Coś się wydarzyło dziś wieczorem w centrum Manhattanu - oznajmił zastępca agenta specjalnego.

- W związku ze sprawą? - zapytała Sachs.

- Nie wydaje nam się, żeby to było z nią związane. Ale obawiam się, że będzie miało pewne implikacje.

No dalej, wyrzućcie to z siebie wreszcie, pomyślał niecierpliwie Rhyme.

- Ktoś podłożył dziś wieczorem bombę na podziemnym parkingu naprzeciwko Federal Building.

- Dobry Boże... - szepnął Mel Cooper.

- Zrobił to w samochodzie Freda Dellraya.

- Nie! - krzyknęła Amelia.

- Nic mu się nie stało - dodał szybko zastępca agenta specjalnego. - Ładunek nie wybuchł.

Rhyme zamknął na chwilę oczy.

- Co to było? - zapytał.

- Dynamit z wyłącznikiem przyciskowym. Wybuchł tylko detonator.

- Dlaczego uważacie, że to nie ma związku ze sprawą? - zapytał Rhyme.

- Dwadzieścia minut przed wybuchem anonimowy rozmówca zadzwonił pod numer dziewięćset jedenaście. Męski głos o nieustalonym akcencie oznajmił, że rodzina Cherenko planuje kroki odwetowe za aresztowania, do których doszło w zeszłym tygodniu.

Rhyme przypomniał sobie, że Dellray przeprowadził niedawno dużą tajną operację w Brooklynie, mateczniku rosyjskiej mafii.

Zauważył również, że Webley z Departamentu Stanu nie powiedział ani słowa od momentu, gdy się pojawił. Skrzyżował ręce na piersi i stał w milczeniu przy tablicy, wbijając

w nich wzrok. Rhyme uświadomił sobie, na czym polegają „implikacje”, o których wspomniał zastępca agenta specjalnego. Partner Dellraya zginął w zamachu bombowym w Oklahoma City.

- Fred chce, żeby wyłączyć go ze sprawy? - zapytał.

Zastępca agenta specjalnego pokiwał głową.

- Uprzątnął już biurko.

Rhyme'owi trudno było go winić.

- Potrzebujemy pomocy - rzekł. - Fred załatwił nam właśnie specjalną grupę taktyczną i kilku dodatkowych agentów. Brakuje nam wsparcia.

- Rano będziecie mieli nowego agenta oraz informację w sprawie grupy taktycznej - zapewnił go zastępca agenta specjalnego.

- Słyszałem o tym, co się przytrafiło Alanowi Coe - rzekł Peabody. - Przed domem Wu. Przepraszam.

- Złapałobyśmy Ducha, gdyby Coe nie strzelił - powiedział z naciskiem Li.

- Wiem. Słuchajcie, to porządny facet. Jest tylko trochę narwany. Staram się nie oceniać go zbyt surowo. Załamał się lekko, kiedy zaginęła jedna z jego informaterek. Domyślam się, że czuł się winny. Wziął bezpłatny urlop. Nie chce o tym mówić, ale słyszałem, że wyjeżdżał za granicę, by się dowiedzieć, co się z nią stało. W końcu wrócił do pracy i od tego czasu nie odpuszcza nikomu. To jeden z moich najlepszych agentów.

Oczywiście pominiawszy drobne uchybienia w rodzaju umożliwienia ucieczki podejrzanym, pomyślał cierpko Rhyme.

Peabody, Webley i zastępca agenta specjalnego wyszli, zapewniwszy Rhyme'a raz jeszcze, że rano zgłosi się do niego nowy oficer łącznikowy z FBI.

- W porządku, zabieramy się z powrotem do roboty - zawołał kryminolog, zwracając się do Sellitta, Amelii Sachs, Coopera i Li. - Czego dowiedziałaś się w klinice?

Sachs powtórzyła dokładnie, co powiedzieli jej Wu. Changowie byli gdzieś w Queens i jeździli niebieską furgonetką nieznannej marki o nieznanym numerach rejestracyjnych. Mieli również niemowlę, którego matka utonęła na frachtowcu.

- Ma na imię Po-Yee. To znaczy „Drogocenne Dziecko”.

Rhyme zauważył szczególny wyraz twarzy Sachs, kiedy wspomniała o niemowlęciu. Wiedział, jak bardzo chciała dziecka - i że chciała je mieć z nim. Bez względu na to, jak dziwny mógł mu się wydać ten pomysł przed kilku laty, w głębi ducha nawet mu się podobał. Jego motywy jednak przynajmniej po części nie miały nic wspólnego z pragnieniem bycia ojcem. Amelia Sachs, jak żaden inny znany mu zawodowy policjant poza nim samym, posiadała umiejętność wczuwania się w sposób myślenia sprawcy i odnajdywała dzięki temu dowody rzeczowe, które umykały uwadze innych. Ale to, co czyniło z niej idealną policjantkę na miejscu zbrodni, narażało ją również na niebezpieczeństwo. Sachs, która władała po mistrzowsku bronią palną i była prawdziwym asem kierownicy, często zjawiała się pierwsza,

gdy trzeba było kogoś aresztować, gotowa wyciągnąć broń i ująć sprawcę. Tak jak to się stało dzisiaj przy domu Wu. Rhyme nigdy nie poprosiłby jej, by przestała się narażać. Żywił jednak nadzieję, że mając w domu dziecko, ograniczyłaby się wyłącznie do czynności dochodzeniowych, w czym była jako policjantka najlepsza.

Tok jego myśli przerwał nagle Mel Cooper.

- Są wyniki chromatografii włókien.

Po kilku sekundach pojawiły się na ekranie.

- To wykładzina dywanowa marki Lustre-Rite. Producentem jest firma Arnold Textile & Carpeting w Wallingham w stanie Massachusetts. Mam ich numery telefonów.

- Niech ktoś do nich zadzwoni - polecił Rhyme. - Interesują nas zamówienia z Dolnego Manhattanu. Z ostatniego okresu, prawda, Mel?

- Najprawdopodobniej, skoro tych włókien jest aż tyle. Większość włókien odpada od wykładziny najpóźniej w ciągu sześciu miesięcy od założenia.

- Zajmę się tym - powiedział Sellitto. - Ale nie oczekujcie cudów - dodał, wskazując głową zegar. Dochodziła jedenasta wieczór.

- Chyba mają tam nocną zmianę - rzekł Rhyme. - Brygadzysta będzie znał domowy numer szefa.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Cooper tymczasem badał ślady, które Amelia znalazła w blazerze.

- Jak sądzisz, Lincoln? Czy to mierzwa? Pochodzi z dywanika.

- Polecenie, wejście, mikroskop - rozkazał Rhyme i obraz z mikroskopu pojawił się na ekranie jego komputera. Kryminolog rozpoznał ślady świeżej cedrowej mierzwy.

- Dużo zieleni jest wokół Battery Park City - mruknął Sellitto, mając na myśli luksusowe apartamentowce na Dolnym Manhattanie, gdzie, na co wskazywały uzyskane wcześniej dowody, Duch mógł posiadać mieszkanie.

Za dużo zieleni, pomyślał Rhyme.

- Co wiemy na temat zwłok? - zapytał.

- Niewiele - odparła Sachs.

Wspólnik Ducha nie miał przy sobie dokumentów.

- Hej, jest tak, jak myślałem, Loaban - odezwał się nagle Sonny Li, wskazując zrobione polaroidem zdjęcie zabitego. - Jego twarz, widzisz? On jest Kazach, Tadżyk, Ujgur... Z mniejszości, tak jak mówiłem, pamiętasz?

- Pamiętam - powiedział Rhyme. - Zadzwoni do naszego przyjaciela z tongu... do pana Cai. Powiedz, że naszym zdaniem bandyci rekrutują się z tych mniejszości. To pomoże mu zawęzić poszukiwania. Balistyka? - zapytał po chwili.

- Duch nadal używa tokariewa model pięćdziesiąt jeden - poinformowała go Sachs.

- Mówiłem, to bardzo solidny pistolet - wtrącił Li.

- A broń zabitego?

- Zbadalam ją. To stary walther PPK.

- Gdzie jest teraz? - zapytał Rhyme, do którego nie dotarła ta broń.

Amelia Sachs i Sonny Li wymienili między sobą szybkie porozumiewawcze spojrzenia.

- Mają go chyba federalni - powiedziała z roztargnieniem Amelia.

Li uciekł wzrokiem w bok i Rhyme od razu domyślił się, że po zbadaniu pistoletu Sachs przekazała go chińskiemu policjantowi. Cóż, chyba mu się należał, pomyślał. Gdyby nie Li, niewykluczone, że zginęliby Deng, Sachs i córka Wu.

- Właśnie rozmawiałem z jednym z szefów Arnold Textile - zawołał Sellitto. - Ta konkretna wykładzina jest wyłącznie w sprzedaży komercyjnej. To ich czołowy produkt. Dał mi listę dwunastu działających na tym terenie dużych przedsiębiorców budowlanych i dwudziestu sześciu hurtowni, które sprzedają wykładziny instalatorom i podwykonawcom.

- Do diabła - zaklął Rhyme. Sporządzenie pełnej listy mieszkań wyposażonych w wykładzinę Lustre-Rite mogło się okazać trudnym zadaniem. - Zlec to komuś.

W tym momencie zadzwonił jego prywatny telefon i Rhyme odebrał go. Aparat nastawiony był na tryb głośno mówiący.

- Lincoln? - odezwał się kobiecy głos.

- Dobry wieczór, doktor Weaver - odparł, czując, jak przechodzi go dreszcz.

- Wiem, że jest późno. Nie przeszkadzam panu?

- Nie, skądże - zapewnił ją Rhyme.

- Mam już dokładne informacje na temat operacji. Odbędzie się w Manhattan Hospital w przyszły piątek o dziesiątej rano. Spotkamy się na sali przedoperacyjnej oddziału neurochirurgii na trzecim piętrze.

- Doskonale - odparł i życzył jej dobrej nocy.

Amelia Sachs nie odezwała się ani słowem. Rhyme wiedział, że wolałaby, aby nie poddawał się zabiegowi. Jak dotąd pozytywne rezultaty odnotowano głównie u pacjentów, których urazy były o wiele mniej poważne niż Rhyme'a. Przy tym operacja wiązała się z ryzykiem: jego stan mógł się po niej nawet pogorszyć. Sachs rozumiała jednak, jakie to dla niego ważne, i miała zamiar go wspierać.

- No cóż - oznajmiła w końcu ze stoickim spokojem. - W takim razie musimy złapać Ducha przed przyszłym piątkiem.

Rhyme zauważył, że Thom bacznie mu się przygląda.

- Na dzisiaj koniec - oświadczył nagle stanowczym głosem asystent.

Amelia, Sellitto i Cooper również byli za tym, żeby zakończyć dzień pracy.

- Bunt na pokładzie - mruknął Rhyme. Odczuwał dziwne zmęczenie, lecz składał je na karb zaangażowania w sprawę, która tak go pochłaniała. - Zostajesz dzisiaj na noc, Sonny - powiedział.

- I tak nie mam gdzie pójść, Loaban. Jasne.



- Thom przygotuje ci pokój. Ja będę na górze. Jeśli masz ochotę, możesz mnie odwiedzić. Daj mi tylko dwadzieścia minut.

Li kiwnął głową.

- Zawiozę cię na górę - zaproponowała Amelia.

Rhyme wjechał wózkiem do małej windy i Sachs weszła tam za nim. Lincoln zerknął na jej twarz. Była zamysłona, ale wyczuwał, że to nie wiąże się ze sprawą.

- Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać, Sachs? - zapytał.

Nie odpowiadając, wcisnęła guzik windy.

Zbliżała się północ. Przywódca Stowarzyszenia Pracowników Wschodniego Broadwayu siedział w swoim gabinecie od ulicy, rozmawiając z człowiekiem, którego widział po raz pierwszy w życiu. Jego gość mógł się jednak okazać bardzo cenny, wiedział bowiem, gdzie ukrywają się Changowie.

- Skąd znasz tych ludzi? - zwrócił się do mężczyzny, który podał mu tylko swoje nazwisko: Tan.

- Chang jest przyjacielem mojego brata w Chinach. Załatwiłem im mieszkanie, a także pracę dla Changa i jego syna.

- Gdzie jest to mieszkanie? - zapytał od niechcienia przywódca tongu.

- To jest właśnie informacja, którą chcę sprzedać - odparł mężczyzna, energicznie gestykulując. - Jeśli Duch chce znać adres, musi za to zapłacić. Będę pertraktował tylko z Duchem.

- To niebezpieczne - ostrzegł przywódca tongu. - Ile nam zapłacisz, jeśli cię z nim skontaktujemy?

- Dziesięć procent od tego, co mi zapłaci.

Określiwszy wstępne warunki, przystąpili do negocjacji. W końcu zgodzili się na trzydzieści procent, pod warunkiem, że suma będzie wypłacona w amerykańskich dolarach.

Przywódca tongu wyjął komórkę i wystukał numer. Kiedy Duch odebrał telefon, przedstawił mu się.

- Mam tutaj kogoś - oznajmił - kto wynajął mieszkanie rozbitkom z „Fuzhou Dragona”. Rodzinie Changów.

Duch przez chwilę milczał.

- Niech to udowodni - rzekł w końcu.

Przywódca tongu przekazał to swojemu gościowi.

- Zachodnie imię Changa brzmi Sam - odpowiedział Tan. - Jest tam też starszy mężczyzna, jego ojciec. I dwaj chłopcy. Aha, i żona, Mei-Mei. Mają też niemowlę.

- Skąd on ich zna? - zapytał Duch.

- To brat przyjaciela Changa z Chin.

- Powiedz mu, że zapłacę za informację sto tysięcy jednokolorowych - odparł po krótkim zastanowieniu Duch.

Przywódca tongu zapytał, czy Tan akceptuje tę sumę. Jego gość natychmiast się zgodził i wiadomość została przekazana Duchowi.

- Każ mu przyjść do mnie jutro rano o wpół do dziewiątej. Wiesz gdzie - powiedział szmugler i się rozłączył.

Ręce Sama Changa drżały, a oddech był urywany i krótki, kiedy opuścił siedzibę Stowarzyszenia Pracowników Wschodniego Broadwayu. Nagle jednak się zaśmiał. Cóż za niesamowity pomysł - targował się z tym człowiekiem o cenę życia swojej rodziny.

Zdawał sobie sprawę, że pewnie zginie. I w tym momencie pomyślał przede wszystkim o Williamie, swoim pierworodnym. Och, synu. Owszem, zaniedbywałem cię. Ale powinieneś zrozumieć, że robiłem to, bo chciałem lepszej ojczyzny dla ciebie i twoich dzieci. A kiedy życie w Chinach stało się zbyt niebezpieczne, przywiozłem cię tutaj, porzucając mój ukochany kraj.

O miłości, synu, nie świadczy kupowanie gadżetów, częstowanie łakociami ani zapewnienie komuś własnego pokoju. Miłość to dyscyplina, dawanie przykładu i poświęcenie - nawet własnego życia.

Amelia Sachs jechała do śródmieścia, nie przekraczając raczej, co dla niej nietypowe, limitu szybkości, i powtarzając w myśli rozmowę z lekarzem sprzed kilku tygodni.

- A, pani Sachs. Tu pani jest.

- Dzień dobry, doktorze.

- Właśnie rozmawiałem z lekarzem Lincolna Rhyme'a.

- Po pana minie widzę, że nie ma pan dla mnie dobrych wiadomości.

- Może usiądziemy tam w rogu?

- Tu jest dobrze. Niech mi pan powie. Bez owijania w bawełnę.

Cały jej świat legł nagle w gruzach, załamały się wszystkie plany na przyszłość. Jak mogła temu zaradzić?

Cóż, pomyślała, zatrzymując samochód, jest jedna rzecz...

Przez dłuższy czas siedziała, nie ruszając się z miejsca. To szaleństwo, powiedziała sobie. Ale potem wiedziona jakimś impulsem, wysiadła z camaro i ze spuszczoną głową weszła do bloku. Wspięła się po schodach. I zapukała do drzwi.

Kiedy się otworzyły, uśmiechnęła się do Johna Sunga. On też się do niej uśmiechnął i zaprosił gestem do środka.

Sonny Li wszedł do sypialni Lincolna Rhyme'a, trzymając w ręku reklamówkę.

- Kiedy byłem w Chinatown z Hongse, Loaban, kupiłem kilka rzeczy. Mam dla ciebie prezent.

- Prezent? - zapytał Rhyme ze swojego nowego łóżka marki Hill-Room Flexicair.

- Patrz, co tu mam. - Li trzymał w rękach nefrytową figurkę groźnie wyglądającego mężczyzny z łukiem i strzałą. Postawił ją na stoliku przy północnej ścianie, po czym wrócił do torby i wyjął z niej kilka kadzidełek.

- Nie będziesz tego tutaj palił!

- Tak trzeba, Loaban. To cię nie zabije. - Li umocował kadzidełko w uchwycie i zapalił je. Następnie wyjął jasnozieloną butelkę i wlał z niej jakiś płyn do plastikowej filiżanki.

- Co, u diabła, robisz? Stawiasz tu kapliczkę?

- To Guan Di, bóg wojny - wyjaśnił Li. - Złożymy mu ofiarę. On lubi słodkie wino i ja mu kupiłem.

Li skłonił się przed figurką i powiedział kilka słów po chińsku. Następnie wyjął z torby inną białą butelkę, usiadł na krześle przy łóżku Rhyme'a i nalał sobie do jednorazowej filiżanki. Na koniec napełnił jeden z kubków Rhyme'a i wsadził do środka słomkę.

- A to co? - zapytał Rhyme.

- Dobry alkohol, Loaban. Jak whisky. Złożymy teraz ofiarę sobie.

Nie, to nie była wcale whisky, ale chociaż trunek smakował paskudnie, miał w sobie piekielną moc.

Li wskazał głową prowizoryczny ołtarzyk.

- Znalazłem Guan Di w sklepie w Chinatown. Ale nie kupiłem go z powodu wojny. On jest także bogiem detektywów, naprawdę.

- Zasuwasz.

- Że niby żartuję? Nie, to prawda. W każdym urzędzie bezpieczeństwa, każdym, gdzie byłem, stoi Guan Di. Kiedy śledztwo nie idzie dobrze, detektywi składają ofiary tak jak my. A ta operacja, o której mówiłeś... - podjął po chwili Chińczyk. - Czy ci się polepszy?

- Możliwe. Trochę. Mógłbym odzyskać w niewielkim stopniu władzę w kończynach.

- Na czym to polega?

Rhyme opowiedział Sonny'emu Li o doktor Cheryl Weaver, która wykonywała eksperymentalne zabiegi u pacjentów z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Nadal pamiętał dokładnie, co mówiła lekarka na temat swojej techniki.

„Układ nerwowy zbudowany jest z aksonów, które przenoszą impulsy nerwowe. Kiedy następuje uraz rdzenia kręgowego, aksony ulegają zerwaniu lub zmiążdżeniu, a następnie obumierają. Przeszają w związku z tym przesyłać impulsy i przekaz z mózgu nie dociera do reszty ciała. W obwodowym układzie nerwowym - w naszych rękach i nogach - zniszczone aksony mogą się zregenerować. W ośrodkowym układzie - czyli w mózgu i rdzeniu kręgowym - nie. Ale nauczyliśmy się robić pewne rzeczy, aby pomóc im się odtworzyć. Najpierw stosujemy tradycyjne metody chirurgiczne, mające na celu odbudowanie struktury

kostnej kręgow oraz odbarczenie miejsca, w którym nastąpił uraz. Następnie dokonujemy dwóch przeszczepów. Jeden to przeszczep własnych tkanek nerwowych z układu obwodowego pacjenta, drugi to komórki pobrane z ośrodkowego systemu nerwowego embrionu”.

- Pobierają je z embrionu rekina - dodał Rhyme.

Sonny Li roześmiał się.

- Z ryby?

- Tak jest. Rekiny są bardziej kompatybilne z ludźmi niż inne organizmy.

- Hej, Loaban, ta operacja, ona niebezpieczna?

- Owszem, jest niebezpieczna - potwierdził Rhyme.

- Wygląda mi to na *yi luan tou shi*. Znaczy „rzucać się z jajkami na skały”. Czyli robić to, co nie może się udać, naprawdę. Więc po co ci ta operacja?

Dla Rhytne'a sprawa była oczywista. Żeby zyskać trochę więcej niezależności. Móc podrapać się w głowę. Być bliżej Amelii Sachs. Być lepszym ojcem dla dziecka, którego Sachs tak bardzo pragnęła.

- To jest coś, co po prostu muszę zrobić, Sonny - powiedział.

Li potrząsnął głową.

- Nie, nie. Lepiej przyjąć swoje ograniczenia. Los zrobił cię takim, jakim jesteś, Loaban. Może jesteś lepszym detektywem dlatego, że to się stało. Teraz twoje życie jest zrównoważone.

Rhyme mimo woli się roześmiał.

- Nie mogę chodzić. Nie mogę wziąć do ręki dowodu rzeczowego. Jak to może być, do diabła, lepsze?

- Może twój umysł, on teraz lepiej pracuje, naprawdę. Może masz silniejszą wolę. Może twój *jizhong*, twoje skupienie teraz lepsze.

- Chcę znowu chodzić - szepnął z naciskiem Rhyme, zastanawiając się, dlaczego otwiera duszę przed tym dziwnym człowieczkiem. - Nie pragnę chyba zbyt wiele.

- A może to zbyt wiele - odparł Li. - Słuchaj, Loaban, patrz na mnie. Może ja bym chciał być wysoki i wyglądać jak Chow Yun-Fat, żeby uganiały się za mną dziewczęta. Może bym chciał być bankierem w Hongkongu. Ale to nie jest moja natura. Moja natura to być dobrym gliniarzem. Może gdybyś zaczął znowu chodzić, straciłbyś coś ważnego. - Li dołał sobie alkoholu. - Słuchaj, Loaban, w Chinach mamy dwóch wielkich filozofów: Konfucjusza i Lao-tsy. Konfucjusz uważał, że dla ludzi najlepsze jest słuchać zwierzchników, wykonywać rozkazy, siedzieć cicho. Ale Lao-tsy, on mówi, najlepsze dla każdego jest iść własną drogą życia. Znaleźć harmonię i naturę. W „Tao” Lao-tsy mówi: „Żyj pośrodku twojego bytu. Po prostu bądź”.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Po jakimś czasie Li zaczął opowiadać o życiu w Chinach.

- Jakiego typu przestępczość występuje w Liu Guoyuan? - zapytał Rhyme.

- Dużo przekupstwa, pieniędzy za protekcję. Dużo innych przestępstw. W Chinach dużym problemem jest porywanie kobiet. Na każde sto kobiet mamy stu dwudziestu mężczyzn. Ludzie nie chcą rodzić dziewczynek, naprawdę. A skąd potem wziąć żonę? Więc dużo porywaczy łapie kobiety i sprzedaje je potem na żony. Ja odnalazłem sześć w zeszłym roku. Rekord w naszym urzędzie. Dobre uczucie złapać porywacza, aresztować go.

Przez chwilę pili w milczeniu. Rhyme czuł się zadowolony. Większość ludzi, którzy tu przychodzili, widziała w nim mniej lub bardziej jawnie wybryk natury. Ale Li w ogóle się nie przejmował stanem Rhyme'a. Tak jakby to było zupełnie naturalne. Rhyme zdał sobie sprawę, że prawie wszyscy ludzie, których poznał w ciągu ostatnich kilku lat z wyjątkiem Amelii Sachs, to wyłącznie znajomi. Tego mężczyznę znał dopiero jeden dzień, ale Sonny Li już teraz wydawał mu się kimś więcej.

- Wspomniałeś o swoim ojcu - powiedział. - Kiedy do niego wcześniej dzwoniłeś, nie wyglądało to najlepiej. W czym rzecz?

- Aaa... mój ojciec. Ja nie dorastam do tego, co on chce.

- Dlaczego?

- Aaa... dużo rzeczy. Dam ci naszą historię w tablecie.

- W pigułce.

- Mój ojciec podczas wojny domowej walczył razem z Mao, wypędzał nacjonalistów na Tajwan. W październiku czterdziestego dziewiątego roku stał z przewodniczącym Mao przy Bramie Niebiańskiego Pokoju w Pekinie. Och, Loaban, słyszałem tę historię milion razy. Wielki patriotyczny moment. Mój ojciec, on ma *guanxi*. Wysokie koneksje. On wielki działacz partii komunistycznej w Fujian. On chciał, żebym ja też. Ale ja widziałem, co komuniści zrobili w sześćdziesiątym szóstym roku: wielką proletariacką rewolucję kulturalną. Zniszczyli wszystko, krzywdzili ludzi, zabijali ludzi. Rząd i partia nie robili dobrych rzeczy.

- To nie było w zgodzie z naturą - wtrącił Rhyme. - Nie było w zgodzie z harmonią.

- Dokładnie tak, Loaban - roześmiał się Li. - Mój ojciec chciał, żebym ja wstąpił do partii. Ale ja nie dbam o partię. Lubię pracę w policji. Lubię łapać przestępców. - Li nagle zmarkotniał. - Inne złe rzeczy to że nie mam syna... że nie miałem dzieci, kiedy byłem żonaty. Nikogo, żeby zachować nazwisko.

- Jesteś rozwiedziony? - zapytał Rhyme.

- Moja żona, ona umarła. Na bardzo złą gorączkę. Byłem żonaty tylko kilka lat, bez dzieci. Mój ojciec mówi, że to moja wina. - Li wstał i podszedł do okna. - Nic z tego, co ja robię, mu nie wystarcza. Pilnie się uczyłem. W wojsku dostawałem medale. Ożeniłem się z ładną, porządną dziewczyną, dostałem pracę w urzędzie bezpieczeństwa, zostałem detektywem. Co tydzień przychodzę do mojego ojca, daję mu pieniądze, odwiedzam grób matki. Ale nic z tego, co robię, mu się nie podoba. Może zostanę tutaj - mruknął, wyglądając przez okno. - Mówię dobrze po angielsku. Mogę być tutaj oficerem bezpieczeństwa.

Sonny Li roześmiał się i powiedział na głos to, co obaj w tym momencie myśleli.

- Nie, nie, już na to za późno. Nie, jak złapiemy Ducha, ja wrócę do domu i będę nadal dobrym detektywem. Guan Di i ja wyjaśnimy jakąś ważną zbrodnię i może mój ojciec pomyśli, że ja w końcu nie jestem takim złym synem. Okay, ty i ja, może w coś zagramy, Loaban - dodał, odwracając się do Rhyme'a.

- Nie mogę grać w większość gier, Sonny. Nie mogę trzymać kart w ręku.

- Aaa, karty - prychnął drwiąco Li. - Karty dobre, żeby zarobić pieniądze. Najlepsze gry to takie, kiedy sekrety siedzą w głowie, naprawdę. Wei-chi... słyszałeś o tej grze? Nazywa się także go.

Rhyme zerknął na planszę, którą Li wyjął z reklamówki i położył na stoliku przy łóżku. Narysowana na niej była siatka, którą tworzyły liczne krzyżujące się pod kątem prostym linie. Li wyciągnął następnie dwie torby z setkami czarnych i białych kamyków oraz zaczął wyjaśniać zasady i cel gry.

Rhyme starał się go uważnie słuchać.

- Wydaje się to dość proste - stwierdził.

Gra polegała w skrócie na tym, że gracze ustawiali na zmianę swoje kamyki na planszy, próbując otoczyć kamyki przeciwnika i wyeliminować je w ten sposób z gry.

- Wei-chi jest jak wszystkie wielkie gry: zasady proste, ale trudno wygrać. - Li podzielił kamyki na dwa stosy. - Teraz - powiedział - ponieważ nigdy nie grałeś, dam ci fory. Dam ci trzy kamyki ekstra. Nie wydaje się dużo, ale to wielka, wielka przewaga w wei-chi.

- Nie - zaprotestował Rhyme. - Nie chcę żadnych forów.

Li doszedł chyba do wniosku, że to ma jakiś związek z niesprawnością gospodarza.

- Dam ci fory tylko dlatego, że nigdy przedtem nie grałeś - wyjaśnił. - To normalne.

Rhyme zrozumiał i był mu wdzięczny za jasne postawienie sprawy, lecz nadal upierał się przy swoim.

- Nie. Twój ruch pierwszy. Zaczynaj - rzekł i patrzył, jak Li koncentruje się na leżącej między nimi planszy.

## IV

### *Ucinanie ogona demonowi*

W wei-chi im bardziej wyrównany jest poziom graczy,  
tym bardziej interesująca gra.

*Gra wei-chi*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W dniu, w którym miał umrzeć, Sam Chang obudził się rano i zobaczył, że jego ojciec stoi na małym podwórku ich brooklyńskiego domu i ćwiczy tai-chi. Obserwując go, uświadomił sobie, że za trzy tygodnie przypadają siedemdziesiąte urodziny Changa Jiechi. Jeśli on, Sam Chang, nie dożyje tego dnia, będzie na nich obecny przynajmniej duchem.

Następnie spojrział na swoją żonę i śpiącą obok niej małą dziewczynkę, obejmującą ramieniem białego wypchanego kotka, którego uszyła dla niej Mei-Mei. Przyglądał im się przez chwilę, po czym wszedł do łazienki, odkręcił do końca wodę, wziął prysznic i wytarł się ręcznikiem. Z kuchni dobiegało szczekanie garnków. Kiedy tam wszedł, zobaczył, że jego ojciec robi herbatę.

Chang Jiechi zaniósł żelazny imbryk i filiżanki do salonu. Dwaj mężczyźni usiedli i starzec nalał herbatę.

Zeszłej nocy, po powrocie Sama Changa do domu, on i ojciec rozłożyli mapę i zlokalizowali na niej dom Ducha, który ku ich zaskoczeniu nie znajdował się wcale w Chinatown, lecz nieopodal rzeki Hudson.

- Czy kiedy wejdiesz do mieszkania Ducha, jego ochroniarze cię nie przeszukają? - zapytał teraz ojciec.

- Ukryję pistolet w skarpetce. Nie będą mnie starannie przeszukiwać. Nie przyjdzie im do głowy, że mogę być uzbrojony - stwierdził stanowczym tonem Chang. - Wróć tutaj, żeby się tobą zaopiekować, Baba.

- Jesteś dobrym synem. Nie mógłbym prosić o lepszego.

- Nie dbałem o ciebie, tak jak powinienem.

- Owszem, dbałeś. Dobrze cię nazwałem - oświadczył ojciec. Nadane Changowi chińskie imię Jingerzi znaczyło „Mądry Syn”.

Podnieśli do ust filiżanki i Chang wypił swoją herbatę. W progu salonu stanęła Mei-Mei.

- Obudź Williama - poprosił ją Chang. - Mam mu do powiedzenia kilka rzeczy.

Mei-Mei chciała to zrobić, lecz jego ojciec zatrzymał ją zdecydowanym gestem dłoni.

- Nie - oznajmił. - On będzie chciał z tobą pójść.

- Nie mogę tak odejść, nie zamieniwszy z nim ani słowa. To ważne.

- Jaki jest jedyny powód, dla którego człowiek robi to, co ty zamierzasz zrobić... coś niebezpiecznego? - zapytał go ojciec.

- Dobro dzieci - odparł Chang.

Ojciec uśmiechnął się.

- Tak, synu, tak. Nigdy o tym nie zapominaj. Robi się coś takiego tylko dla dobra dzieci. Moim życzeniem jest, abyś nie budził Williama - dodał stanowczym tonem.

Chang pokiwał głową.

- Jak sobie życzysz, Baba - odparł i zerknął na zegarek. Było wpół do ósmej. - Niedługo będę musiał wyjść - powiedział do Mei-Mei. - Ale chciałbym, żebyś przy mnie siadła.

Mei-Mei usiadła przy mężu i położyła głowę na jego ramieniu. Nie odzywali się ani słowem, lecz po pięciu minutach zaczęła płakać Po-Yee i Mei-Mei wstała, żeby zająć się dziewczynką. Sam Chang siedział jakiś czas w milczeniu, obserwując z uczuciem zadowolenia swoją żonę i ich nową córeczkę. A potem nadeszła pora, żeby wyjść na spotkanie śmierci.

Rhyme poczuł dym z papierosa.

- Co za ohyda! - zawołał.

- Co? - zapytał Sonny Li. Był zaspany i włosy sterczały mu komicznie każdy w inną stronę. Było wpół do ósmej.

- Papierosy - wyjaśnił Rhyme.

- Ty też powinieneś zapalić - bąknął Li. - Odpręż się.

Wkrótce pojawił się Mel Cooper, a niedługo po nim Lon Sellitto i Eddie Dong. Ten ostatni poruszał się bardzo powoli.

- Jak się czujesz, Eddie? - zapytał Rhyme.

- Powinieneś zobaczyć ranę - odparł Deng, mając na myśli swoje bliskie spotkanie z ołowianą kulą w trakcie strzelaniny na Canal Street.

Niewyspany Sellitto przyniósł ze sobą plik informacji, jakie policjanci z nocnej zmiany uzyskali od wykonawców, którzy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy położyli wykładzinę Lustre-Rite w Battery Park City oraz na jego obrzeżach. Łącznie złożono trzydzieści dwa zamówienia.

Agent urzędu imigracyjnego Alan Coe wkroczył do laboratorium różnym krokiem, jakby to wcale nie z jego winy Duch umknął im poprzedniego wieczoru.



W korytarzu rozległy się kolejne kroki.

- Cześć - pozdrowiła ich Amelia Sachs i pocałowała Rhyme'a.

- Dobrze odpoczęłaś w nocy? - zapytał ją Sellitto. W głosie detektywa zabrzmiała wyraźna zaczepka. - Dzwoniłem do ciebie o pierwszej. Miałem kilka pytań.

- Dotarłam do domu o drugiej - odpowiedziała z błyskiem w oku.

- Jakoś nie mogłem się z tobą skontaktować.

- Wie pan co, detektywie? - odparła. - Mogę panu dać telefon do mojej matki. Nie robiła tego od piętnastu lat, ale może zaświadczyć, jak trudno jest mnie kontrolować.

Ich kłótnia zaintrygowała Rhyme'a. To prawda: kiedy Sachs pracowała, chciał, żeby była bez przerwy dyspozycyjna. Po godzinach wyglądało to jednak zupełnie inaczej. Amelia Sachs była niezależna. Miała inne niż on zainteresowania i innych przyjaciół.

Zadzwoił jego telefon.

- Polecenie, odebrać telefon - rzucił.

- Z panem Li, proszę - odezwał się głos z chińskim akcentem.

Li pochylił się do głośnika i zaczął mówić szybko po chińsku. Między nim i dzwoniącym wywiązała się nader ożywiona rozmowa. Po kilku chwilach rozłączył się.

- To Cai, z tongu - oznajmił z uśmiechem. - Popytał wśród mniejszości. Jest taka grupa, nazywają się Ujgurowie. To muzułmanie, Turcy. Chiny zajęły ich tak jak Tybet i nie bardzo im się to podoba. Byli źle traktowani. Cai odkrył, że Duch zatrudnia ludzi z ośrodka turkiestańskiego w Queens. Ten facet, którego zastrzeliła Hongse, to jeden z nich. Hej, miałem rację, Loaban? Mówiłem, że to z mniejszości.

- Oczywiście, miałeś rację, Sonny.

- Przetrzepać ich? - zapytał Sellitto.

- Mam lepszy pomysł - odparł Rhyme. - Duch dotarł tutaj wczoraj rano i prawdopodobnie od razu zadzwonił do ośrodka, żeby załatwili mu jakichś zbirów. Sprawdzimy wszystkie przychodzące i wychodzące stamtąd telefony od, powiedzmy, dziewiątej rano.

Firma telekomunikacyjna dostarczyła w ciągu pół godziny listę mniej więcej trzydziestu numerów. Większość z nich mogli od razu wyeliminować, ale osiem pozostało. Cztery były numerami telefonów komórkowych z lokalnych centrali.

- Są oczywiście trefne? Te komórki?

- Kradzione jak amen w pacierzu - zaręczył Sellitto.

Operatorzy sieci komórkowych dostarczyli im informacji, skąd dzwoniło i kiedy odbyła się każda rozmowa. Jeden z aparatów zlokalizowano na terenie Battery Park City.

- Czy w którymś z tamtejszych budynków założono wykładziny Lustre-Rite? - zawołał Rhyme, podekscytowany faktem zawężania się ich obszaru poszukiwań.

Sachs sprawdziła listę.

- Tak! Mam jeden adres.

- Tam jest kryjówka Ducha - oświadczył uroczyście Rhyme.

- To nowy budynek. Patrick Henry Street osiemdziesiąt pięć. Niedaleko rzeki - powiedziała i zakreśliła kółko na mapie. A potem westchnęła. - Do diabła. Położyli tę wykładzinę na dziewiętnastu piętrach. Dużo mieszkań do sprawdzenia.

- Więc zabierajcie się szybko do roboty - uciał niecierpliwie Rhyme.

- Jesteś reliktem starego porządku. Czy wyrażasz skruchę?

Duch stał w oknie swojego apartamentu przy Patrick Henry Street na Dolnym Manhattanie i patrzył na płynące przez port łodzie. Straszliwa noc sprzed wielu lat utkwiła na zawsze w jego pamięci i myślał o niej teraz, czekając na człowieka, który zdradził Changów.

Był rok 1966. Solidny, ponury żołnierz, który został politykiem i nazywał się Mao Zedong, ogłosił właśnie rewolucję kulturalną i studenci w całym kraju powstali, aby zniszczyć cztery filary starego porządku: starą kulturę, obyczaje, idee i przyzwyczajenia. Elegancki dom ojca Ducha - przedsiębiorcy zajmującego się sprzedażą sprzętu wojskowego, prowadzącego złomowiska i importującego rosyjskie maszyny - stał się jednym z pierwszych celów rozjuszonych młodych ludzi, którzy wylegli na ulice.

Wysoki studencki przywódca stał pośrodku salonu i pryskając z ust śliną, prowadził dialektyczną dyskusję z dwunastoletnim Kwanem Angiem.

- Jesteś reliktem starego porządku. Czy wyrażasz skruchę?

Żeby podkreślić wagę swoich słów, student walił w podłogę ciężką niczym kij do krykieta, grubą pałką; każda jego kwestia kończyła się głuchym łupnięciem.

- Tak, wyrażam skruchę - wyszeptał chłopiec. - Proszę lud o wybaczenie.

- Zmienisz swoje dekadenskie zwyczaje?

Łup.

- Tak, zmienię swoje zwyczaje - odparł Kwan Ang, chociaż nie wiedział, co to znaczy „dekadenskie”.

- Umrzesz, jeśli nie odrzucisz starych poglądów!

Łup.

- Odrzucam je.

Łup, łup, łup...

Trwało to długie minuty, aż w końcu zadawane przez studenta razy pozbawiły życia tych, których okładał okutą żelazem pałką - skrupowanych i zakneblowanych rodziców Ducha, którzy leżeli na podłodze u jego stóp.

Gorliwi studenci zabrali Kwana Anga ze sobą. Przyjęli go do miejscowej Młodzieżowej Brygady Czerwonego Sztandaru i przez całą noc tropili kolejnych przedstawicieli starego porządku. Żaden ze studentów nie zauważył, że nad ranem Ang wymknął się z ich tymczasowej kwatery. Mieli do przeprowadzenia tyle reform, że najwyraźniej wszyscy o nim zapomnieli. On jednak dobrze zapamiętał ich twarze i nazwiska.

Chłopiec, o silnym instynkcie samozachowawczym, schronił się na jednym ze złomowisk ojca. Wegetował tam przez kilka długich miesięcy, krążąc po rozległym placu i polując na psy i szczury, którymi się żywił. Odkrył, że partia komunistyczna i maoistowskie kadry trzymają się z daleka od portu i nabrzeży, a tutejszych przemytników mało obchodzi los uciśnionych mas. Wkrótce został nieformalnie adoptowany przez kilku i załatwiał dla nich różne drobne zlecenia. Kiedy zyskał ich całkowite zaufanie, pozwolili mu pokierować kilku mniejszymi akcjami, na przykład kradzieżą portowych ładunków.

Pierwszego człowieka zabił, mając trzynaście lat - był to wietnamski handlarz narkotyków, który obrabował jego szefa. A w wieku czternastu lat wytropił w końcu, poddał torturom i zabił studentów, którzy pozbawili go rodziny.

Chłopak ciężko harował. Doświadczenia, jakie zdobył na nabrzeżach, uczyniły go ekspertem od przemytu, wymuszeń oraz prania brudnych pieniędzy i w ten właśnie sposób zarabiał na życie. Jego główną ambicją było pozostanie w cieniu; robił wszystko, aby nie zostać rozpoznanym, a tym bardziej nie dać się ująć. Kiedy jakiś miejscowy funkcjonariusz urzędu bezpieczeństwa nadał mu przydomek Gui, Duch, sprawiło mu to nie lada przyjemność. Odnosił sukcesy, ponieważ pieniądze nie były dla niego ważne. Liczyło się samo wyzwanie. Klęska była hańbą. Wygrana czymś chwalebny. Siłą, która go napędzała, był instynkt łowcy.

Tak jak w przypadku Wu i Changów.

Dotychczasowy przebieg polowania był całkiem zadowalający. Dowiedział się ze swojego źródła, że rodzina Wu przebywa w specjalnej kryjówce strzeżonej przez nowojorską policję. Yusuf rozmawiał już z kolegą, który miał odwiedzić to miejsce, sprawdzić, jakie funkcjonują tam środki bezpieczeństwa, i być może nawet osobiście zabić Wu.

Co do Changów, nie dożyją zmroku, zdradzeni przez własnego przyjaciela, owego Tana, którego Duch miał oczywiście zamiar również zabić, kiedy tylko pozna adres rodziny.

Te medytacje przerwało pukanie do drzwi. Przybył zdrajca.

Duch dał znak Ujgurowi, który wyciągnął pistolet zza paska i otworzył powoli drzwi.

- Jestem Tan - przedstawił się mężczyzna na korytarzu. - Przyszedłem zobaczyć się z człowiekiem, którego nazywają Duchem. Chodzi o Changów.

- Wejdz - powiedział Duch. - Napijesz się herbaty?

- Nie - odparł starszy mężczyzna. - Nie zostanę tu długo.

Chang Jiechi przyjrzał się spod opadających powiek obecnym w pokoju osobom: samemu Duchowi oraz dwóm mężczyznom, którzy należeli do którejś z chińskich mniejszości - ujgurskiej lub kazachskiej. Podobnie jak wielu starszych rdzennych Chińczyków, Chang Jiechi określał tych ludzi słowem „barbarzyńcy”.

Wchodząc do pokoju, myślał o swoim synu, Samie Changu. Miał nadzieję, że nadal śpi po wypiciu herbaty, którą go poczęstował i do której wsypał wcześniej obfitą dawkę własnej morfiny.

- „Jaki jest jedyny powód, dla którego człowiek robi to, co ty zamierzasz zrobić... coś niebezpiecznego?

- Dobro dzieci”.

Żaden ojciec nie może oczywiście pozwolić, by jego syn poszedł na śmierć. Sam Chang miał przed sobą jeszcze długie życie, tu we Wspaniałym Kraju. Miał synów, których musiał wychować, a obecnie, cudownym zrządzeniem losu, także córkę, której zawsze pragnęła Mei-Mei. Miał tutaj wolność i szansę na sukces. Chang Jiechi nie mógł pozwolić, aby jego syn stracił to wszystko.

Kiedy zadziałała zaprawiona narkotykiem herbata i filiżanka wypadła z ręki Sama, Mei-Mei poderwała się przerażona z miejsca. Chang Jiechi powiedział jej o morfinie i o tym, co zamierza zrobić. Próbowwała go powstrzymać, lecz był jej teściem i musiała poddać się jego woli. Chang Jiechi wziął pistolet, uściskał Mei-Mei, po raz ostatni dotknął czoła swojego syna i opuścił mieszkanie.

Teraz wszedł sztywnym krokiem do eleganckiego apartamentu Ducha.

- Czy ja cię nie znam? - zapytał gospodarz, patrząc na niego dziwnie.

- Możliwe - odparł Chang Jiechi. - Działam w tongach w tutejszym Chinatown.

Jeden z barbarzyńców pozostał w pobliżu i przyglądał się nieufnie staremu. Drugi usiadł w głębi pokoju.

- Jaki masz powód, żeby wydać Changów? - zapytał Duch.

- Potrzebuję pieniędzy dla mojego syna. Jest chory.

Duch wzruszył ramionami.

- Przeszukaj go - polecił barbarzyńcy. - Chcę zobaczyć, czy ma przy sobie jakieś papiery.

Nie mogę na to pozwolić, pomyślał z niepokojem Chang Jiechi.

- Proszę - powiedział, podnosząc rękę. - Jestem starym człowiekiem. Należy mi się szacunek. Sam wam pokażę moje dokumenty.

Barbarzyńca uniósł brew i zerknął na Ducha. W tym samym momencie Chang Jiechi wyjął z kieszeni pistolet i bez wahania strzelił mu w bok głowy. Oprych padł na podnózek fotela i legł na nim bez ruchu.

Duch zareagował natychmiast i skoczył za ciężką kanapę. Chang Jiechi oddał kolejny strzał. Kula przebiła skórzane obicie, nie miał jednak pojęcia, czy trafiła szmuglera. Odwrócił się w stronę drugiego barbarzyńcy, który celował już do niego z pistoletu. Chang Jiechi usłyszał strzał, poczuł, że kula trafiła go w udo, i wylądował na wznak na podłodze. Barbarzyńca podbiegł do niego, ale stary zdążył się odwrócić i kilkakrotnie strzelić w kanapę, za którą schował się Duch.

A potem zdał sobie sprawę, że jego pistolet milczy. Skończyły się naboje. Czy zdołał trafić Ducha?

Na ścianie pojawił się cień. Duch wstał zza kanapy, cały i zdrowy, z własnym pistoletem w dłoni. Trzymając go na muszce, obszedł dookoła mebel.

- Jesteś ojcem Changa - powiedział.

- Tak, a ty diabłem wybierającym się do piekła.

- Ale nie z twoim biletem - zaśmiał się Duch.

Drugi barbarzyńca podszedł do starego, celując do niego z pistoletu.

- Nie, Yusuf - warknął niecierpliwie Duch, dając mu znak, żeby się cofnął. - Najpierw musi nam powiedzieć, gdzie są inni.

- Nigdy - padła stanowcza odpowiedź.

- Nie mamy dużo czasu - rzucił Duch do współnika. - Ktoś na pewno usłyszał strzały. Musimy uciekać. Skorzystaj ze schodów. Przy tylnym wyjściu stoi furgonetka. Biegnij.

Chang Jiechi zaczął rozpaczliwie pełznąć ku najbliższym drzwiom, które prowadziły do sypialni. Odwracając głowę, zobaczył w kuchni Ducha, który wyciągał z szuflady długi nóż do filetowania.

Pędząc sto dziesięć kilometrów na godzinę swoim kanarkowożółtym camaro, Amelia Sachs zobaczyła przed sobą budynek, w którym znajdowała się kryjówka Ducha. Był szeroki i miał mnóstwo pięter. Odnalezienie apartamentu szmuglera mogło przysporzyć dużych kłopotów.

W głośniku jej motoroli rozległy się trzaski.

- Uwaga, wszystkie zmotoryzowane patrole w pobliżu Battery Park City, dostaliśmy informację o strzelaninie. Nie rozłączać się... Mam adres. Patrick Henry Street osiemdziesiąt pięć.

Ten sam dom, do którego zmierzała... dom Ducha. Czy to zbieg okoliczności? Mało prawdopodobne. Kilka sekund później znalazła się na miejscu. Kiedy wbiegała do środka, pod dom podjechały dwa kolejne zaalarmowane wozy patrolowe i umundurowani policjanci popędzili do holu wejściowego. Za nimi biegli Sellitto i Li. Pojawił się ambulans, a potem dwie furgonetki pełne policjantów sił specjalnych.

W motoroli Amelii ponownie rozległy się trzaski.

- Jesteś tam, Sachs? - usłyszała głos Lincolna Rhyme'a.

- Tak, weszłam do budynku. Jest tutaj Lon i siły specjalne.

- Posłuchaj - rzekł kryminolog. - Rozmawiałem z dyspozytorem. Wygląda na to, że strzelano na osiemnastym albo dziewiętnastym piętrze, gdzieś pośrodku zachodniej strony budynku.

- Przeczyszemy teren, Rhyme - odparła. - Oddzwonię do ciebie.

Kilku funkcjonariuszy sił specjalnych pilnowało już holu wejściowego. Sachs wraz z grupą innych weszła do jednej z wind i wjechała na osiemnaste piętro. Kiedy drzwi kabiny się otworzyły, odsunęli się od nich i jeden z policjantów wystawił na zewnątrz lusterko na drążku.

- Korytarz czysty.

Wyskoczyli z kabiny i ruszyli ostrożnie po krytej dywanem podłodze. Mając po bokach dwóch policjantów, Sachs zapukała do pierwszych drzwi.

W środku rozległy się jakieś odgłosy i cichy trzask. Sachs wyciągnęła z kabury pistolet i cofnęła się dwa kroki. Po chwili drzwi się otworzyły i zobaczyli drobną siwowłosą kobietę, która zmierzyła ich ufnym wzrokiem.

- Jesteście z policji. Pewnie w sprawie tych fajerwerków, na które się skarżyłam.

- Owszem, proszę pani - odpowiedziała Amelia.

- To chyba pod osiemnaście K, w głębi korytarza. Dlatego pomyślałam, że to fajerwerki... bo mieszka tam jakiś Azjata. Używają sztucznych ogni w swoich obrzędach.

- W porządku, proszę pani, dziękuję. Czy mogłaby pani wrócić do środka i zamknąć drzwi na klucz? Niech pani nie otwiera bez względu na to, co pani usłyszy.

Amelia Sachs poprowadziła grupę do mieszkania 18 K.

Jeden z policjantów zapukał głośno.

- Otwierać drzwi, policja!

Bez odpowiedzi.

Policjanci rozbujali duży taran i walnęli nim mocno w drzwi obok klamki. Zamek natychmiast ustąpił i drzwi się otworzyły. Członkowie drużyny wbiegli do środka, Amelia wślizgnęła się w ślad za nimi.

Policjanci rozbiegli się po mieszkaniu i sprawdzili wszystkie pomieszczenia. W apartamencie rozbrzmiewały ich szorstkie głosy.

- Teren zabezpieczony... kuchnia zabezpieczona... nie ma tylnego wyjścia. Teren zabezpieczony.

Duch zniknął.

Jednak podobnie jak poprzedniego dnia na Easton Beach, jego śladem szła śmierć. W salonie znaleźli zwłoki mężczyzny podobnego z wyglądu do Ujgura, którego Sachs zastrzeliła przed mieszkaniem Wu. Leżał przy skórzanej kanapie podziurawionej przez kule. Obok na podłodze poniewierał się tani chromowany automat. Drugie ciało odkryli w sypialni.

Stary Chińczyk spoczywał na plecach, wbijając przed siebie nieruchomy wzrok. Miał ranę postrzałową na udzie.

Przybyli na miejsce pielęgniarze potwierdzili, że nie żyje.

- Jaka jest przyczyna śmierci? - zastanawiał się jeden z nich.

Sachs przyjrzała się bardzo uważnie trupowi i nagle pochyliła się do przodu.

- Mam - powiedziała, wskazując dłoń mężczyzny, w której tkwił brązowy słoiczek. Rozluźniła jego palce. Napis na etykiecie był po chińsku i angielsku. - Morfina - mruknęła. - Popelnił samobójstwo.

Przybyli ludzie z ekipy dochodzeniowej - dwaj technicy dźwigający duże metalowe walizy. Sachs otworzyła je i założyła kombinezon.

- Muszę sprawdzić ten lokal - oświadczyła. - Czy możecie panowie wszyscy wyjść na korytarz?

Pracowała przez pół godziny. Kończąc, poczuła w nozdrzach papierosowy dym. Podniosła wzrok i zobaczyła stojącego w drzwiach Sonny'ego Li.

- Znam go ze statku - powiedział. - To ojciec Sama Changa.

- Tak myślałam. Dlaczego próbował to zrobić?

- Dla dobra rodziny - odparł cicho Li. - Dla dobra rodziny.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Chang Mei-Mei postawiła filiżankę herbaty przed swoim półprzytomnym mężem. Sam Chang mrugał oczyma, usiłując otrzeźwieć po zaprawionej morfiną herbacie, lecz cała jego uwaga, podobnie jak żony i synów, skupiona była na tym, co pokazywali w telewizji. Z pomocą Williama, który tłumaczył słowa reportera, dowiedzieli się, że na Dolnym Manhattanie znaleziono dwóch martwych mężczyzn. Jednym z nich był mieszkający w Queens imigrant z chińskiego Turkiestanu, drugim starszy mężczyzna narodowości chińskiej - jak uważano, jeden z pasażerów zatopionego frachtowca „Fuzhou Dragon”.

Reporter wyjaśnił, że imigrant z Turkiestanu został zastrzelony przez starszego mężczyznę, który z kolei zmarł wskutek przedawkowania morfiny, popełniwszy, jak się zdaje, samobójstwo. Apartament należał podobno do Kwana Anga, trudniącego się przemytem ludzi szmuglera, poszukiwanego w związku z wczorajszym zatonięciem „Fuzhou Dragona”. Kwan zbiegł, zanim pojawiła się policja, i nadal znajdował się na wolności.

Sam Chang obudził się pół godziny wcześniej. Zorientowawszy się, że zniknął pistolet, zrozumiał, co postanowił uczynić jego ojciec, i ogarnął go bezbrzeżny smutek.

- Znalazłem już raz Ducha i znajdę go ponownie - powiedział do żony. - Tym razem...

- Nie - odparła stanowczo Mei-Mei. - Nie będziesz mścił śmierci ojca. Zostaniesz tu z nami w ukryciu, dopóki Duch nie zostanie ujęty albo zabity. Wszyscy nauczymy się angielskiego i będziemy zarabiać pieniądze. A kiedy ogłoszą następną amnestię, przyjmiemy obywatelstwo. - Przerwała na chwilę i otarła łzy, które płynęły jej z oczu. - Ja też go kochałam. Dla mnie to tak samo bolesna strata jak dla ciebie.

Chang przez długi czas siedział w milczeniu. W końcu spojrzał na swojego młodszego syna.

- Czy słyszałeś o wojownikach Qin Shi Huanga, synu? - zapytał.

- Tak, Baba.

Changowi chodziło o tysiące naturalnej wielkości żołnierzy, woźniców rydwanów i koni wykonanych z terakoty, których chiński cesarz Qin Shi Huang kazał umieścić w swoim grobie. Ta armia miała mu towarzyszyć w zaświatach.

- To samo zrobimy dla dziadka - powiedział, czując, jak dławi go smutek. - Poślemy pewne rzeczy do nieba, żeby twój dziadek mógł je mieć przy sobie. Straciliśmy wszystko, co wieźliśmy na statku, więc narysujemy je.

- Czy to zadziała? - zapytał z powątpiewaniem Ronald.

- Tak. Ale będziesz musiał mi pomóc. Weź jakąś kartkę i ten ołówek - powiedział Chang, wskazując stół. - Może narysowałbyś jego ulubione pędzelki? Pamiętasz, jak wyglądały?

Ronald pochylił się nad kartką i zaczął rysować.



- I butelkę ryżowego wina, które tak lubił - zasugerowała Mei-Mei.

Chang poczuł nagle, że ktoś za nimi staje. Odwrócił się i zobaczył Williama, który przyglądał się rysunkowi brata.

- Kiedy umarła babcia - powiedział cicho - spaliliśmy pieniądze. - Zgodnie z tradycją, na chińskich pogrzebach pali się paski papieru z wydrukowanymi milionowymi nominałami, żeby zmarli mieli za co żyć w zaświatach. - Może narysuję trochę juanów - zaproponował William.

Chang poczuł, jak zalewa go fala uczucia, ale chociaż desperacko pragnął objąć chłopca, nie zrobił tego.

- Dziękuję ci, synu - powiedział tylko.

Kiedy chłopcy skończyli rysować, wyprowadził rodzinę na podwórko. Postawił dwa palące się kadzidelka na ziemi, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie powinno leżeć ciało, po czym zapalił rysunki, które zrobili jego synowie, i wszyscy patrzyli, jak dym unosi się ku szaremu niebu, a papioł strzela w górę i opada czarnymi zygzakami.

- Ktoś próbował ponownie dobrać się do Wu - oznajmił Sellitto, odsuwając od ucha komórkę i zerkając na Rhyme'a.

- Co takiego? W naszym bezpiecznym lokalu w Murray Hill? - zdziwiła się Sachs. Rhyme podjechał wózkiem do detektywa.

- Mężczyzna o śniadej cerze i drobnej budowie ciała został sfilmowany przez jedną z kamer - dodał Sellitto. - Dwaj nasi ludzie pobiegli za nim, ale udało mu się uciec.

- Jakim cudem Duch odkrył, gdzie są? - zapytał kryminolog.

Sachs zaczęła się nad tym zastanawiać.

- Po strzelaninie na Canal Street jeden z jego *bangshou* mógł mnie śledzić do kliniki, a potem pojechać za Wu do Murray Hill. Mało prawdopodobne, ale możliwe - stwierdziła. - A co powiecie na to? - dodała, wskazując zdanie na tablicy: „Duch podobno ma na swojej liście płac kogoś we władzach”.

- Sądzisz, że ma szpiega? - zapytał Sellitto.

- Nikt w FBI nie wie, że wysłaliśmy ich do Murray Hill - odparła. - To ogranicza krąg podejrzanych do urzędu imigracyjnego i nowojorskiej policji.

- Zadzwoń do szeryfów federalnych - mruknął Sellitto - i każę przenieść Wu do ośrodka ochrony świadków na północy stanu. Ta informacja nie opuści ścian tego pokoju.

Rhyme odwrócił się do tablicy i przyjrzał zdjęciom starego Chińczyka. Po chwili podjechał bliżej.

- Spójrzcie na to. Na jego ręce.

Palce i dłonie Changa Jiechi pokryte były niebiesko-czarnymi plamami - farby albo tuszu. Zdecydowanie nie były to sinoczerwone opadowe plamy pośmiertne.

Sachs zmrużyła oczy.

- Bruzdy! - rzekła.

Ściągnęła z tablicy odciski palców Sama Changa i przystawiła je do zdjęć ręki jego ojca. Bruzdy na palcach Sama były podobne do linii, które widniały na opuszkach palców jego ojca.

Rhyme zamknął oczy i pozwolił przez chwilę szybować swobodnie myślom. W końcu oparł głowę o fotel.

- Są malarzami - oświadczył. - Ojciec i syn są obaj artystami. Pamiętacie logo na furgonetce? Namalował je jeden z nich.

- Nie - zaproponował Li. - Nie malarzami. Są kaligrafami. Trzymają pędzelek o tak. - Wziął do ręki długopis i ustawił go pionowo. Kiedy go puścił, czerwone wgłębienia na jego dwóch pierwszych palcach i kciuku były identyczne, jak te na dłoniach Changa i jego ojca.

- Wiemy, że Changowie mieszkają w Queens - powiedział Rhyme. - Zbierzcie jak najwięcej mówiących po chińsku gliniarzy. Niech dzwonią do drukarni, naświetlami i firm produkujących szyldy i zarzucają im, że zatrudnili kogoś na czarno. Jeśli będą zaprzeczać, niech postraszą, że naślemy na nich urząd imigracyjny.

Deng wyciągnął komórkę i zadzwonił na komendę.

Mel Cooper zbadał wcześniej za pomocą chromatografu gazowego kilka śladów z kryjówki Ducha przy Patrick Henry Street.

- Mam tu coś interesującego - mruknął. - To było na jednym z butów ojca Changa. Azotany, potas, węgiel, sól... odpady biologiczne.

Te słowa przyciągnęły uwagę Rhyme'a. Czternaście nowojorskich zakładów utylizacji śmieci produkowało dziennie ponad tysiąc ton przetworzonych odpadów biologicznych. Ich znaczące ilości na butach ofiary oznaczały, że Changowie mieszkali prawdopodobnie w pobliżu jednego z nich.

- Czy możemy przeszukać domy w pobliżu zakładów utylizacji? - zapytał Sellitto.

Rhyme potrząsnął głową. Sprawdzanie kolejnych domów zajęłoby wieki.

- Hej, Loaban - wtrącił Sonny Li - ja też znalazłem coś, gdy przeszukiwałem mieszkanie Ducha. Naprzeciwko drzwi, po drugiej stronie, stoi posąg Buddy. Przedpokój pomalowany na biało. Półki na książki z drzwiczkami. Rzeźba ośmiu koni. Wszystkie lustra bardzo wysokie, żeby nie ucinać głowy, kiedy się w nie patrzy. Mosiężne dzwoneczki z drewnianymi rączkami. Zawieszane po zachodniej stronie pokoju. Mówiłem, *feng shui*.

- Aranżowanie wnętrza i przedmiotów, które ma sprzyjać pomyślności - wyjaśnił Thom.

- Oglądałem o tym program na kanale Home and Garden - dodał, gdy Rhyme zerknął w jego stronę.

- Jaka jest wartość dowodowa tego wszystkiego, Li? - zapytał zniecierpliwiony kryminolog.

- Duch zatrudnił kogoś, kto urządził mu pokój. Facet, którego zatrudnił to dobry fachowiec. Może znać miejsca innych apartamentów Ducha. Pójdę poszukać ludzi od *feng shui* w Chinatown.

- *Zaijian* - powiedział Rhyme, wymawiając starannie słowo, które znalazł w internetowym translatorze chińsko-angielskim.

Li pokiwał głową.

- Do widzenia. Tak, tak. Nawet dobrze to wymówiłeś, Loaban. *Zaijian*. - Skłonił się i wyszedł.

Rhyme i Amelia Sachs wpatrywali się jakiś czas w tablicę. W końcu głowa Rhyme'a przekreśliła się szybko w stronę mapy Long Island.

- Mamy jeszcze jedno miejsce zbrodni - rzekł, przyglądając się małej czerwonej kropce w odległości jednej mili od Orient Point. - A ja zupełnie o tym zapomniałem.

- Co to za miejsce zbrodni? - zapytała Sachs.

- Statek. „Fuzhou Dragon”. Niech ktoś zadzwoni do straży przybrzeżnej i połączy mnie z osobą, która zajmuje się tam akcją ratowniczą.

Lon Sellitto wystukał numer i przełączył telefon na tryb głośno mówiący.

- Tu Fred Ransom. Kapitan kutra straży przybrzeżnej „Evan Brigant” - odezwał się głos. W tle słyszeli świst wiatru owiewającego mikrofon.

- Tu detektyw Sellitto z Nowojorskiego Wydziału Policji. Jest ze mną Lincoln Rhyme. Gdzie teraz jesteście?

- Dokładnie nad „Dragonem”. Nadal szukamy rozbitków, ale bez powodzenia.

- Gdzie znajduje się wrak, kapitanie?

- Leży na prawej burcie na głębokości dwudziestu pięciu, trzydziestu metrów.

- Jaka jest pogoda?

- Lepsza, niż była. Trzymetrowe fale, wiatr mniej więcej trzydzieści węzłów. Słaby deszcz. Widoczność około dwustu metrów.

- Czy ma pan nurków, którzy mogliby przeszukać wnętrze statku? - zapytał Rhyme. - Mówię o szukaniu dowodów rzeczowych.

- Jasne, moglibyśmy kilku posłać. Rzecz w tym, że moi nurkowie nigdy tego wcześniej nie robili.

- Ja przeszukam statek - oświadczyła nagle Amelia. - Za pół godziny będę w Battery Park, kapitanie - powiedziała do mikrofonu. - Czy może pan po mnie wysłać helikopter?

- Właściwie możemy latać przy tej pogodzie, ale...

- Mam certyfikat PADI na otwarte wody - dodała.

Oznaczało to, iż przeszła szkolenie organizowane przez PADI, Stowarzyszenie Zawodowych Instruktorów Nurkowania.

- Nie nurkowałeś od lat, Sachs - zauważył Rhyme.

- Wiesz, to tak jak z jazdą na rowerze.

- Panno...

- Dla pana jestem agentką Sachs, kapitanie.

- Agentko Sachs, moi ludzie nurkują od wielu lat i w takich warunkach wolałbym ich raczej nie wysłać na niestabilny wrak.

- Moją specjalnością, kapitanie, jest odnajdywanie dowodów rzeczowych. W każdych warunkach.

Sachs zerknęła na Rhyme'a, który po dłuższym wahaniu kiwnął głową, akceptując jej decyzję.

- Pomoże nam pan, kapitanie? - zapytał. - Ona musi zejść na dół.

- W porządku, agencie - odparł Ransom, przekrzykując wiatr.

- Będę czekała przy lądowisku.

Sachs odłożyła słuchawkę i spojrzała na Rhyme'a. Tyle było rzeczy, które chciał jej powiedzieć, a tak mało słów mógł z siebie wydobyć. Amelia pogładziła jego prawą dłoń - tę, w której palcach nie miał żadnego czucia. Przynajmniej na razie.

W porządku, potrafię to zrobić. Amelia Sachs stanęła na metalowej podłodze helikoptera Sikorsky, który unosił się piętnaście metrów nad śmigającą na wszystkie strony anteną kutra „Evan Brigant” i pozwoliła, by członek załogi założył jej uprząż. Kiedy prosiła o przewiezienie helikopterem straży przybrzeżnej na kuter, nie przyszło jej na myśl, że jedynym sposobem dostania się na statek będzie zjazd po chybotliwej linie.

Wychyliła się na zewnątrz, odepchnęła od drzwi i pod wpływem tego ruchu lina gwałtownie się zakotłosała. Po chwili zaczęła zjeżdżać, miotana wiatrem i podmuchem idącym od wirujących łopat wirnika. Nagle spowiła ją mgła i straciła orientację. Ale zaraz potem zobaczyła tuż pod sobą kuter i jej stopy dotknęły pokładu.

Kapitan Fred Ransom powitał ją na mostku i zaprowadził do stołu nawigacyjnego, na którym leżała fotografia statku. Sachs uważnie ją przestudiowała. Ransom powiedział jej, gdzie jest mostek i gdzie mieszczą się kabiny - na tym samym pokładzie, lecz z tyłu, przy długim korytarzu, który prowadził na rufę. Następnie udzielił jej instrukcji szef nurków oraz jego zastępcy.

- Rozumiem, że zrobiła pani PADI - zapowiedział szef - ale powtórzmy z panią wszystkie kroki, tak jakby była pani nowicjuską.

- Miałam nadzieję, że to zrobicie.

Pomogli jej założyć kombinezon i sprzęt. Do butli z tlenem podłączone były dwa ustniki - ten, przez który miała oddychać, i drugi, zwany ośmiornicą, z którego mogła skorzystać osoba towarzysząca, gdyby skończył jej się zapas powietrza. Zamontowali również latarkę na jej czepku. Następnie omówili podstawowe sygnały dawane rękoma.

- Dostanę nóż? - zapytała.

- Ma go pani - odpowiedział szef, wskazując kamizelkę wypornościową, w którą wtłacza się lub wypompowuje powietrze, dzięki czemu nurek może wynurzać się lub zanurzać głębiej.

Potem wręczył jej dużą siatkę, do której włożyła plastikowe torebki na dowody rzeczowe, i zeszli do żółtego pontonu, podskakującego już na wodzie niczym narowisty koń. Szef nurków wskazał oddaloną o sześć metrów pomarańczową boję.

- Przymocowana do niej lina biegnie do statku - zawołał, przekrzykując szum wiatru. - Dopłyniemy tam i zejdziemy na dół wzdłuż liny. Jaki ma pani plan?

- Najpierw chcę zebrać ślady eksplozji z kadłuba - odkrzyknęła Sachs - a potem przeszukać mostek i kabiny. Do środka wejść sama.

- Dobrze - zgodził się szef. - Pod wodą dźwięki nie rozchodzą się zbyt dobrze - dodał. - Trudno określić, skąd płyną, ale jeżeli będzie pani miała jakiś problem, proszę uderzyć nożem w butlę, to po panią przy płyniemy. - Pokazał jej manometr, wskazujący, ile ma powietrza w butli. - Ciśnienie wynosi dwieście dziesięć barów. Wracamy na górę przy czterdziestu. To żelazna zasada.

Dał jej znak „OK”, dotykając palcem środkowym kciuka, po czym pokazał, żeby przechyliła się do tyłu.

Raz, dwa, trzy... Plecami do spienionej wody.

Zafascynował ją absolutny spokój podwodnego życia. A potem zerknęła w dół i zauważyła niewyraźny zarys wraku „Fuzhou Dragona” - ciemny, poszarpany i złowrogi. Zarys sarkofagu, w którym spoczywało tyle niewinnych ofiar.

Troje nurków schodziło w dół. Kiedy zbliżyli się do wraku, Sachs usłyszała coś w rodzaju zgrzytania i stękania. Grube metalowe poszycie kadłuba szorowało po skałach i brzmiało to jak przedśmiertne jęki jakiejś wielkiej istoty.

W miejscu eksplozji zdrapała nożem resztki poskręcane metalu, wsadziła kilka spopielonych fragmentów do plastikowej torebki, zamknęła ją szczelnie i włożyła do siatki. Następnie wskazała odległe o dwanaście metrów ciemne okna mostka i popłynęli w tamtą stronę.

Ponieważ statek leżał na burcie, drzwi na mostku otwierały się do góry, w stronę powierzchni morza. Były metalowe i bardzo ciężkie. Dwaj nurkowie ze straży przybrzeżnej z trudem je unieśli i Amelia wpłynęła do środka. Drzwi opadły z mrozącym krew w żyłach hukiem i zdała sobie sprawę, że jest teraz uwięziona wewnątrz statku.

Nie myśl o tym, powiedziała sobie, po czym zapaliła lampę zamontowaną na czepku i wpłynęła do ciemnego korytarza, który prowadził do kabin.

W mroku coś się poruszało. Co to było? Ryby, węgorze, kałamarnica? Wcale mi się to nie podoba, Lincolnie Rhyme.

Czarny korytarz wypełniały szczątki i śmieci, strzępy tkanin i papieru, resztki jedzenia oraz ryby z jaskrawo żółtymi oczami. Nie dawały jej spokoju różne dźwięki: brzęki, trzaski i piski, te ostatnie brzmiące zupełnie jak ludzkie głosy.

Nagle wyłoniła się tuż przed nią biała twarz, w której tkwiły martwe oczy. Gwałtownie się cofnęła. Obok przepłynęło ciało mężczyzny - bosego, z uniesionymi niczym u poddającego się sprawcy rękoma.

Klank, klank.

Pomyślała o rodzinie Changów. Pomyślała o Po-Yee. I popłynęła dalej.

Klank.

Duch nie zajmował żadnej z kabin mieszczących się nad nią - po tej stronie statku, która zwrócona była w górę. Dwie najwyraźniej nie były zajęte, trzecia należała do kapitana. Znalazła tam morskie pamiątki oraz fotografie łysego wąsatego mężczyzny, w którym rozpoznała kapitana Sena ze zdjęć w domu Rhyme'a.

Popłynęła w dół, żeby sprawdzić kajuty zwrócone w stronę dna. Trzy nie były zajęte podczas tego rejsu. Została jej tylko jedna - i tę musiał zajmować Duch.

Złapała za klamkę i przekręciła. Zamek puścił i ciężkie drewniane drzwi opadły w dół.

W wodzie unosiło się może z tysiąc studolarowych banknotów, wypełniając kabinę niczym płatki śniegu w plastikowej kuli. Sachs wpłynęła do środka i banknoty zawirowały wokół niej. Zgarnęła ich trochę i wsadziła do torebki. Zauważyła również teczkę i znalazła w niej jeszcze więcej pieniędzy - tym razem chińskich. Garść juanów również wylądowała w torebce.

Klank, klank, klank.

Po chwili znalazła pistolet maszynowy Uzi i beretkę kalibru dziewięć milimetrów. Przekonawszy się, że numery seryjne na uzi zostały zdrapane, wypuściła broń z ręki. Jednak na beretcie numery były wyraźne, co oznaczało, że być może uda się dotrzeć jej tropem do Ducha. Wsunęła pistolet do plastikowej torebki. Rzut oka na manometr. Sto trzydzieści barów. Szybko zużywała powietrze.

Klank, klank... klank.

Ignorując mrożące krew w żyłach odgłosy, rozejrzała się wokoło. Gdzie można coś ukryć w takim małym pomieszczeniu? Zajrzała do szafy, ale były tam tylko ubrania. Ubrania? Niewykluczone. Zaczęła je sprawdzać. W jednej z marynarek od Armaniego znalazła małą szparę w podszewce. Wewnątrz była koperta z jakimś chińskim dokumentem. Wsunęła ją do torby.

Dobra, wynoszę się stąd.

Klank, klank, klank... klank... klank... klank.

Nagle zatrzymała się i złapała za framugę. Uświadomiła sobie, że jest coś szczególnego w niesamowitych odgłosach, które słyszała. Trzy krótkie i trzy długie.

To był nadawany alfabetem Morse'a sygnał SOS - uniwersalne wołanie o ratunek. Dochodziło skądś z głębi statku.

Ktoś tam był! Czy miała wracać po innych nurków?

Ale to zajęłoby zbyt dużo czasu. Ciśnienie w butli wynosiło mniej niż osiemdziesiąt pięć barów.

Lepiej się pośpiesz, pomyślała. Wypłynęła z powrotem na korytarz i odepchnąwszy się mocno nogami, ruszyła w kierunku, z którego dochodziło stukanie. Ale korytarz zaraz się skończył. Skierowała latarkę na ścianę i odkryła w niej małe drzwiczki. Otworzyła je i wzdrygnęła się, gdy tuż obok przepłynął niespiesznie zielony węgorz. Czekaając, aż uspokoi jej się serce, zajrzała do środka, lustrując wzrokiem wnętrze statku. To musiała być kuchenna winda, którą prawdopodobnie dostarczano posiłki z niższego pokładu na mostek. Boki szybu miały sześćdziesiąt centymetrów szerokości.

Amelia Sachs wcisnęła się do środka, popłynęła na sam dół i starając się zachować spokój, przedostała się przez otwór windy do kambuza „Fuzhou Dragona”. Nad sobą zobaczyła migotliwą powierzchnię dużej poduszki powietrznej i zwisające nogi mężczyzny. Łysy mężczyzna z wąsami trzymał się kurczowo przymocowanego do ściany kuchennego regału. Podpłynęła do niego szybko i wynurzyła się.

Natychmiast go rozpoznała - nie dalej jak przed minutą oglądała jego zdjęcie w kabinie. To był Sen, kapitan frachtowca. Mamrotał coś niezrozumiale i zsiniał do tego stopnia, że wydawał się granatowy, niczym ofiara uduszenia.

Sachs nerwowym ruchem wyciągnęła drugi ustnik i wsadziła go do ust Sena. Chińczyk zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął dochodzić do siebie. Kiedy wskazała palcem w dół, pokiwał głową. Spuściła wówczas trochę powietrza z kamizelki i obejmując ramieniem bezwładne ciało mężczyzny, popłynęła do szybu windy.

Zerknęła szybko na manometr: pięćdziesiąt barów. Teraz oboje korzystali z jej butli.

Nie mogli zmieścić się obok siebie w windzie, przepchnęła więc kapitana przodem, stopami w górę.

Kolejne zerknięcie na manometr: trzydzieści barów.

„Wracamy na górę przy czterdziestu. To żelazna zasada”.

Po chwili wydostali się z szybu i popłynęli korytarzem. Sachs trzymała kapitana za skórzany pasek. Nagle zatrzęsł nim jakiś paroksyzm. Machnął mocno nogą, trafiając ją w twarz. Latarka zgasła i wypadł jej z ust automat oddechowy.

W kompletnej czerni pływała w kółko, szukając rozpaczliwie ustnika. Gdzie byli jej opiekunowie ze straży przybrzeżnej? Jak ma im dać znać, że z nią niedobrze?

Poklepała siatkę z dowodami, znalazła w niej beretkę, po czym przycisnęła lufę do drewnianej ściany, żeby nie zranić Sena, i pociągnęła za spust. Błysnęło i rozległa się głośnie eksplozja.

Proszę, pomyślała. Proszę...

W kompletnej ciszy pojawiły się nagle światła. SzeF i jego pomocnik wpłynęli do korytarza. W usta wciśnięto jej awaryjny ustnik i mogła znowu zaczerpnąć powietrza. SzeF wetknął swój drugi ustnik kapitanowi. Strumień bąbelków był niewielki, ale świadczył o tym, że Sen oddycha.

A potem we czwórkę wrócili na mostek i do pomarańczowej boi. Kiedy opuszczali wypełniony trupami statek, Sachs koncentrowała się tylko na tym, żeby nie wynurzyć się za szybko i prawidłowo oddychać.

Na kutrze wytarła się, przebrała w dżinsy, T-shirt i bluzę i pobiegła na mostek, żeby zadzwonić do Rhyme'a.

- Znaleźliśmy na statku kogoś żywego. To kapitan. Powinniśmy uzyskać od niego więcej informacji na temat działalności Ducha. Jest teraz nieprzytomny. Zadzwonią do nas ze szpitala, kiedy tylko będą coś wiedzieć.

- Wracaj szybko z powrotem, Sachs. Stęskniliśmy się za tobą. Wiedziała, że to *pluralis maiestaticus* w ustach Rhyme znaczy tak naprawdę „ja”.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Feng shui*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „wiatr i woda”, to sztuka gromadzenia dobrej energii i szczęścia oraz pozbywania się złej. Z powodu zadziwiającej ilości rządzących nią reguł niewielu jest w tej dziedzinie naprawdę utalentowanych specjalistów. Apartament Ducha urządzony został przez mistrza; Sonny Li nie miał pojęcia, kto w Nowym Jorku mógł to zrobić tak fachowo.

Zamiast jednak gnać bez przerwy z miejsca na miejsce, tak jak to robiła Hongse w swoim żółtym samochodzie, Li pozostał wierny taoistowskiej zasadzie: „Życie realizuje się nie poprzez działanie, lecz poprzez bycie”.

Udał się zatem do najelegantszej, jaką zdołał znaleźć, herbaciarni w Chinatown, usiadł przy stoliku i zamówił filiżankę herbaty, aby móc tam zostać tak długo, jak tylko zechce. Rozsiadł się wygodnie i popijał małymi łydkami aromatyczny napój. Minęło trzydzieści minut. Potem czterdzieści pięć. W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Do herbaciarni weszła atrakcyjna Chinka, usiadła przy sąsiednim stoliku i zamówiła herbatę.

Miała piękną czerwoną sukienkę, a na nogach wysokie szpilki. Li podszedł do jej stolika i przedstawił się.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - powiedział - ale być może będzie mi pani mogła pomóc. Człowiek, dla którego pracuję, nie ma szczęścia. Uważam, że to z powodu sposobu, w jaki urządzone jest jego mieszkanie. Pani najwyraźniej ma bardzo dobrego doradcę *feng shui*.

Mówiąc to, wskazał na ozdoby, które powiedziały mu, że Chinka rzeczywiście pilnie przestrzega zasad *feng shui* - pretensjonalną bransoletkę z dziewięciu chińskich monet, szpilkę w kształcie bogini Guan Yin i szarfę, na której namalowana była czarna ryba. Dlatego właśnie wybrał tę kobietę - a także ponieważ była bogata, co oznaczało, że zwraca się do najlepszych ekspertów, tych samych, których porady najpewniej zasięgał Duch.

Piękna Chinka uśmiechnęła się do niego i pogrzebała w torebce.

- Pan Zhou - powiedziała, wskazując wizytówkę. - To jeden z najlepszych ekspertów w mieście. Jest bardzo drogi. Ale na pewno pana zadowoli.

Li podziękował jej i wyszedł. Począł, aż pędząca taksówka znajdzie się trzy metry od niego, po czym przebiegł tuż przed jej maską. Kierowca zaklął i pokazał mu środkowy palec. Li roześmiał się. Uciał ogon demonowi bardzo blisko i pozbawił go mocy. Teraz, odporny na wszelkie przeciwności, znajdzie Ducha. Zerknął na wizytówkę i ruszył ulicą w stronę Sklepu Szczęśliwej Nadziei.

- Sachs! - Rhyne podniósł wzrok znad ekranu komputera. - Zgadnij, czym Duch wysadził statek.

- Poddaję się - odparła pogodnie.

- Fabrycznie nowym ładunkiem Composition cztery pierwszej klasy - powiedział Mel Cooper.

Wprawilo to Rhyme'a w dobry nastrój, ponieważ C4 był właściwie bardzo rzadki. Dzięki temu szanse odnalezienia źródła, w którym zaopatrywał się Duch, były dużo większe, niż gdyby używał innych powszechnie dostępnych na rynku materiałów.

Cooper przesłał wyniki do Quantico.

Chwilę później pojawił się Eddie Deng.

- Przyjechałem zaraz po twoim telefonie, Lincolnie - oznajmił.

- Doskonale, Eddie. Załóż okulary do czytania. Musisz nam coś przetłumaczyć. Amelia znalazła list w marynarce Ducha.

Deng pochylił się nad listem i zaczął go studiować.

- Jest do Ducha. Człowiek, który go napisał, nazywa się Ling Shuibian. Zawiadamia Ducha, kiedy wynajęty samolot wyleci z Fuzhou i kiedy jest spodziewany w Rosji. Następnie pisze, że przesyła pieniądze na konto w Hongkongu... nie podaje jego numeru ani nazwy banku. Część pieniędzy załącza... w dolarach. Na koniec jest tu lista ofiar... pasażerów „Fuzhou Dragona”.

- Niech nasi ludzie w Chinach sprawdzą tego Linga - powiedział Rhyme do Lona Sellitto. - Ile tam masz pieniędzy? - zapytał Amelii Sachs.

- Dużo. Może tysiąc.

- Fałszywe?

Cooper zbadał jeden banknot.

- Nie.

Juany, które znalazła, były zblakłe i pogniecione.

- Było tam około trzydziestu paczek tej wielkości - wyjaśniła.

Deng przeliczył pieniądze w paczce.

- Trzydzieści takich paczek daje według kursu wymiany mniej więcej dwadzieścia tysięcy dolarów.

Zadzwoiła komórka i Sachs wyciągnęła swój aparat z futerału przy pasku. Kiedy rozpoznała głos Johna Sunga, ścisnęła ją lekko w dołku.

- John.

- Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś dzisiaj do mnie wpaść.

- Chyba mi się uda. Ale na razie mamy tu urwanie głowy. Zadzwoń do ciebie później.

Rozłączywszy się, spostrzegła, że Sellitto piorunuje ją wzrokiem.

- Mogę zamienić z panem kilka słów na osobności, detektywie? - zapytała i wyszła na korytarz. Sellitto ruszył za nią, głośno stąpając wielkimi stopami. Sachs odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz, opierając dłonie na biodrach.

- Dlaczego od dwóch dni stale się mnie czepiasz?

Zwalisty Sellitto podciągnął do góry pasek spodni.

- Chyba zwariowałaś. Ponosi cię wyobraźnia.

- Gówno prawda. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, wal śmiało.

Detektyw przez chwilę milczał.

- Wiem, gdzie byłaś zeszłej nocy - wyrzucił w końcu. - Gliniarze opiekujący się Sungiem powiedzieli mi, że po wyjściu stąd pojechałaś do niego.

- Moje życie osobiste to moja sprawa - odparła chłodno.

- To nie jest tylko twoja sprawa - syknął. - Także jego.

- Jego? To znaczy czyja? - zapytała, marszcząc czoło.

- Rhyme'a. A o kim myślałaś? Jeśli będziesz dalej podążała tą drogą, to go zniszczy.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - rzekła skonsternowana.

- Nie wiesz? Dla mnie to całkiem jasne. Dla Rhyme'a stanowisz centrum jego świata. Jeśli będziesz dalej spotykała się z tym facetem i on się o tym dowie, nie przeżyje tego. To... z czego się śmiejesz?

- Mówisz o mnie i o Johnie Sungu?

- Tak, o facecie, do którego się stąd wykradasz.

Sachs zaczęła się trząść ze śmiechu.

- Och, Lon... - powiedziała i szybko się odwróciła, bo śmiech zamienił się w łzy.

Sellitto dał krok do przodu.

- Co jest...

Sachs złapała w końcu oddech.

- To nie jest to, co myślisz - rzekła sucho.

Detektyw znowu podciągnął pasek.

- Mów.

- Wiesz, że Rhyme i ja rozmawialiśmy o tym, żeby mieć dzieci. - Sachs gorzko się roześmiała. - Nic z tego nie wyszło. Nie zachodziłam w ciążę. Martwiłam się, że coś jest nie w porządku z Lincolnem. No i przed kilkoma tygodniami zrobiliśmy sobie oboje badania.

Wróciła myślami do rozmowy w poczekalni.

- „A, tu pani jest, pani Sachs.

- Dzień dobry, doktorze.

- Właśnie rozmawiałem z lekarzem Lincolna Rhyme'a.

- Mam wrażenie, że nie przynosi pan od niego dobrych wieści.

- Może usiądziemy tam w rogu?

- Tu jest dobrze. Niech mi pan powie. Bez owijania w bawełnę.

- No cóż. Lekarz Lincolna oświadczył, że jego nasienie jest jak najbardziej w normie. Ma nieco zmniejszoną liczbę plemników, co jest typowe dla kogoś w jego stanie, ale obecnie nie stanowi to większego utrudnienia przy zajściu w ciążę. Obawiam się jednak, że pani ma poważniejszy problem.

- Ja??"

Powtórzyła teraz Lonowi Sellitto przebieg rozmowy z doktorem.

- Choruję na coś, co nazywa się endometriozą - dodała. - Zawsze miałam z tym problemy, ale nie sądziłam, że są takie poważne.

- Nie mogą tego wyleczyć?

- Mogą to zoperować lub zastosować terapię hormonalną, ale tak naprawdę nie pomoże to odzyskać płodności.

- Przykro mi, Amelio.

Sachs zaśmiała się nieszczerze.

- To właśnie robię z Johnem Sungiem. Wczoraj wieczorem zbadał mnie i zastosował akupresurę. Dał mi też kilka ziół, które jego zdaniem mogą pomóc. Okazuje się, że wielu zachodnich lekarzy poleca stosowanie chińskiej terapii przy endometriozie. - Sachs na chwilę umilkła. - Tyle jest wokół mnie śmierci, Lon - powiedziała w końcu. - Chciałam, żebyśmy stworzyli życie... Lincoln i ja. Tak bardzo chciałam naprawić to, co jest we mnie nie w porządku.

- Nie wiedziałem - bąknął zawstydzony Sellitto, podnosząc w górę dłonie.

- Bo to nie powinno obchodzić nikogo poza Lincolnem i mną - zakończyła gniewnie. - Wiesz, kim dla siebie jesteśmy? - zapytała, wskazując głową pokój Rhyme'a.

- Przepraszam, agentko Sachs. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. - Sellitto wyciągnął do niej rękę, a ona z ociąganiem uściśliła jego wielką dłoń.

Potem otarła sobie oczy i oboje wrócili do Rhyme'a.

- Ale nas nastraszyłeś - powiedział Rhyme do Freda Dellraya, kiedy ten pojawił się w zamienionym w kryminalistyczne laboratorium salonie.

- Wyobraźcie sobie, co sam czułem, parkując tyłek na kilku laskach wynalazku pana Nobla. - Dellray rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest Dan? - zapytał.

- Dan? - zdziwił się Rhyme.

- No, facet, który przejął po mnie tę sprawę. Dan Wong.

Rhyme i Sachs spojrzeli po sobie.

- Nikt jej po tobie nie przejął - oświadczył kryminolog. - Wciąż na ciebie czekamy.

- Wciąż czekacie? - szepnął z niedowierzaniem Dellray. - Miał do was zadzwonić i dzisiaj rano przylecieć wojskowym odrzutowcem. - Zdumienie na jego twarzy zmieniło się w gniew. - Zajmę się tym, kiedy wrócę do biura. Dla czegoś takiego nie ma usprawiedliwienia.

- Na jakim etapie jest śledztwo w sprawie bomby? - zapytał Freda Sellitto.

Dellray wyciągnął plastikową torbę, w której tkwiła jasnożółta laska dynamitu.

- Sprawdzili to na obecność markerów? - zapytał Rhyme.

- Nie. Powiedzieli, że jest za stare na markery.

- Pewnie jest. Ale i tak chcę to sprawdzić - mruknął kryminolog. - Zrób pełną analizę! - zawołał do Mela Coopera.

- Jestem ci szczerze zobowiązany, Lincolnie - powiedział Dellray.

- Odwdzięcz się, przysyłając nam kogoś do pomocy, Fred.

Duch maszerował wzdłuż Mulberry Street, ubrany w wiatrówkę, pod którą chował swojego nowego glocka 36 kalibru 45. Właśnie otrzymał wiadomość od Ujgura, któremu Yusuf zlecił włamanie się do strzeżonego mieszkania Wu. Środki bezpieczeństwa okazały się szczelniejsze, niż sądzili i zauważyli go strażnicy. Policja z pewnością zabrała już stamtąd rodzinę. Komplikowało to trochę sytuację, ale i tak się dowie, gdzie są.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów brukowaną alejką, skręcił w następną, przeciął zatłoczoną ulicę i w końcu dotarł do celu. Otworzył drzwi i pozdrowił uniesioną dłonią swojego eksperta feng shui, pana Zhou, który siedział na zapleczu Sklepu Szczęśliwej Nadziei.

Sonny Li zapalił papierosa i ruszył dalej ulicą, która nazywała się Bowery. Czuł się dobrze. Dobre omeny, dobre siły. On i Loaban złożyli ofiary Guan Di, bogu detektywów. Poucinał ogony demonom. I miał w kieszeni naładowany niemiecki pistolet. Odwiedzi eksperta *feng shui* i wyciągnie od niego adresy innych kryjówek Ducha, bez względu na to, jakich trzeba będzie użyć metod.

Minął zatłoczony targ rybny z koszami, w których poruszały szczypcami niebieskie kraby, z posypanymi lodem tacami pełnymi małży i ryb i w końcu dotarł do Sklepu Szczęśliwej Nadziei. Na zapleczu znalazł siedzącego przy biurku mężczyznę, który palił papierosa i czytał chińską gazetę.

- Pan jest Zhou?

- Owszem, zgadza się.

- Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać. Byłem w mieszkaniu przyjaciela przy Patrick Henry Street pięćdziesiąt osiem. Rozumiem, że to pan je urządził. Muszę się z nim skontaktować, ale tam go już nie ma. Żywię nadzieję, iż pan udzieli mi informacji, gdzie teraz może przebywać. Nazywa się Kwan Ang.

Mężczyzna uniósł lekko brwi.

- Przykro mi, proszę pana. Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Wie pan, że Kwan Ang jest szmuglerem i mordercą. Widzę to w pańskich oczach. - Sonny Li potrafił czytać w twarzach w podobny sposób, w jaki Loaban czytał w dowodach rzeczowych.

- Daję słowo, że nie wiem, o kim pan mówi. Jestem zwykłym ekspertem feng...

- Ach - parsknął Li. - Mam tego dosyć. Zadzwoń do urzędu imigracyjnego i powiem, żeby to oni zajęli się panem i pańską rodziną - zagroził, wskazując wiszące na ścianie rodzinne fotografie.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł szybko Zhou. - On wyszedł tuż przed pańskim wejściem. Jeśli się pan pośpieszy, może go pan dogoni. Niesie żółtą torbę z napisem „Sklep Szczęśliwej Nadziei”.

Li wyskoczył ze sklepu i rozejrzał się gorączkowo dookoła. W odległości mniej więcej stu metrów zobaczył niosącego żółtą torbę niewysokiego mężczyznę o krótkich ciemnych włosach. W jego chodzie było coś znajomego - Li zapamiętał go ze statku. Tak, to był Duch.

Powinien chyba spróbować zadzwonić do Loabana albo Hongse. Nie mógł jednak pozwolić, by facet mu uciekł. Duch skręcił w boczną alejkę i Li pobiegł za nim najszybciej jak mógł, z pistoletem w ręku.

Zanim szmugler zorientował się, że jest ścigany, Sonny Li dopadł go i wbił lufę w jego plecy. Zabójca puścił żółtą torbę i sięgnął pod koszulę. Ale Li pierwszy wyciągnął wielki pistolet zza jego paska i schował go do kieszeni. A potem brutalnie odwrócił szmuglera twarzą do siebie.

- Kwanie Ang - wypowiedział znajomą formułę - aresztuję cię za naruszenie podstawowych praw Chińskiej Republiki Ludowej.

Chciał mówić dalej, lecz nagle jego wzrok padł na koszulę Ducha, której poły rozeszły się, gdy sięgał po broń. Zobaczył biały bandaż na jego piersi.

A potem wiszący na rzemyku kamienny amulet w kształcie małpy.

Wstrząśnięty cofnął się, otwierając szeroko oczy i celując z pistoletu w twarz szmuglera.

- Ty... ty... - wyjąkał. Przez chwilę nie mógł pozbierać myśli, zrozumieć, co to wszystko znaczy. - Zabiłeś Johna Sunga na plaży i zabrałeś jego dokumenty i kamienną małpę - wyszeptał w końcu. - Podszyłeś się pod niego.

Duch uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że obaj lubimy maskaradę. Jesteś jednym z prosiaków z „Fuzhou Dragona”. Czekales, aż się znajdziemy na amerykańskiej ziemi, żeby oddać mnie w ręce tutejszej policji.

Li wreszcie zrozumiał, co zrobił Duch. Ukradł: hondę spod nadmorskiej restauracji. Loaban i policja zakładali, że pojechał nią do miasta, ale on schował ciało Sunga do bagażnika i ukrył ją gdzieś w pobliżu. Potem postrzelił się powierzchownie z własnego pistoletu, wypłynął z powrotem na morze i czekał tam, aż uratuje go policja i agenci z urzędu imigracyjnego, którzy łaskawie podrzucili go do miasta.

Na dziesięciu piekielnych sędziów, zaklął w duchu Li. Hongse nie miała pojęcia, że rzekomy doktor Sung jest w rzeczywistości szmuglerem.

- Wykorzystałeś tę policjantkę, by się dowiedzieć, gdzie są Changowie i Wu - powiedział.

Duch pokiwał głową.

- Potrzebne mi były informacje. Ona chętnie mi ich dostarczyła - odparł i przyjrzał się bacznie Sonny'emu. - Dlaczego to zrobiłeś, knypku? Dlaczego ścigałeś mnie taki szmat drogi?

- Zabiłeś trzy osoby w Liu Guoyuan, moim mieście.

- Naprawdę? Nie pamiętam. Może na to zasłużyli.

- Jesteś aresztowany - rzekł twardo Li. - Kładź się na brzuchu. Już!

Duch ukląkł na bruku. Nagle Li uświadomił sobie z grozą, że leży między nimi torba na zakupy i że Duch ukrył za nią prawą rękę.

- Nie! - krzyknął.

Torba Sklepu Szczęśliwej Nadziei eksplodowała w jego stronę. Duch strzelił do niego z drugiego pistoletu, który trzymał w kaburze na kostce, ale kula przeleciała obok biodra Li. Kiedy chiński policjant podniósł własny pistolet, Duch wytrącił mu go z ręki. Li złapał go za nadgarstek i próbował odebrać tokariewa. Razem wyrócili się na śliski bruk i drugi pistolet również upadł na ziemię. Duch rzucił się w jego stronę.

Nie pozwól mu, nie pozwól, ryknął w duchu Li.

Zdołał pochwycić rzemyk na szyi szmuglera, ten sam, na którym zawieszona była kamienna małpa, i mocno zacisnął na jego szyi. Duch zaczął wymachiwać na oślep rękoma i z gardła wydobył mu się charkot. Po chwili jął dygotać. Li pociągnął jeszcze mocniej.

I wtedy rzemyk pękł.

Figurka małpy upadła i roztrzaskała się o ziemię. Li poleciał na plecy i uderzył głową o bruk. O mało nie zemdleł. Piekielni sędziowie... Oczyma wyobraźni ujrzał straszliwy widok: martwą, leżącą w ciemności Hongse i martwego Loabana, z twarzą tak samo nieruchomą po śmierci, jak nieruchome za życia było jego ciało. Z trudem dźwignął się na kolana i ruszył na czworakach w stronę przeciwnika.

Amelia Sachs wyskoczyła z posepną twarzą z autobusu ekipy dochodzeniowej. Towarzyszył jej agent urzędu imigracyjnego Alan Coe. Pobiegli alejką w stronę grupki umundurowanych policjantów.

Sachs stanęła przy nich i spojrzała na ciało. Na zabłoconym bruku leżał na brzuchu Sonny Li. Miała ochotę ukląknąć i wziąć go za rękę.

Patrz przed siebie, nie zwracaj uwagi na to, kto jest ofiarą. Pamiętaj o dewizie Rhyme'a: nie zaprzataj sobie głowy zmarłymi.

Tym razem będzie to cholernie trudne. Zwłaszcza dla samego Lincolna Rhyme'a. Amelia zauważyła, że w ciągu ostatnich dwóch dni kryminologa połączyła z tym człowiekiem niezwykła więź - odkąd go poznała, do nikogo się tak bardzo nie zbliżył.

Coe podszedł do niej.

- Tak mi przykro. Był dobrym człowiekiem.

- Owszem, był. - Sachs odwróciła się do gliniarzy. - Muszę teraz zabezpieczyć dowody rzeczowe. Czy mogę was wszystkich prosić o cofnięcie się?

O Boże, pomyślała, wstrząśnięta tym, co musiała teraz zrobić. Nałożyła na głowę słuchawki, podłączyła je do radia i zadzwoniła.

Kliknięcie.

- Tak? - odezwał się Rhyme.

- Jestem na miejscu - rzekła.

- I? - po krótkiej chwili.

Wyczuła, że stara się, by w jego głosie nie zabrzmiała nadzieja.

- On nie żyje. Przykro mi, Lincolnie - powiedziała cicho.

Kolejna pauza.

- Bez imion, Sachs. To przynosi pecha, pamiętasz? - dodał lekko załamującym się głosem. - Dobrze. Zabezpiecz dowody rzeczowe. Changowie mają coraz mniej czasu.

- Jasne, Rhyme. Pamiętam o tym.

Pół godziny później umieściła wszystkie dowody w torebkach, podpisała dołączone do nich metryczki i zadzwoniła ponownie do Rhyme'a.

- Sonny został trzykrotnie postrzelony w pierś, ale mamy cztery łuski. Jedna z nich jest z tokariewa. Pozostałe z czterdziestki piątki. Wygląda na to, że został zabity z tej drugiej broni. Na jego nodze znalazłam ślady: strzępy żółtego papieru i suszoną substancję roślinną. Ta sama substancja znajdowała się na bruku.

- Jaki jest twój scenariusz, Sachs?

- Moim zdaniem, Sonny zauważył Ducha, kiedy ten wychodził ze sklepu, niosąc coś w żółtej torbie. Pobiegł za nim, dopadł go i odebrał pistolet. Zakładał, że to jego jedyna broń i pewny swego, kazał mu się położyć na ziemi. Duch wyciągnął jednak drugi pistolet, tokariewa, i strzelił przez torbę, obsypując Sonny'ego strzępami papieru i kawałkami roślin. Kula chybiła, lecz Duch rzucił się na niego, odebrał czterdziestkę piątkę i zabił.

- Chcesz odwiedzić okoliczne sklepy i sprawdzić, gdzie mają żółte torby?

- Nie. To zabrałoby zbyt dużo czasu. Najpierw trzeba ustalić, co to za rośliny. To prawdopodobnie jakieś chińskie zioła. Mam zamiar wpaść do Johna Sunga z ich próbką. Chyba będzie mi mógł powiedzieć, co to jest. Mieszka zaledwie parę przecznic stąd.



## V

### *Wszystko w swoim czasie*

Aby można było ich ująć... siły przeciwnika muszą zostać całkowicie okrążone i pozbawione wokół siebie jakiegokolwiek wolnego pola... Dokładnie jak na wojnie, kiedy żołnierze z otoczonego posterunku brani są do niewoli.

*Gra wei-chi*

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wpatrywał się przez okno w szary zmierzch. Głowa opadła mu na pierś - nie z powodu uszkodzonych włókien nerwowych, lecz ze smutku. Rhyme rozmyślał o Sonnym Li, samotnym gliniarzu, który zawędrował dosłownie na koniec świata, żeby dopaść podejrzanego. O Li, małym człowieczku, który pragnął jedynie, by krzywdy, których doznali obywatele jego rewiru, zostały ukarane. I wystarczała mu w zamian radość myśliwego i być może odrobina szacunku.

- Dobra, Mel - powiedział po chwili twardym głosem. - Co tam mamy?

Mel Cooper ślęczał nad plastikowymi torbami, które policyjny motocyklista przywiózł z miejsca przestępstwa w Chinatown.

- Odciski stóp - odparł.

- To na pewno był Duch?

- Tak - potwierdził Cooper, spoglądając na pobrane przez Amelię elektrostatyczne odciski. - Są identyczne. - Następnie rozłożył ubranie Li nad czystym białym papierem i zbadał okruchy, które spadły na arkusz. - Brud, drobinki farby, strzępki żółtego papieru pochodzące prawdopodobnie z tej torby oraz suszona substancja roślinna, o której wspomniała Amelia.

- Sachs sprawdza teraz te rośliny - poinformował go Rhyme.

Patrząc na zakrwawione ubranie Li, poczuł, jak coś kłuje go w sercu. *Zaijian*, Sonny. Do widzenia.

- Próbkę spod paznokci - oznajmił Cooper, odczytawszy napis na kolejnej torbie, po czym umieścił ślady na szkiełku mikroskopu.

- Daj to na ekran, Mel - poprosił Rhyme i odwrócił się do monitora. - Tytoń - rzekł, uśmiechając się smutno na wspomnienie nikotynowego nałogu chińskiego policjanta. - Co jeszcze widzimy? Co to za minerały? Jak sądzisz, Mel? Krzemiany?

- Na to wygląda. Puśćmy to przez chromatograf.

Wkrótce mieli wyniki: magnez i krzem.

- To talk - stwierdził Rhyme. - Znajdź wszystko, co można, na temat talku i krzemianu magnezowego.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Thom włączył tryb głośno mówiący.

- Tu mówi doktor Arthur Winslow z centrum medycznego Huntington.

- Słucham, doktorze?

- Mamy tu pacjenta, Chińczyka. Nazywa się Sen. Przywieziono go do nas po tym, jak straż przybrzeżna wydobyła go z zatopionego statku. Powiedziano nam, żebyśmy przekazywali wszystkie wiadomości na jego temat i sądzę, że jest coś, o czym powinniście wiedzieć.

John Sung przebrał się. Miał teraz na sobie golf - w którym przy tej pogodzie wyglądał dziwnie, ale bardziej elegancko - oraz nowe robocze spodnie. Był zaczerwieniony i wydawał się rozkojarzony i zdyszany.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Amelia Sachs.

- To joga - wyjaśnił. - Wykonywałem moje ćwiczenia. Herbaty?

- Nie mam dużo czasu - odparła. Na dole czekał na nią Alan Coe.

Sung wręczył jej papierową torebkę.

- Zioła na płodność, o których mówiłem ci wczoraj wieczorem.

- Dziękuję, John - powiedziała, biorąc ją machinalnie do ręki.

- Coś się stało? - zapytał, wpatrując się w jej twarz. Zaprosił ją gestem do środka i usiedli na kanapie.

- Pamiętasz tego policjanta z Chin, który nam pomagał? Przed godziną znaleziono go martwego. To sprawka Ducha.

Sung westchnął.

- Och nie... Tak mi przykro.

- Mnie też. - Sachs sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła plastikową torebkę z suszonymi roślinami. - Znaleźliśmy to w miejscu zabójstwa.

- Daj mi obejrzeć. - Sung otworzył torebkę i przez chwilę przyglądał się substancji i wdychał jej zapach. - Czuję traganek, biały grzyb, imbir, trochę żeńszenia i żabieniec. Można to kupić u każdego zielarza i w każdym sklepie spożywczym w Chinach. Moglibyście sprawdzić sklepy, które znajdują się w sąsiedztwie - zasugerował.

- Musimy to zrobić. Może trafimy na świeży trop.

Sachs chciała wstać, ale nagle się skrzywiła - ostry ból przeszył jej ramię.

- Proszę, usiądź z powrotem.

Po krótkim wahaniu usiadła ponownie na kanapie. Sung stanął za nią. A potem poczuła, jak jego dłonie ściskają jej ramię - z początku słabo, a potem silniej i głębiej. Jego twarz była blisko jej głowy, jego oddech pieścił jej szyję. Dłonie sunęły w górę i w dół po jej skórze, naciskając mocno, ale powstrzymując się przed zadaniem bólu. Było to relaksujące, ale kiedy palce Sunga objęły jej szyję, poczuła lekki niepokój.

- Odpręż się - powiedział tym swoim spokojnym głosem.

Jego ręce zsunęły się w dół: sięgnęły żeber, zatrzymały się tuż przed piersiami i cofnęły do kręgosłupa. Zaczął szybciej oddychać - jak się domyślała, z wysiłku.

- Może zdejmiesz ten pas z bronią? - szepnęła.

Sachs zaczęła rozpinąć sprzączkę, ale nagle rozległ się ostry dźwięk: to była jej komórka. Odsunęła się od Sunga i podniosła do ucha telefon.

- Halo? Tu...

- Szykuj się do jazdy, Sachs.

- Co masz nowego, Rhyme?

- Sen, kapitan statku, odzyskał przytomność. Spędził trochę czasu w ładowni „Fuzhou Dragona” i podsłuchał Changa, kiedy ten rozmawiał ze swoim ojcem. Wygląda na to, że jakiś ich krewniak albo znajomy załatwił rodzinie mieszkanie i pracę w Brooklynie.

- W Brooklynie? Nie w Queens?

- Sam Chang to niegłupi facet, pamiętasz? Jestem pewien, że wymienił Queens, żeby zostawić mylny trop. Zawęziłem obszar, gdzie moim zdaniem mogą się znajdować, do Red Hook albo Owls Head.

- Jak do tego doszedłeś?

- A jak myślisz, Sachs? Ślady na butach starego: odpady biologiczne. W Brooklynie są dwa zakłady utylizacji śmieci. Skłaniam się do Owls Head. Nieopodal jest chińska dzielnica. Chcę, żebyś tam pojechała. Dam ci znać, kiedy tylko będziemy mieli adres.

Sachs zerknęła na Sunga.

- Lincoln odkrył, w jakiej okolicy mieszkają Changowie - poinformowała go. - Zaraz tam jadę.

- Gdzie to jest?

- W Brooklynie.

- Och, jak dobrze - ucieszył się. - Są bezpieczni?

- Na razie tak.

- Czy mógłbym z tobą pojechać? Mogę tłumaczyć. Chang i ja mówimy tym samym dialektem.

- Jasne - zgodziła się. - Pojedzie ze mną John Sung - powiedziała do telefonu. - Będzie tłumaczył. Ruszamy w drogę.

Sung poszedł do sypialni i po chwili wrócił ubrany w pękata wiatrówkę.

- Na dworze nie jest zimno - zdziwiła się.  
- Zawsze noś się ciepło. To ważne dla *qi* i krwi - odparł, po czym wziął ją za ramiona. -  
Zrobiliście bardzo dobrze, odnajdując tych ludzi.

Bardzo ją to poruszyło. Uścisnęła mocno jego dłoń i cofnęła się o krok.

- Jedźmy po Changów - mruknęła.

Na ulicy przed swoim domem człowiek wielu imion - Kwan Ang, Duch i John Sung - podał dłoń Alanowi Coe, który był, z tego co mu było wiadomo, agentem urzędu imigracyjnego. Trochę go to zaniepokoiło, bowiem Coe wchodził w skład grupy ścigającej go poza granicami Stanów Zjednoczonych. Najwyraźniej jednak nie miał pojęcia, jak wygląda Duch.

Sachs powtórzyła Alanowi Coe, czego dowiedział się Rhyme, i cała trójka wsiadła do autobusu ekipy dochodzeniowej. Coe usiadł z tyłu, zanim Duch zdążył zająć to strategicznie najlepsze miejsce.

Z tego, co mówiła Sachs, domyślił się, że w mieszkaniu Changów będą również inni gliniarze i agenci urzędu. Poczynił już jednak pewne przygotowania. W trakcie jej wizyty Yusuf i drugi Ujgur siedzieli ukryci w sypialni. Kiedy poszedł po swój pistolet i wiatrówkę, kazał im za sobą jechać. Razem z Turkami uda mu się zabić Changów.

Od chwili gdy zobaczył Amelię Sachs po raz pierwszy - płynącą, żeby ratować go przed utonięciem - uczucia, jakie do niej żywił, przybrały na sile. Wydawało mu się, że rozpoznaje w niej coś z własnej duszy. Ze smutkiem myślał o tym, że nigdy nie zabierze tej kobiety, by obejrzeć wraz z nią cuda Xiamenu, by obejść dookoła wielki buddyjski klasztor w Nanpotou, a później zaprosić na zupę orzechową albo kluski.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie zawaha się wykonać tego, co zaplanował. Sachs zwierzyła mu się, że ona również należy do tych, co rozbijają sagany i zatapiają łodzie. Kiedy dowie się, że jest Duchem, nie spocznie, dopóki go nie zabije albo nie aresztuje. Musiała umrzeć.

W domu Rhyme'a zadzwonił telefon Lona Sellitto. Detektyw odebrał go, przez chwilę słuchał, a potem szeroko się uśmiechnął.

- Znaleźli Changów! - zawołał i rozłączył się. - Jeden z gliniarzy z piątki trafił w Owls Head na faceta, który jest właścicielem drukarni. Nazywa się Joseph Tan. Nasz człowiek oświadczył mu, że cała rodzina zginie, jeśli ich nie znajdziemy. Tan załamał się i przyznał, że zatrudnił Changa i jego dzieciaka i że załatwił im mieszkanie. Dwie przecznice od oczyszczalni ścieków.

Rhyme podjechał do tablicy i zaczął się przyglądać dowodom rzeczowym.

- Zadzwoń i natychmiast zaprzęgnę wszystkich do roboty - powiedział Sellitto.

- Zaczekaj chwilę. Coś nie daje mi spokoju - mruknął kryminolog.

Przekręcając powoli głowę, omiatał wzrokiem notatki, fotografie i inne dowody. Gdzieś tutaj tkwi odpowiedź, pomyślał. Problem polega jednak na tym, że nie znamy pytania.

Jego umysł, w przeciwieństwie do pozbawionych życia kończyn, nie był niczym skrępowany. Rhyme śledził dowody rzeczowe, które zgromadzili w trakcie operacji „Wyzionąć Ducha” - jedne szerokie jak East River, inne wąskie i słabe jak nić; jedne pomocne, inne najwyraźniej bezużyteczne niczym zmiażdżone nerwy, które biegły z jego umysłu do nieruchomego ciała. Ale nawet tych nie lekceważył.

Amelia Sachs zjechała z autostrady zaraz za terenami wojskowymi w Brooklynie. Duch zerknął mimochodem w lusterko i przekonał się, że Yusuf wciąż za nimi jedzie. A potem spojrział na Sachs, na jej piękny profil i zwinięte w kok połyskujące rude włosy.

Wzdrygnął się, kiedy nagle zadzwoniła jej komórka.

Sachs odebrała telefon.

- Rhyme... Tak, jesteśmy już blisko. Mów. - Przez chwilę milczała. - Doskonale! Znalazł ich - poinformowała Ducha i Alana Coe i słuchała dalej tego, co miał jej do powiedzenia Rhyme. Duch odniósł wrażenie, że lekko stężała.

- Rozumiem, Rhyme - oznajmiła w końcu i się rozłączyła.

A potem zaczęła trajkotać niczym uczennica o swoim życiu w Brooklynie. Duch natychmiast dostrzegł coś nienaturalnego w jej zachowaniu i nabrał podejrzeń. Podrapała się w zamyśleniu w nogę, lecz on się zorientował, że ten gest był pretekstem, by zbliżyć dłoń do pistoletu. On sam też opuścił rękę i przesunął ją za siebie, aż poczuł pod palcami kolbę zatkniętego za pasek pistoletu.

Kolejny skręt. Sachs sprawdzała przez chwilę numery domów, po czym zatrzymała się przy krawężniku i wskazała niewielki dom z fasadą z brunatnego piaskowca.

- To tutaj - powiedziała.

- Załatwmy to jak najprędzej - mruknął Coe.

- Zaczekaj - rzuciła od niechcenia i odwróciła się do siedzącego z tyłu agenta.

Była bardzo szybka. Zanim szmugler zdążył zacisnąć palce na pistolecie, Sachs obróciła ku niemu swoją broń. Duch mimowolnie zamrugał, sądząc, że do niego strzeli. Lufa pistoletu powędrowała jednak dalej i zatrzymała się na drugim z mężczyzn.

- Nie ruszaj się, Coe. Nawet o milimetr.

- Co to... co to ma znaczyć? - zapytał zszokowany.

- Pamiętasz ten telefon przed chwilą? Lincoln powiedział mi nie tylko, jak dojechać do Changów. Wie o tobie wszystko. Wie, że to ty pracujesz dla Ducha.

Coe przełknął ślinę.

- Oszalałaś?

- Jesteś jego aniołem stróżem. Dlatego strzeliłeś tam przy Canal Street. Próbowales go ratować. I przekazywałeś mu informacje.

Duch próbował za wszelką ceną uspokoić oddech.

- Oszalałaś, agentko Sachs.

- Czy miałeś zamiar przedzwonić do Ducha, kiedy dojedziemy do domu Changów? - warknęła. - Czy po prostu samemu ich zabić? I nas przy okazji?

Coe ponownie przełknął ślinę.

- Chcę mówić z adwokatem.

- Będziesz miał na to mnóstwo czasu. Teraz kładź prawą rękę na kłamce. Jeśli poruszysz nią choćby o milimetr, oberwiesz kulką w ramię. Lewą ręką, kciukiem i palcem wskazującym wyciągnij broń, kolbą do przodu.

Duch spojrział w jej twarde jak kamień oczy i przeszedł go zimny dreszcz. Coe wyjął ostrożnie pistolet i podał go jej. Sachs schowała broń do kieszeni, wysiadła i otworzyła drzwiczki z jego strony.

- Wsiadaj - powiedziała i wskazała palcem chodnik. - Twarzą do ziemi.

Duch patrzył, jak Sachs umiejętnie zakłada agentowi kajdanki, chowa broń do kabury, po czym łapie go za kołnierz i pomaga wstać.

- Chcesz, żebym porozmawiał z Changami? - zapytał, odkręcając szybę.

- To nie jest ich dom - odparła. - Mamy do niego jeszcze kilka przecznic. Skłamałam. Musiałam uspić jego czujność. Wybrałam to miejsce, bo za rogiem jest posterunek policji.

Odprowadziła agenta urzędu imigracyjnego do rogu, gdzie przejęli go trzej umundurowani policjanci. Duch obejrzał się przez ramię i zobaczył stojącą przy krawężniku z zapalonym silnikiem furgonetkę Yusufa.

Po pięciu minutach Sachs pojawiła się z powrotem, wsiadła do autobusu i uruchomiła silnik.

- Przepraszam - powiedziała do Ducha i potrząsnęła głową. - Dobrze się czujesz?

Była teraz bardziej sobą.

- Tak - odparł z uśmiechem Duch. - Znakomicie sobie poradziłaś.

Sachs wyjęła komórkę i wystukała numer.

- W porządku, Rhyme, John i ja jedziemy teraz do Changów. Nie będziemy czekać na siły specjalne. Duch może już być w drodze.

Istotnie, chyba jest już w drodze, pomyślał szmugler.

Sachs skręciła raptem w jednokierunkową uliczkę i zatrzymała się.

- To nasz dom - powiedziała, wskazując stojący kilka posesji dalej dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły.

Wysiedli z autobusu i stanęli na chodniku. Duch obejrzał się przez ramię. Yusuf także zaparkował furgonetkę; w zapadającym zmierzchu widać było w środku jego i drugiego Turka.

Sachs wskazała wykuszowe okno od frontu.

- Wejdziemy tam od tyłu. W przeciwnym razie mogliby nas zobaczyć od ulicy i uciec.

Obeszli najbliższy dom i idąc opłotkami, dotarli na tyły posesji Changów.

- Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów - szepnęła. - Powiedz im, że chcemy pomóc.

Duch próbował sobie wyobrazić, jaka będzie reakcja Sama Changa i jego żony, kiedy zobaczą, kto jest ich policyjnym tłumaczem.

Sachs nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Szybko je otworzyła i przeszli cicho przez małą duszną kuchnię.

Na kuchence gotowała się w garnku woda. Na desce leżała cebula, obok pęczek pietruszki. Sachs przystanąła w drzwiach korytarza, który prowadził do dziennego pokoju, i dała Duchowi znak, by się zatrzymał.

Zobaczył, że Turcy są już w alejce z boku domu. Korzystając z tego, iż Sachs jest odwrócona do niego plecami, dał im znak, żeby podeszli od frontu, po czym sięgnął pod wiatrówkę i wyciągnął pistolet zza paska spodni.

Sachs ruszyła powoli ciemnym korytarzem.

- Zaczekaj tu chwilę, John - szepnęła. Minęło kilka sekund. - Teraz! - zawołała nagle.

- Co? - zapytał zdezorientowany Duch.

Zamiast odpowiedzieć, odwróciła się w jego stronę i podniosła pistolet. Zrobiła to tak szybko, że zobaczył przed oczyma tylko szarą smugę, a potem lufę, która skierowana była prosto w jego pierś.

Okrzyk Sachs nie był skierowany do niego, lecz do sześciorga mężczyzn i kobiet w bojowym rynsztunku sił specjalnych, którzy wpadli do małej kuchni, celując z pistoletów prosto w zszokowanego szmuglera.

- Padnij! Padnij! Policja! Rzuć broń! Na podłogę! - krzyčeli.

Wydarło mu z ręki pistolet, rzucono na podłogę, skuto i przeszukano. Poczuł, jak ktoś ciągnie go za kostkę i odpina kaburę z tokariewem.

- Sprawca zatrzymany! - zawołał jeden z policjantów. - Teren czysty.

- Na dworze mamy dwóch, obaj zatrzymani.

Ujgurowie z ośrodka etnicznego w Queens, pomyślała Sachs.

Chwilę później dołączyli do nich Lon Sellitto i Eddie Deng, zbiegając z piętra, gdzie czekali. Posadzili Ducha na krześle i Deng odczytał mu jego prawa po angielsku oraz na wszelki wypadek w dialektach Putonghua i Minnanhua.

- Co z Changami? - Amelia zwróciła się do Lona.

- W porządku. Są u nich dwie ekipy agentów imigracyjnych.

Elegancko umeblowany dom, w którym się znajdowali, należał do Sellitta i oddalony był mniej więcej o półtora kilometra od miejsca zamieszkania Changów. W tak krótkim czasie nie byli w stanie znaleźć lepszego miejsca na zasadzkę.

- Wrobiłaś mnie - powiedział Duch do Amelii.

- Chyba nam się udało.

Telefonując do niej, gdy jechała do prawdziwego domu Changów w Owls Head, Rhyme ostrzegł Amelię, że jego zdaniem Duch podszywa się pod Johna Sunga. Agenci urzędu imigracyjnego i policjanci byli już w drodze do Changów, żeby ich zatrzymać. Sellitto i Deng zastawili zasadzkę w domu policjanta. Mogli tu ująć Ducha i jego *bangshou*, nie ryzykując, że ucierpią przy tym niewinni przechodnie.

Słuchając rewelacji Rhyme'a, Sachs musiała zmobilizować wszystkie siły, aby kiwać spokojnie głową, udawać, że Coe pracuje dla Ducha, a przede wszystkim nie dać po sobie poznać, że wie, iż siedzący przy niej człowiek, mężczyzna, którego uważała za swego przyjaciela i lekarza, jest poszukiwanym przez nich od dwóch dni mordercą.

Z dreszczem obrzydzenia wspomniała, jak dotykał ją swoimi dłońmi. Uświadomiła sobie także ze zgrozą, że to ona sama zdradziła mu, gdzie przebywali Wu.

- W jaki sposób twój przyjaciel, ten Lincoln Rhyme, domyślił się, że nie jestem Sungiem? - zapytał nagle Duch.

- Dzięki kamiennej małpie - wyjaśniła. - Znalazłam ślady jakiegoś minerału za paznokciami Sonny'ego Li. To był krzemian magnezu, steatyt, z którego wyrzeźbiono amulet.

- Sachs szarpnęła za golf Ducha, odsłaniając widoczny na jego szyi czerwony ślad po zaciągniętym rzemyku. - Jak to się stało? Ściągnął ci go z szyi i rzemyk pękł?

Duch pokiwał powoli głową.

- Zanim go zastrzeliłem, drapał paznokciami ziemię. Myślałem, że błaga o zmiłowanie, ale on tylko podniósł nagle wzrok i uśmiechnął się do mnie.

Sonny Li specjalnie drapał paznokciami miękki kamień, żeby przekazać im wiadomość, iż Sung jest w rzeczywistości Duchem. Rhyme pamiętał dziwne okrucieństwa na palcach Amelii dzień wcześniej. Zdał sobie sprawę, że drobiny minerału mogą pochodzić z amuletu Sunga. Zadzwoił do policjantów, którzy strzegli jego domu, a oni potwierdzili, że można tam wejść od tyłu. Oznaczało to, iż Duch mógł bez ich wiedzy wchodzić i wychodzić z budynku.

Rhyme zapytał ich również, czy w pobliżu nie ma sklepu ogrodniczego - mogła stamtąd pochodzić mierzwa, którą znaleźli - i dowiedział się, że na parterze jest kwaciarnia. Następnie sprawdził numery telefonów, z których dzwoniło na komórkę Sachs. Pojawił się wśród nich numer aparatu, z którego Duch telefonował do ośrodka ujgurskiego.

Prawdziwy John Sung był doktorem - Duch nim nie był. Ale w Chinach każdy zna się trochę na wschodniej medycynie. Nie trzeba było długich studiów, aby wykryć u Sachs dolegliwość, na którą cierpiała, i dać jej odpowiednie zioła.

- A wasz znajomy z urzędu migracyjnego? - zapytał Duch.

- Coe? Wiedzieliśmy, że nic go z tobą nie wiąże - odparła Sachs. - Ale musiałam udawać, że Coe jest szpiegiem... nie mogłeś się domyślić, żeśmy cię rozpracowali. I nie chcieliśmy, żeby nam przeszkadzał. Gdyby odkrył, kim jesteś, mógłby znowu zacząć strzelać, tak jak to zrobił na Canal Street. Nie chcieliśmy żadnych komplikacji. - Sachs uważnie



przyjrzała się Duchowi. - Zabiłeś Sunga, ukryłeś jego ciało, a potem postrzeliłeś się i wypłynąłeś z powrotem na morze. O mało nie utonąłeś.

- Nie miałem wielkiego wyboru. Jerry Tang zostawił mnie na łodzi.

- Jak przemyciłeś broń?

- Wsadziłem do skarpetki w ambulansie. Potem schowałem ją w szpitalu i wróciłem po nią, kiedy uwolnił mnie agent urzędu imigracyjnego.

- Gdzie jest ciało Sunga?

W odpowiedzi Duch się tylko uśmiechnął. Jego spokój rozwścieczał ją. Nagle zabrzęczała jej komórka.

- Tak?

- Przypuszczam, że ktoś zamierza w końcu do mnie zadzwonić i powiedzieć, co się dzieje - wycedził sarkastycznie Rhyme.

- Jesteśmy tu trochę zajęci, Rhyme - odparła. - Złapaliśmy go. Próbowaliśmy z niego wyciągnąć, gdzie jest ciało Sunga, ale...

- Uważasz, że nie możemy się tego sami domyślić? Przecież to oczywiste.

Dla pewnych ludzi może i jest oczywiste, pomyślała.

- W bagażniku hondy - poinformował ją kryminolog.

- Która nadal jest gdzieś na wschodnim skraju Long Island?

- Oczywiście. Duch pojechał, żeby ją ukryć, na wschód. Domyślał się, że nie będziemy szukać w tamtym kierunku.

Stojący obok niej Sellitto wskazał palcem ulicę.

- Muszę odwiedzić pewnych ludzi, Rhyme - powiedziała.

- Odwiedzić pewnych ludzi? Kogo?

- Znajomych - odparła po krótkim zastanowieniu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sachs zastała rodzinę stojącą przed zaniedbanym domem nieopodal Parku Owls Head. W powietrzu unosił się ciężki odór ścieków, pochodzący z oczyszczalni, która ocaliła im życie. Ojciec, Sam Chang, stał z opuszczoną głową i skrzyżowanymi na piersi rękoma, słuchając w ponurym milczeniu Azjaty w garniturze - domyśliła się, że to agent urzędu imigracyjnego - który mówił coś do niego i robił notatki.

Obok stała mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, trzymająca za rękę Po-Yee. Mała była urocza - o okrągłej buzi i jedwabistymi lokami przyciętymi krótko po bokach.

Detektyw z Nowojorskiego Wydziału Policji rozpoznał Sellitta i podszedł do niego i do Sachs.

- Rodzina ma się dobrze. Zabieramy ich do ośrodka dla imigrantów w Queens. Biorąc pod uwagę działalność dysydencką Changą, mają duże szanse na przyznanie azylu.

- Złapaliście Ducha? - zapytał ją Sam Chang.

- Tak - odparła. - Jest w areszcie.

- Dziękuję - powiedział z ulgą. - Czy mogę panią o coś prosić? -zapytał po chwili. - Chodzi o tego człowieka, starszego mężczyznę, który zginął w apartamencie Ducha. Mój ojciec musi mieć porządną pogrzeb. To bardzo ważne.

- Kiedy skończy pan załatwiać sprawy z urzędem imigracyjnym, może pan zwrócić się do jakiegoś domu pogrzebowego, żeby zabrali go z kostnicy - odparła.

- Dziękuję.

Pod dom podjechał mały niebieski dodge i wysiadła z niego czarna kobieta w brązowym kostiumie.

- Nazywam się Chiffon Wilson - przedstawiła się agentowi urzędu imigracyjnego i Sachs. - Jestem z opieki społecznej i przyjechałam po dziecko.

Chang spojrział szybko na swoją żonę.

- Nie może z nimi zostać? - zapytała Amelia.

Wilson potrząsnęła ze współczuciem głową.

- Jest osieroconą obywatelką innego państwa. Musi wracać do Chin.

- To dziewczynka - szepnęła Sachs. - Czy pani wie, co się dzieje z osieroconymi dziewczynkami w Chinach?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wykonuję po prostu swoją pracę. - Wilson dała znak agentowi urzędu imigracyjnego, który powiedział coś po chińsku do Changów. Twarz Mei-Mei znieruchomiała. Po chwili skinęła głową, wsunęła rączkę dziecka do dłoni pracownicy społecznej i zmarszczyła czoło, chcąc przypomnieć sobie właściwe angielskie słowa.

- Wy zadbać, ona mieć bardzo dobra opieka - powiedziała w końcu i odeszła.

Wilson podniosła dziewczynkę, która zerknęła na rude włosy Sachs i wyciągnęła rączkę, chcąc złapać parę kosmyków. Policjantka roześmiała się.

- *Ting!* - rozległ się nagle stanowczy kobiecy głos. Sachs przypomniała sobie, że to słowo znaczy po chińsku „czekaj”. Odwróciła się i spostrzegła wracającą do nich szybkim krokiem Mei-Mei. - Proszę - powiedziała Chinka, podając jej prymitywną zabawkę, wypchanego kotka. - Ona to lubić. Być z tym szczęśliwa.

Dziecko utkwilo oczy w zabawce, a Mei-Mei w dziecku. A zaraz potem Wilson przypięła małą do fotelika w samochodzie i odjechały.

Amelia rozmawiała przez pół godziny z Changami, starając się ustalić, czy nie znają jeszcze jakichś faktów, które pomogłyby w sporządzeniu aktu oskarżenia przeciwko Duchowi. A potem dały o sobie znać trudy ostatnich dwóch dni i uznała, że czas już wracać do domu.

Mimo że Kwan Ang znajdował się w areszcie, Lincoln Rhyme i Amelia Sachs spędzili cały ranek, analizując informacje, które nie przestawały napływać w związku ze sprawą „Wyzionąć Ducha”.

Na podstawie analizy chemicznych markerów FBI ustaliło, że użyty do zatopienia statku ładunek wybuchowy C4 dostarczony został najprawdopodobniej przez północnokoreańskiego handlarza bronią.

Nurkowie z „Evan Brigant” wydobyli z wraku „Fuzhou Dragona” ciała załogi i innych imigrantów, a także resztę pieniędzy - około stu dwudziestu tysięcy dolarów. Ustalono również, że Ling Shui-bian, człowiek, który zapłacił Duchowi i napisał do niego list odnaleziony przez Amelię, posiada stały adres w Fuzhou. Rhyme przesłał go e-mailem do tamtejszego urzędu bezpieczeństwa publicznego.

Rozległo się ciche brzęczenie i komputer Rhyme'a wyświetlił listę nowych wiadomości. Kryminolog przeczytał jedną z nich.

- Aha. Miałem rację - mruknął, po czym poinformował Sachs, że ciało Johna Sunga odnaleziono w bagażniku skradzionej przez Ducha hondy. Zgodnie z przewidywaniami Rhyme'a, samochód został zatopiony w stawie zaledwie czterdzieści metrów od Easton Beach.

Zainteresowała go również następna wiadomość. Przysłał ją Mel Cooper, który urzędował z powrotem w swoim gabinecie w siedzibie nowojorskiej policji.

Lincolnie,  
Zbadaliśmy dynamit i okazało się, że jest fałszywy. Dellrayowi w ogóle nic nie groziło. Sprawca dał dupy i użył imitacji. Może warto się nad tym zastanowić.

Rhyme roześmiał się. Jakiś handlarz wystawił do wiatru napastnika, sprzedając mu fałszywy materiał wybuchowy.

Chwilę później zabrzączał dzwonek do drzwi i do pokoju wparowali Sellitto i Dellray.

- Cześć, Linc - mruknął agent FBI. Po jego minie widać było, że nie przynosi dobrych wiadomości. Amelia Sachs i Rhyme wymienili zaniepokojone spojrzenia. - Duch nie podlega już naszej jurysdykcji - stwierdził z westchnieniem Sellitto. - Wysyłają go z powrotem do Chin. Tamtejsze grube szychy chcą... pozwól, że zacytuję: „przesłuchać go w związku z nieprawidłowościami w handlu zagranicznym”.

Rhyme osłupiał.

- Przecież już po miesiącu wznowi działalność. Nie możesz nic zrobić, Fred?

Agent FBI potrząsnął głową.

- Decyzję podjęto w Departamencie Stanu w Waszyngtonie. Nie mam tam dojścia.

Rhyme przypomniał sobie milczącego mężczyznę w granatowym garniturze: Webleya ze Stanu.

- Niech to diabli - zaklęła Sachs. - On wiedział. Duch wiedział, że mu nic nie grozi. Podczas aresztowania był zaskoczony, ale właściwie niespecjalnie się tym przejął.

- Nie można do tego dopuścić - rzekł twardo Rhyme, myśląc o ludziach, którzy zginęli na „Fuzhou Dragonie”. Myśląc o Sonnym Li.

- Cóż, to się dzieje właśnie w tej chwili - powiedział, rozkładając ręce Dellray. - Duch wylatuje dziś po południu. I nie możemy na to nic poradzić.

- Były między nami różnice zdań, Alan - zagadnął Rhyme.

- Chyba tak - odparł ostrożnie agent urzędu imigracyjnego. Siedzieli w sypialni Rhyme'a. To miała być absolutnie prywatna rozmowa.

- Słyszałeś o zwolnieniu Ducha?

- Oczywiście, że słyszałem - mruknął gniewnie Coe.

- Powiedz mi, dlaczego tak się zaangażowałaś w tę sprawę?

- On zabił moją informatorkę, Julię. Byliśmy kochankami - przyznał po krótkim wahaniu Coe. Widać było, że niełatwo mu o tym mówić. - Zginęła przeze mnie - dodał. - Powinniśmy byli bardziej uważać. Pojawiliśmy się razem publicznie i chyba nas rozpoznano. Nigdy nie kazałem jej robić naprawdę niebezpiecznych rzeczy. Nigdy nie nosiła mikrofonu, nigdy nie włamywała się do gabinetów. Ale powinniśmy znać go lepiej. - W oczach agenta pojawiły się łzy. - Osierociła dwie córeczki.

- Tym właśnie się zajmowałaś za granicą, kiedy wzięłaś urlop?

Agent pokiwał głową.

- Szukałem Julii. Ale potem dałem sobie z tym spokój i spędziłem trochę czasu, starając się umieścić dzieci w katolickim sierocińcu. - Coe otarł oczy. - Dlatego właśnie tak się uwzięłem na bezpieczeństwa. Dopóki ludzie gotowi są zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolców

za nielegalną podróż do Ameryki, dopóty będziemy mieli szmuglerów takich jak Duch: zabijających każdego, kto wejdzie im w drogę.

Rhyme podjechał do niego bliżej.

- Jak bardzo chciałbyś go tutaj zatrzymać? - szepnął.

- Ducha? Niczego nie pragnę tak mocno.

- Co byłbyś gotów zaryzykować, żeby to zrobić?

- Wszystko - odparł bez chwili wahania agent.

- Mogą być problemy - oznajmił mężczyzna po drugiej stronie linii.

- Problemy? Mów, o co chodzi - zażądał Harold Peabody, siedzący w środkowym rzędzie dużego mikrobusu urzędu imigracyjnego, którym jechali na lotnisko Kennedy'ego.

Siedzący obok milczący facet w granatowym garniturze - Webley z Departamentu Stanu, który od chwili gdy przyleciał z Waszyngtonu po zatonięciu „Fuzhou Dragona”, zamienił życie Peabody'ego w piekło - poruszył się niespokojnie, słysząc te słowa.

- Zniknął Alan Coe. Zgodnie z twoją radą mieliśmy go na oku, obawiając się, czy nie spróbuje zrobić krzywdy zatrzymanemu - powiedział rozmówca Peabody'ego, zastępca agenta specjalnego z biura FBI na Manhattanie. - Dostaliśmy informację, że rozmawiał z Rhyme'em. Potem zapadł się pod ziemię.

Duch siedział za Peabodym i Webleyem, pilnowany z obu stron przez uzbrojonych agentów urzędu. Najwyraźniej nie zaniepokoiła go wzmianka o problemach.

- Róbcie swoje - powiedział Peabody do telefonu.

- Rhyme'a też nie możemy znaleźć.

- Jest na wózku inwalidzkim, do diaska. Tak trudno go upilnować?

- Nie było nakazu prowadzenia obserwacji - przypomniał chłodno zastępca agenta specjalnego. - Musieliśmy postępować... dyskretnie.

- Jaka jest wasza ocena sytuacji? - zapytał Peabody.

- Rhyme jest najlepszym kryminologiem w kraju. Mamy przecucie, że on i Coe planują odbić Ducha.

- Co mówi Dellray?

- W tym momencie jest w terenie. Nie odpowiada na telefony. Jeśli Coe ma zamiar wykonać jakiś ruch, musi to zrobić na lotnisku. Każ twoim ludziom go wypatrywać.

- Nie wydaje mi się, żeby do tego doszło.

- Dziękuję za opinię, Haroldzie. Ale to Rhyme przyskrzypił Ducha. Nie ty - powiedział agent i rozłączył się.

Krępujące przeguby kajdanki wydawały się lekkie jak jedwab. Zostaną zdjęte, gdy tylko znajdzie się na pokładzie samolotu, który miał go wywieźć ze Wspaniałego Kraju do domu, i ponieważ dobrze o tym wiedział, metalowe obręcze właściwie jakby już nie istniały.

Towarzyszyła mu dziwna świta: dwaj uzbrojeni agenci i dwaj ludzie, którzy dowodzili operacją: Peabody z urzędu imigracyjnego oraz facet z Departamentu Stanu. W korytarzu Northwest Airlines na lotnisku Kennedy'ego dołączyli do nich dwaj ochroniarze z Zarządu Portu.

Przed sobą Duch widział stanowisko odprawy. A za oknem kadłub boeinga 747, którym miał wkrótce polecieć na Zachód. Wracał do domu. Był wolny. Był...

Nagle wyrosła przed nim jakaś postać. Strażnicy szarpnęli go na bok, w ich rękach pojawiła się broń. Z wrażenia zabrakło mu tchu; myślał, że zaraz umrze.

Ale napastnik zatrzymał się w miejscu. I Duch zaczął się śmiać.

- Cześć, Sachs.

Zorientował się, że nie jest sama. Stał za nią wysoki czarny mężczyzna. Był tam również gruby gliniarz, który aresztował go w Brooklynie, a także kilku nowojorskich policjantów. Ale osobą, która przykuła jego uwagę, był przystojny ciemnowłosy mężczyzna mniej więcej w jego wieku, siedzący na skomplikowanym jasnoczerwonym wózku inwalidzkim, do którego przymocowano paskami jego ręce i nogi.

To musiał być oczywiście Lincoln Rhyme. Duch przyjrzał się temu dziwnemu mężczyźnie, który odkrył jakimś cudem położenie „Fuzhou Dragona”, który odnalazł Wu i Changów i który zdołał go w końcu ująć. Udało mu się coś, czego nie dokonał dotąd żaden gliniarz na świecie.

Harold Peabody dał znak strażnikom, żeby się cofnęli i schowali broń.

- Co to za cyrk, Rhyme? - zapytał, marszcząc brwi.

Ale kryminolog zignorował go i nadal przyglądał się uważnie szmuglerowi. Duch poczuł się nieswojo, jednak opanował to uczucie.

- Kim pan właściwie jest? - rzucił wyzywająco w stronę Rhyme'a.

- Ja? - odparł kaleka. - Jestem jednym z dziesięciu piekielnych sędziów.

Duch roześmiał się.

- I przyszedł mnie pan pożegnać?

- Nie.

- No, to czego chcesz? - zapytał ostrożnie Peabody.

- On nie wsiądzie do tego samolotu - oświadczył twardo Rhyme.

- Owszem, wsiądzie - odparł Webley, wyciągając z kieszeni bilet Ducha i ruszając szybkim krokiem do stanowiska odprawy.

- Jeśli zrobi pan krok dalej w stronę tego samolotu - oznajmił gruby policjant - ci funkcjonariusze mają rozkaz pana aresztować.

- Mnie? - zdumiał się gniewnie Webley.

Peabody ostro się roześmiał i spojrzał na czarnego agenta.

- Powinieneś chyba wysłuchać obecnego tu mojego przyjaciela, Haroldzie - powiedział Dellray.

- Pięć minut - warknął Peabody.

Na twarzy Lincolna Rhyme'a pojawił się wyraz ubolewania.

- Och, obawiam się, że to może zająć trochę więcej czasu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Duch, o wiele niższy, niż spodziewał się Lincoln Rhyme, stał skuty kajdankami i otoczony przez stróżów prawa i porządku. Owszem, nieco zmieszany, lecz w dalszym ciągu panujący nad emocjami. Kryminolog natychmiast zrozumiał, jak to się stało, że Sachs dała mu się omotać: oczy Ducha były oczyma uzdrowiciela, lekarza, przewodnika duchowego. Jednak przyjrawszy mu się lepiej, Rhyme dostrzegł na dnie tego łagodnego spojrzenia świadectwo bezwzględności i niepohamowanej pychy.

- No dobrze, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał kumpel Peabody'ego, „Webley ze Stanu”, jak określał go teraz w myśli Rhyme.

- Wiecie, do czego dochodzi czasami w naszej pracy, panowie? - zapytał kryminolog. - Mam na myśli pracę oficera dochodzeniowego. - Webley ze Stanu chciał coś powiedzieć, lecz Peabody uciszył go gestem dłoni. - Czasami tracimy z oczu szerszy obraz. Przyznaję, że ja tracę ten obraz częściej niż, powiedzmy, obecna tutaj Sachs. Mam w zwyczaju studiować każdy dowód rzeczowy i umieszczać go tam, gdzie jest jego miejsce. - Rhyme uśmiechnął się do Ducha. - Tak jakbym kładł kamyczek na planszy wei-chi.

Przez głośniki podano komunikat, że zaczyna się odprawa pasażerów odlatujących liniami Northwest Airlines do Pekinu, z między lądowaniem w Los Angeles.

- Złożyliśmy całkiem zgrabnie naszą układankę - stwierdził Rhyme, wskazując głową Ducha. - W końcu został złapany. Mamy wystarczająco wiele dowodów, żeby go osądzić i skazać na śmierć. A oto, co się dzieje? Ptaszek wyfruwa na wolność.

- On wcale nie wychodzi na wolność - zaprzeczył Peabody. - Wraca do Chin, gdzie zostanie postawiony przed sądem.

- Zostaje wypuszczony z państwa, na terenie którego popełnił szereg poważnych przestępstw - poprawił go ostro Rhyme. - Szerszy obraz... Pomyślmy o tym. Jest wtorek, tuż przed świtem, na pokładzie frachtowca „Fuzhou Dragon”. Jesteście Duchem, poszukiwanym przestępcą... poszukiwanym za zbrodnie karane śmiercią... a straż przybrzeżna przejmie za pół godziny wasz przewożący imigrantów statek. Co byście zrobili?

Peabody westchnął. Webley ze Stanu mruknął coś pod nosem.

- Ja na przykład wziąłbym pieniądze, kazał kapitanowi zawrócić na pełne morze i uciekł na jednym z pontonów. Straż przybrzeżna i urząd imigracyjny zajęliby się oczywiście załogą i imigrantami, a ja zdążyłbym pokonać połowę drogi do Chin, zanim ktoś by się zorientował, że zniknąłem. Ale co zrobił Duch? - zapytał Rhyme i zerknął na Amelię Sachs.

- Duch zamknął imigrantów w ładowni - odpowiedziała - zatopił statek, a następnie ścigał rozbitków. Rzykując przy tym, że sam zostanie złapany albo zginie.

- To byli świadkowie - oświadczył Peabody. - Musiał ich zabić.



- Ale po co? To jest pytanie, którego nikt nie chce zadać. O co mu chodziło? Pasażerowie mogliby co najwyżej zeznać, że zajmował się przemytem ludzi. Już wcześniej wydano przecież przeciw niemu tuzin nakazów aresztowania za to samo przestępstwo. Nie miało sensu zadawać sobie tyle trudu i mordować ich tylko dlatego, że byli świadkami. - Rhyme odczekał kilka sekund, by spotęgować efekt. - Ale zabicie ich jest jak najbardziej sensowne, jeśli pasażerowie od początku mieli stać się jego ofiarami.

Rhyme spostrzegł dwie zupełnie odmienne reakcje na to, co powiedział. Na twarzy Peabody'ego malowały się zaskoczenie i konsternacja. Za to Webley ze Stanu nie był wcale zdziwiony. Świetnie wiedział, do czego zmierza kryminolog.

- Ofiary - podjął Rhyme. - To kluczowe słowo. Sachs znalazła pewien list, gdy poszła popływać przy wraku „Fuzhou Dragona”.

Duch, który do tej pory nie spuszczał wzroku z Amelii, odwrócił się powoli w stronę Rhyme'a.

- Treść listu można streścić następująco: oto twoje pieniądze i lista ofiar, które zabierasz do Ameryki... Czy mamy już przed oczyma szerszy obraz, panowie? W liście nie ma mowy o „pasażerach”, „imigrantach” czy o „prosiakach”. I szerszy obraz staje się o wiele wyraźniejszy, kiedy przyjrzymy się, kim były te ofiary: wszystko to chińscy dysydenci i członkowie ich rodzin. Duch nie jest wyłącznie szmuglerem. Jest także profesjonalnym zabójcą. Wynajęto go, żeby ich zamordował.

- Ten człowiek oszalał - syknął Duch. - Chcę wejść na pokład samolotu.

- Od początku miał zamiar zatopić „Fuzhou Dragona” - podjął, ignorując go, Rhyme. - Ale kilka rzeczy poszło nie po jego myśli. Zlokalizowaliśmy frachtowiec i wysłaliśmy tam straż przybrzeżną. Musiał więc działać szybciej, niż to zaplanował. Kilku imigrantów uciekło. Poza tym ładunek wybuchowy okazał się zbyt silny i statek zatonął, nim Duch zdołał zabrać broń i pieniądze oraz odszukać swojego *bangshou*.

- To absurd - parsknął Webley ze Stanu. - Pekin nie wynajmowałby nikogo, żeby zabijał dysydentów. To nie są lata sześćdziesiąte.

- Pekin by tego nie zrobił - odparł Rhyme - i chyba pan dobrze o tym wie, panie Webley. Udało nam się odkryć, kto przekazał Duchowi instrukcje i pieniądze. Facet nazywa się Ling Shui-bian.

Duch spojrział z desperacją na stanowisko odprawy.

- Wysłałem do policji w Fuzhou e-maila z nazwiskiem i adresem Linga - podjął Rhyme. - W odpowiedzi napisali, że pod wskazanym adresem mieści się budynek rządowy. Ling jest zastępcą gubernatora odpowiedzialnym za rozwój handlu.

- Co to znaczy? - zapytał Peabody.

- Że to skorumpowany partyjny bonza - warknął Rhyme. - On i jego ludzie dostają milionowe łapówki od wszystkich firm działających na południowo-wschodnim wybrzeżu Chin. Jest prawdopodobnie w zмовie z gubernatorem, ale nie mam na to dowodów.

- Niemożliwe - mruknął Webley, ale uczynił to ze znacznie mniejszym przekonaniem.

- Bynajmniej - odparł Rhyme. - Sonny Li opowiedział mi coś niecoś na temat prowincji Fujian. Zawsze była bardziej niezależna, niż tego chciał rząd centralny. I są tam najaktywniejsi dysydenci. Pekin niejednokrotnie groził, że pognębi prowincję, znacjonalizuje z powrotem firmy, postawi u władzy swoich ludzi. Gdyby tak się stało, Ling i jego koleżkowie straciliby źródło dochodów. Co zatem zrobić, żeby Pekin był zadowolony? Zlikwidować najbardziej hałaśliwych. I czyż może być na to lepszy sposób, niż wynająć szmuglera?

- Najprawdopodobniej nikt by się nie dowiedział, że zginęli - wtrąciła Sachs. - Dołączyliby do listy innych zaginionych statków.

- Wysłała pan Ducha z powrotem, żeby zadowolić Linga i jego ludzi - powiedział Rhyme do Webleya. - Żeby mogli dalej prowadzić swoje interesy. Stany Zjednoczone nigdzie na świecie nie inwestują tak intensywnie jak w południowo-wschodnich Chinach.

- To śmieszne - odezwał się Duch. - Gdzie są dowody?

- Dowody? Przede wszystkim mamy list od Linga. Ale jeśli chcesz więcej... Pamiętasz, Haroldzie, sam mówiłeś, że w ciągu kilku ostatnich lat zaginęło wielu przemycających przez Ducha imigrantów. Ofiary były w większości dysydentami z Fujian.

- To nieprawda - zaprzeczył szybko Duch.

- No i są pieniądze - mówił dalej Rhyme. - Opłata za przejazd. Pluskając się w Atlantyku, Sachs odnalazła sto dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów i stare juany warte może dwadzieścia tysięcy. Zaprosiłem do siebie przyjaciela z urzędu imigracyjnego, żeby razem ze mną przyjrzał się pewnym dowodom...

- Kogo? - przerwał mu ostro Peabody. - Alana Coe?

- Przyjaciela. Określmy go w ten sposób.

Przyjacielem istotnie był Alan Coe, który wykradł tajne akta urzędu, co miało go prawdopodobnie kosztować utratę posady, a może nawet wyrok sądowy. To było owo ryzyko, o którym Rhyme wspominał wcześniej.

- Pierwszą rzeczą, która wzbudziła jego podejrzenia, były pieniądze. Powiedział mi, że zawierając umowę ze szmuglerem, imigranci nie mogą dawać zaliczki w dolarach, ponieważ w Chinach nie ma zbyt dużo tej waluty... w każdym razie w ilości wystarczającej, żeby opłacić tranzyt do Stanów. Zawsze płacą juanami. Wioząc dwudziestu pięciu imigrantów, Duch powinien mieć co najmniej pół miliona juanów... tyle powinni mu zapłacić z góry. Więc dlaczego na pokładzie było tak mało chińskich pieniędzy? Ponieważ Duch pobierał od nich niskie kwoty, chcąc, aby wszyscy dysydenci z listy wybrali się w podróż. Jego głównym dochodem była opłata za ich zabicie. Sto dwadzieścia tysięcy? To była zaliczka od Linga. Sprawdziłem numery seryjne. Według Rezerwy Federalnej, ostatnio widziano tę gotówkę, kiedy wpłynęła do Banku Południowych Chin w Singapurze. Z którego usług korzysta regularnie zarząd prowincji Fujian.

Peabody najwyraźniej się wahał. Ale urzędnik Departamentu Stanu pozostał nieugięty.

- On wsiada do tego samolotu - oświadczył - i nic tego nie zmieni.

Rhyme przechylił głowę i zmrużył oczy.

- Ile jeszcze powinniśmy przedstawić im dowodów, Sachs? - zapytał.

- Może coś na temat C-cztery?

- No właśnie. Ładunek wybuchowy użyty do zatopienia statku. FBI ustaliło, że pochodzi od północnokoreańskiego handlarza, który regularnie zaopatruje... zgadnijcie kogo? Bazy chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w prowincji Fujian. To władze wyposażyły Ducha w C-cztery. Jest jeszcze komórka, którą Sachs odnalazła na plaży. To wydawany przez władze telefon satelitarny.

- Ciężarówki, Rhyme - podpowiedziała Amelia Sachs.

Kryminolog kiwnął głową.

- Przyglądałem się naszej tablicy z dowodami i zdałem sobie sprawę, że czegoś tam brakuje. Gdzie są ciężarówki dla imigrantów? Mój przyjaciel z urzędu imigracyjnego powiedział, że kontrakt między szmuglerem i imigrantem obejmuje również transport lądowy. Ale nie było tam żadnych ciężarówek. Dlaczego? Ponieważ Duch wiedział, że imigranci nigdy nie dotrą do brzegu żywi.

Długa kolejka oczekujących na lot pasażerów coraz bardziej się kurczyła.

Webley ze Stanu pochylił się do Rhyme'a.

- Te sprawy pana przerastają, mój panie - szepnął ze złością. - Nie wie pan, co pan robi.

Rhyme spojrzał na niego z udawaną skruchą.

- Racja, o niczym nie mam pojęcia. Jestem tylko prostym naukowcem. Moja wiedza jest żałośnie ograniczona. Do takich rzeczy jak, powiedzmy, fałszywy dynamit.

- Tu właśnie ja wkraczam na scenę - oświadczył złowieszczo Dellray.

Peabody odchrząknął.

- O czym wy mówicie?

- Podłożona w samochodzie Freda bomba to nie był dynamit, ale trociny zmieszane z żywicą. Przyjaciel z urzędu imigracyjnego powiedział mi, że ich urząd ma fałszywe materiały wybuchowe, z których korzysta przy szkoleniu rekrutów. Łaski znalezione w samochodzie Freda nie różnią się od atrap używanych w ośrodku szkoleniowym urzędu na Manhattanie. A numery seryjne na detonatorze są takie same jak na detonatorach, które urząd skonfiskował w zeszłym roku osobom narodowości rosyjskiej. - Rhyme obserwował z zadowoleniem błysk przerażenia w oczach Peabody'ego. - Odnoszę wrażenie, że na jakiś czas chcieliście wyłączyć Freda z tej sprawy.

- A niby dlaczego?

- Ponieważ robiłem za dużo hałasu - przejął pałeczkę Dellray. - Chciałem sprowadzić siły specjalne, które zwinęłyby Ducha bez dłuższych ceregieli. Do diabła, myślę, że właśnie dlatego przydzielono mnie w ogóle do tej sprawy. Nie miałem zielonego pojęcia o przemyśle

ludzi. I kiedy postarałem się, żeby sprawę przejął ekspert... Dan Wong... zanim się połapałem, facet już siedział w samolocie lecącym na zachód.

- Fred musiał odejść - podsumował Rhyme - żebyście mogli złapać Ducha żywego i wydalić go bezpiecznie z kraju w ramach umowy zawartej między Lingiem Shui-bianem i Departamentem Stanu.

- Nic nie wiedziałem o zabijaniu dysydentów - wypalił Peabody. - Nigdy mi o tym nie powiedziano. Przysięgam!

- Haroldzie... - mruknął groźnie Webley ze Stanu. - Niech pan posłucha - zwrócił się rozsądnym tonem do Rhyme'a. - Jeżeli... powiadam, jeżeli... cokolwiek z tego jest prawdą, musi pan sobie zdawać sprawę, że nie chodzi tu tylko o jedną osobę. Duch został zdemaskowany. Nikt już nigdy nie wynajmie go jako szmuglera. Ale - ciągnął dalej gładko dyplomata - jeśli odeślemy go z powrotem, Chińczycy będą zadowoleni. I w miarę poszerzania się naszych wpływów, prawa ludzkie będą tam w coraz większym stopniu respektowane. Czasami musimy podejmować trudne decyzje.

Rhyme pokiwał głową.

- Innymi słowy, chce pan powiedzieć, że są to w gruncie rzeczy sprawy, którymi powinni się zajmować politycy i dyplomaci.

Webley ze Stanu uśmiechnął się, widząc, że Rhyme pojął w końcu tę prostą prawdę.

- Ale widzi pan - wyjaśnił kryminolog - dyplomacja jest skomplikowana, podobnie zresztą jak polityka. Natomiast zbrodnia jest prosta. Więc oto jak brzmi moja propozycja: albo przekażecie Ducha, byśmy mogli go skazać w tym kraju, albo poinformujemy opinię publiczną, że uwalniacie sprawcę kilku morderstw, kierując się racjami politycznymi i gospodarczymi. I że w związku z tą sprawą dopuściliście się napaści na agenta FBI. Wybór należy do was - dodał lekkim tonem.

- Niech pan nam nie grozi. Jest pan zwykłym gliniarzem - warknął Webley ze Stanu.

Pracownik linii lotniczych po raz ostatni wezwał do wejścia na pokład samolotu. Duch dopiero teraz odczuł strach. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Haroldzie? - zapytał Rhyme.

- Przykro mi - oznajmił zgnębiony Peabody. - Naprawdę nie mogę nic zrobić.

Rhyme lekko się uśmiechnął.

- O to mi tylko chodziło. O decyzję. Podjąłeś ją. Znakomicie. Czy możesz mu pokazać, co wysmażyliśmy, Thom? - odezwał się po chwili.

Jego asystent wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Webleyowi ze Stanu. Ten otworzył ją. W środku była dość długa notatka, którą Rhyme przesyłał na ręce Petera Hoddinsa, reportera działu międzynarodowego „New York Timesa”, opisująca ze szczegółami to, co opowiedział właśnie Peabody'emu i Webleyowi.

Webley ze Stanu i Peabody wymienili między sobą spojrzenia, a potem przeszli w róg pustej już teraz poczekalni i obaj zaczęli gdzieś dzwonić.

Po pewnym czasie obie rozmowy dobiegły końca i chwilę później Rhyme otrzymał odpowiedź. Webley ze Stanu odwrócił się bez słowa i pomaszerował korytarzem do hali odlotów.

- Zaczekaj! - zawołał Duch. - Zawarliśmy przecież umowę! Mieliśmy umowę!

Webley nawet się nie obejrzał. Podarł notatkę Rhyme'a i nie zwalniając kroku, wyrzucił strzępy do pojemnika na śmieci.

Sellitto poinformował pracownika lotniska, że może zakończyć odprawę. Pan Kwan nie wejdzie na pokład samolotu.

Umundurowani policjanci zajęli się szmuglerem.

- Przysięgam, że nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi - tłumaczył się nerwowo Harold Peabody. - Powiedzieli mi, że...

Ale Rhyme poczuł się zmęczony. Bez słowa dotknął lekko palcem panelu sterującego i jego wózek potoczył się wzdłuż korytarza.

Kilka dni później Duch został postawiony w stan oskarżenia, a jego prośba o zwolnienie za kaucją odrzucona. Lista zarzutów była długa: federalne i stanowe oskarżenia o morderstwo, o przemyt ludzi oraz posiadanie broni palnej bez pozwolenia. Uwolniony od zarzutu przemytu ludzi, kapitan Sen miał zeznawać na jego procesie; potem czekała go deportacja do Chin.

Rhyme i Amelia Sachs byli sami w sypialni kryminologa. Policjantka przeglądała się w wysokim lustrze. Za godzinę miała się stawić na rozprawie.

- Świetnie wyglądasz - rzekł z uznaniem Rhyme.

Sachs włożyła świeżo uprasowany niebieski kostium, bluzkę i granatowe szpilki, w których mierzyła ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Rude włosy spięła na czubku głowy.

Zadzwoił telefon.

- Polecenie, odebrać telefon - rzucił do mikrofonu Rhyme.

- Lincoln? - odezwał się w głośniku kobiecy głos.

- Witam, doktor Weaver - pozdrowił w odpowiedzi swoją neurochirurg.

Sachs usiadła na skraju jego łóżka marki Flexicair.

- Odebrałam pański telefon - powiedziała lekarka. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej.

- Chciałabym, żeby zgłosił się pan do mnie jutro na ostatnie badanie przed zabiegiem.

Rhyme popatrzył Amelii prosto w oczy.

- Postanowiłem nie poddawać się tej operacji. -Postanowił pan...

- Wycofuję się. Może pani zatrzymać kaucję - zażartował.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Żadnemu mojemu pacjentowi nie zależało na tym tak bardzo jak panu.

- Zależało mi na tym, to prawda. Ale zmieniłem zdanie.

- Cały czas powtarzałam, że ryzyko jest duże. Czy to dlatego?

Rhyme spojrział na Amelię.

- W gruncie rzeczy nie sądzę, żebym na tym wiele skorzystał - powiedział w końcu.

- Moim zdaniem, to trafny wybór, Lincolnie. Mądry wybór - przyznała neurochirurg. -

W leczeniu urazów rdzenia kręgowego dokonuje się stały postęp. Za jakiś czas możemy pomyśleć o nowych możliwościach. Albo po prostu niech pan zadzwoni, żeby pogadać.

- Oczywiście. Chętnie z panią porozmawiam.

- Ja też. Do widzenia, Lincolnie.

- Do widzenia, pani doktor. Polecenie, rozłącz.

W sypialni zapadła cisza.

- Jesteś pewien? - zapytała nieco oszołomiona Amelia.

„Los zrobił cię takim, jakim jesteś, Loaban. Może jesteś lepszym detektywem dlatego, że to się stało. Teraz twoje życie jest zrównoważone”.

- Jestem pewien - odparł, a ona uścisnęła jego rękę.

- Ty też jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Sachs? - zapytał, wskazując leżące na stoliku akta, wśród których była fotografia Po-Yee oraz kilka oświadczeń i urzędowych dokumentów. Leżący na samej górze opatrzony był nagłówkiem „Podanie o adopcję”.

Amelia spojrzała na Rhyme'a i poznał po jej oczach, że ona także nie ma wątpliwości, iż podjęła trafną decyzję.

Siedząc w pokoju sędzi, Amelia Sachs uśmiechnęła się do Po-Yee, Drogocennego Dziecka, które bawiło się wypchanym kotkiem.

- To raczej nieortodoksyjne podejście do adopcji, pani Sachs. Ale chyba pani zdaje sobie z tego sprawę - oświadczyła korpulentna sędzia Margaret Benson-Wailes z sądu rodzinnego na Manhattanie.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Niech mi pani powie, jakim cudem taka chuda dziewczyna jak pani ma tyle do powiedzenia w tym mieście?

Amelia Sachs miała najwyraźniej dobre *guanxi*. Popierali ją Fred Dellray, Lon Sellitto i Alan Coe, który nie tylko nie został wylany z roboty, lecz obejmował w Urzędzie do spraw Imigracji i Naturalizacji stanowisko po odchodzącym na wcześniejszą emeryturę Haroldzie Peabodym. W ciągu kilku dni udało się przewyciężyć większość przeszkód, którymi najeżona jest normalnie procedura adopcyjna.

- Rozumie pani - kontynuowała sędzia - że najważniejsze jest w tym przypadku dobro dziecka, i gdybym nie była przekonana, iż ta decyzja leży w jego najlepszym interesie, nigdy nie podpisałabym tych papierów.

- Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, Wysoki Sądzie.

- Oto, co zamierzam zrobić. Przyznam na okres trzech miesięcy prawo do opieki, która będzie podlegała nadzorowi. Jeśli w ciągu tych trzech miesięcy nie wystąpią żadne problemy, zgodzę się na pełną adopcję z normalnym w takich przypadkach okresem próbnym. Jak się to pani podoba?

- Bardzo, Wysoki Sądzie.

Sędzia przyjrzała się uważnie twarzy Amelii Sachs, a potem wcisnęła przycisk interkomu.

- Przyslijcie tu powodów.

Drzwi pokoju sędziowskiego otworzyły się i do środka weszli ostrożnie Sam i Mei-Mei Changowie. Towarzyszył im ich adwokat, Chińczyk. Mei-Mei otworzyła szerzej oczy na widok dziecka. Amelia Sachs podprowadziła do niej małą dziewczynkę, Chinka porwała ją w ramiona i przytuliła mocno.

- W tym kraju proces adopcji jest na ogół skomplikowany i żmudny - oświadczyła sędzia. - Jest prawie niemożliwe, aby prawo do opieki uzyskała para o nieustalonym statusie imigracyjnym.

Adwokat przetłumaczył jej słowa. Mei-Mei kiwnęła głową.

- Tym niemniej mamy tutaj do czynienia z niezwyklejmi okolicznościami. Poinformowano nas, że staracie się państwo o azyl i że z powodu prowadzonej przez pana w Chinach działalności dysydenckiej, zostanie on wam prawdopodobnie przyznany. To utwierdza mnie w przekonaniu, iż jesteście w stanie wnieść trochę stabilności w życie tego dziecka. Podobnie jak fakt, że zarówno pan, jak i pana syn jesteście zatrudnieni.

Sędzia powtórzyła następnie Changom to, co powiedziała wcześniej Sachs na temat adopcji i okresu próbnego. Adwokat przetłumaczył jej słowa.

Mei-Mei zaczęła cicho płakać. Sam Chang uściskał ją. A potem Mei-Mei podeszła do Amelii Sachs i też ją uściskała.

- *Xiexie*, dziękuję, dziękuję - wyszeptała.

Sędzia podpisała leżący przed nią dokument.

- Możecie państwo zabrać dziecko ze sobą - oznajmiła.

Sam Chang zaprowadził swoją rodzinę, teraz oficjalnie powiększoną o jedną osobę, na parking nieopodal licowanego czarnym kamieniem gmachu sądu rodzinnego. To była jego druga tego dnia wizyta w sądzie. Wcześniej złożył zeznania w trakcie wstępnego przesłuchania rodziny Wu. Ich adwokat był ostrożnym optymistą co do szans, jakie mieli na pozostanie w Stanach Zjednoczonych.

Mei-Mei i dzieci ruszyli w stronę furgonetki, lecz Chang pozostał przy policjantce.

- Wszystko, co dla nas zrobiliście, pani i pan Rhyme... nie wiem po prostu, jak dziękować - powiedział powoli do Amelii.

- Rozumiem - odparła zdławionym głosem. Zdała sobie sprawę, że chociaż docenia jego podziękowania, coś w niej wzdraga się przed ich przyjęciem. Wsiadła do samochodu, zapaliła silnik i po chwili już jej nie było.

Amelia Sachs weszła szybkim krokiem do salonu.

- I co? - zapytał kryminolog, podjeżdżając do niej wózkiem.

- Umowa została zawarta.

- Posłuchaj, Sachs. Sama też mogłabyś zaadoptować dziecko, gdybyś chciała - powiedział. - To znaczy, my moglibyśmy to zrobić.

- Wiesz, parę dni temu podziurawiłam ołowiem oprycha w Chinatown - odrzekła po krótkiej chwili. - Następnie nurkowałam trzydzieści metrów pod wodą, a potem trzymałam na muszce aresztowanego. Nie mogę tego nie robić, Rhyme - stwierdziła, śmiejąc się. - Gdybym miała w domu dziecko, przez cały czas oglądałabym się przez ramię. To by nie zdało egzaminu.

- Byłabyś dobrą matką, Sachs.

- Ty też byłbyś dobrym ojcem. I kiedyś nim będziesz. Ale w tym momencie mamy w życiu do załatwienia kilka innych spraw, nie sądzisz? - zapytała, wskazując tablicę, na której były jeszcze zapisane ręką Thoma notatki do operacji „Wyzionąć Ducha”; tę samą tablicę, na której widniały wcześniej notatki dotyczące tuzina innych spraw i na której miały się wkrótce pojawić zapiski dotyczące tuzina następnych.

Lincoln Rhyme uświadomił sobie, że miała oczywiście rację. Świat, którego symbolem były te notatki i zdjęcia, owo życie na skraju noża, które razem prowadzili, leżało w ich naturze - przynajmniej w tej chwili.

- Zamówiłem transport - powiedział jej.

Od rana siedział przy telefonie, załatwiając formalności związane z przewiezieniem zwłok Sonny'ego Li do jego ojca w Liu Guoyuan w Chinach. Większością spraw zajął się chiński dom pogrzebowy.

Pozostała tylko jedna rzecz, którą Rhyme musiał w związku z tym uczynić. Włączył słowną komendę edytor tekstu, Sachs usiadła tuż przy nim.

- No, dalejże - powiedziała.

Po pół godzinie wysmażyli razem następujący list:

Drogi Panie Li,

Piszę do Pana, aby przekazać serdeczne kondolencje z powodu śmierci Pańskiego syna. Powinien Pan wiedzieć, jak bardzo ja i moi koledzy jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy pracować wraz z Sonnym przy niebezpiecznej sprawie, która zakończyła się jego śmiercią. Sonny ocalił wiele ludzkich istnień i doprowadził przed oblicze sprawiedliwości bezwzględного zabójcę - nie dokonalibyśmy tego bez jego udziału. Czyny Sonny'ego przynoszą najwyższą cześć Jego pamięci i zawsze darzony będzie wielkim szacunkiem w policyjnej społeczności Stanów Zjednoczonych. Mam szczerą nadzieję, że jest Pan,



podobnie jak my, dumny ze swego syna, który wykazał się olbrzymią odwagą i poświęceniem.

Detektyw kpt. (emer.) Lincoln Rhyme  
Nowojorski Wydział Policji

Sachs odłożyła list dla Eddiego Denga, który miał wpaść później i go przetłumaczyć.

- Chcesz przejrzeć jeszcze raz dowody? - zapytała, wskazując tablicę. Przed procesem Ducha czekało ich dużo roboty.

- Nie - odparł Rhyme. - Chcę w coś zagrać.

- Jasne - mruknęła. - Mam dzisiaj ochotę zwyciężyć.

- Chciałabyś... - rzucił kpiąco. - W jaką grę?

- Wei-chi. Plansza jest tam. I torebki z kamieniami.

Sachs rozłożyła planszę na stoliku obok Rhyme'a, który wbił wzrok w siatkę przecinających się linii.

- Czuję, że robisz mnie na szaro, Rhyme - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Grałeś w to już wcześniej.

- Sonny i ja rozegraliśmy kilka partii - potwierdził niby od niechcienia.

- Jak ci poszło?

- Człowiek nie od razu łapie, o co chodzi w tej grze - odparł wymijająco.

- Przegrałeś.

- Ale w ostatniej partii naprawdę mało brakowało.

Rhyme zaczął wyjaśniać jej zasady, a ona pochyliła się do przodu, uważnie go słuchając.

- To wszystko - oznajmił w końcu. - Ponieważ nie grałaś nigdy wcześniej, dam ci fory. Możesz wykonać pierwszy ruch.

- O nie - zaprotestowała Amelia. - Żadnych forów. Rzucimy monetą.

- Taki jest zwyczaj - zapewnił ją Rhyme.

- Żadnych forów - powtórzyła Sachs, wyciągając z kieszeni ćwierćdolarówkę. - Orzeł czy reszka?

I podrzuciła monetę do góry.